

ALICIA SCOTT

Cienie przeszłości

PROLOG

Mówiono na niego Pająk, lecz nie tak się nazywał. Nosił imię Frank, Bob lub jakieś inne, równie przeciętne. Ale do niego nie pasowało, więc przezwisko Pająk przyłgnęło na dobre.

Pająk był kiedyś małym, chudym chłopcem, a potem wyrósł na małego, mizernego chłopinę z za długimi kończynami. Gdy biegł, ręce dziwacznie mu dyndały, jak u szmacianego pajaca. Jednak Pająk rzadko biegał.

Całymi dniami tylko dbał o swoje groby.

Rzecz jasna nie dosłownie swoje. Należały one do spoczywających tutaj zmarłych. A niektórzy z nich musieli być znamienitymi obywatelami Sedony, ponieważ jednym rogiem cmentarza opiekował się miejscowy Zarząd Ochrony Zabytków. W tym szczególnym miejscu znajdowały się najstarsze groby, nawet sprzed stu pięćdziesięciu lat. Niektóre epitafia już zblakły i stały się całkiem niewyraźne, ale zdarzały się również czytelne. Na przykład ponura rymowanka „Abe już się nie śmieje, ale i nie starzeje”.

Pająk co noc starannie wycierał te nagrobki, żeby nie zniknęły pod warstwą czerwonawego pyłu wszechobecnego w tej części Arizony. Sprawdzał również, czy nie uszkodzono ogrodzenia z kutego żelaza i nie odłupano kawałka którejś z płyt. Niewiarygodne, co ludzie potrafią zabrać w charakterze pamiątki.

Pająk był dumny, że w okresie jego dwudziestopięcioletniej służby grabarza nie zdarzył się tutaj ani jeden przypadek wandalizmu. A przecież czasy stały się zwariowane i nawet na cmentarzach balowały naćpane nastolatki, graficyarze malowali farbami w sprayu wszystko co popadnie, pijane szczeniaki ciskały w nagrobki pustymi butelkami po piwie. A podstępni turyści zawsze usiłowali uszczknąć na pamiątkę kawałek historii.

Do licha, nawet umarli nie mogli już liczyć na święty spokój. Dlatego właśnie on, Pająk, musiał bardzo się starać, aby bronić tych, którzy byli całkiem bezbronni.

Tak, groby miały wielkie znaczenie. Ludzie przychodzili tutaj, aby porozmawiać z tymi, których utracili. Których kochali lub nienawidzili. Idąc wieczorem przez cmentarz, słyszało się najdziwniejsze rzeczy. Syn opowiadał ojcu o swoim nowo narodzonym synku. Staruszek zdawał zmarłej przed pięciu laty żonie sprawę z minionego dnia. Matka żarliwie zapewniała swoje dziecko, że nigdy, przenigdy go nie zapomni. Pająk czytał kiedyś, że FBI zakłada podsłuch na grobach osób zamordowanych, bo przychodzą tam mordercy, aby błagać swe ofiary o przebaczenie. Tak, Pająk wiedział o grobach to i owo. Na przestrzeni ćwierćwiecza słyszał wiele słów, które nie były przeznaczone dla jego uszu. I starał się natychmiast zapomnieć te wyznania.

Obecnie usiłował rozwikłać dziewięcioletnią zagadkę butelek koniaku. Dlatego jeszcze był na nogach, choć o tej porze porządni ludzie już dawno śpią. Noc idealnie nadawała się na czuwanie - księżyc świecił jasno, przyjemnie cykały świerszcze, więc Pająk bez żalu skulił się za okazałym nagrobkiem pierwszego burmistrza Sedony i wyteżył słuch.

Musiał usłyszeć cichy odgłos kroków.

Jak co roku piętnastego października. Właśnie wtedy zawsze pojawiała się butelka koniaku. Bardzo drogiego.

Pająk nie od razu zorientował się w sytuacji. Za pierwszym razem po prostu wziął ledwie napoczętą butelkę i strzelił sobie parę kolejek. Alkohol palił w żołądku jak diabli, lecz skoro mogli go pić bogacze, to Pająk też od tego nie umrze.

W następnym roku zdumiał się na widok takiej samej butelki w tym samym miejscu - obok trzech grobów. Zazaczył datę w kalendarzu.

Po trzech latach był ciekaw, czy znów znajdzie butelkę. Znalazł.

Po pięciu latach już miał pewną teorię. W trzech grobach pochowano chyba jakąś rodzinę - ojca, matkę i młodego mężczyznę o innym nazwisku. Może kuzyna. Data śmierci była ta sama - piętnastego października, co sugerowało, że zginęli pewnie w wypadku lub pożarze. Mieli ładne nagrobki - wysokie, z różowego marmuru na granitowej podstawie, z rzeźbami aniołków. Takie pomniki to kosztowna sprawa.

Ci ludzie odeszli z tego świata dziesięć lat temu, lecz komuś nadal ich brakowało. Ten ktoś w każdą kolejną rocznicę ich śmierci wypijał na ich cześć kieliszek wykwintnego koniaku i odchodził, zostawiwszy butelkę. Pająk chciał się dowiedzieć, kto to taki.

Dwa razy przysnął, raz usłyszał jakieś hałasy i pobiegł sprawdzić, co się dzieje. Gdy wrócił, koniak już stał na płycie. Za czwartym razem przestraszył się na widok postaci w czerni. Ujrzał wtedy czerwone, płonące oczy, jęknął i zemdlał.

A gdy się ocknął, znalazł butelkę u swych stóp.

Może powinien był dać sobie spokój. Czarny demon przecież nie robił nic złego. Mącił jednak ciszę jedyne miejsca, które

Pająk mógł nazywać swoim domem, więc należało sprawdzić, kto sobie na to pozwala.

W tym roku Pająk dobrze się przygotował. Od paru dni odżywiał się lekko, zamiast piwa wieczorem wypił kawę. I teraz był gotowy. Niech zjawi się ten demon. Pająk da sobie z nim radę.

Księżyc stał na niebie coraz wyżej. Świerszcze cykały coraz ciszej.

Nadeszła i minęła północ. Potem pierwsza godzina.

Pająkowi zaczęły ciężać powieki.

Drgnął i uszczypał się w ramię.

W końcu usłyszał kroki.

Szybkie i pewne. Pająk zacisnął dłoń na ozdobnym gargulcu i ostrożnie wyjrzał zza nagrobka burmistrza.

Poczuł zapach perfum i ujrzał kobietę.

Wyglądała jak ucieleśnienie nocy. A takie ciała Pająk widywał tylko na reklamach. Drobne stopy w czarnych szpilkach, niebotycznie długie nogi, waziutka talia i te piersi... wszystko w czerni. Nawet głowę i twarz osłaniał czarny welon, a ręce były ukryte w czarnych rękawiczkach.

Kobieta przystanąła, otworzyła butelkę, nalała trochę burztynowego napoju do pękatego kieliszka i wprawiła płyn w wirowy ruch. Następnie wzniosła toast na cześć trzech marmurowych grobów, odchyliła welon i jednym haustem wypijała trunk.

Na jedną przelotną chwilę promienie księżycy oświetliły piękną, alabastrową twarz.

Pająk skulił się, oszołomiony i przerażony. Bezwiednie jęknął, a kobieta znieruchomiała.

- Wyjdź, Pająk - powiedziała, nie patrząc w jego stronę.
- Wiem, że tam jesteś.

A więc jednak wpadł w ręce demona.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłem - rzekł ze zwieszoną głową. - Nie wiedziałem, że to pani. Myślałam, że... że oni zginęli w pożarze... Nie... nie wiedziałem...

Kobieta w milczeniu się cofnęła, jakby zamierzała dać mu spokój. Pająk poczuł przypływ nadziei.

- Na pewno nikomu nie powiem... przysięgam, że nie, pan-no...

Ujrzał lśniąca lufę pistoletu. Szerzej otworzył oczy, a ze ściśniętego gardła nie był w stanie wydobyć się żaden dźwięk. Żadne błaganie.

Ręka kobiety zdrząła. Boże wszechmogący, demon naprawdę zadygotał.

- Mu... muszę.

Kobieta nacisnęła spust.

Pająk osunął się między groby, którymi przez tyle lat tak troskliwie się opiekował. A świerszcze jeszcze raz wypełniły noc swoim cykaniem.

Kobieta w czerni odjechała, lecz po kilku minutach zatrzymała auto, wysiadła i zwymiotowała. Nikt jej nie widział. Nikt nigdy się nie dowie. Ale ciężar winy i tak był nie do zniesienia.

ROZDZIAŁ 1

Można to zrobić na dwa sposoby: łatwy lub trudny - oświadczył C.J., właściciel baru Ancient Mariner.

Na potężnie zbudowanym mężczyźnie nie wywarło to żadnego wrażenia.

W środę wieczorem C.J. wolałby nie wdawać się w bójkę, ale zasady to zasady, a przerażona Sheila nadal kuliła się w kącie. C.J. nie znosił, gdy napastowano kobiety. Był tylko średniego wzrostu i nie wyglądał na atlete, lecz stali bywalcy baru wiedzieli, że lepiej nie wchodzić mu w drogę. A na dodatek miał wsparcie w osobie Gus, która już sięgnęła po swój słynny nóż. Używała go jak prawdziwy zawodowiec.

Osiłek najwyraźniej nie miał pojęcia, na kogo się porywa. Entuzjastycznie wytoczył się na środek i zaatakował. C.J. ani drgnął, lecz w ostatniej chwili zrobił błyskawiczny unik i przeciwnik z hukiem wylądował głową na wypolerowanym właśnie kontuarze.

- Cholera. - C.J. lekko się skrzywił. - Już wyrządziłeś szkodę za stowę.

Wielkolud wstrząsnął się jak otumaniony byk. Dwaj jego kumple wstali z krzeseł.

- Jezu, to będzie kosztowny wieczór - mruknął C.J.

- Trzeba było jednak kupić gazową spluwę - stwierdziła Gus.

- I zrezygnować z tych filmowych ujęć? Postaw na mnie, Gus. Przyda się parę groszy na pokrycie strat.

- Phi - prychnęła Gus. - Bar zniesie dużo więcej. Ty też.

Dwaj mężczyźni właśnie zdecydowali się na atak. C.J. z dobrego serca też posłał ich prosto na bar. Jakoś się pozbiali, pochrzákali, zacisnęli pięści i ruszyli na przeciwnika we trzech, co kosztowało C J. dwa nowiutkie stoliki i jedno niedawno posklejane krzesło. Miejscowi bywalcy głośno wyrazili aplauz dla C.J., gdy dzielnie przyjął solidny prawy sierpowy i natychmiast odskoczył do tyłu. C.J. znał się na walce wręcz. To, czego nie nauczyło go dzieciństwo w dzielnicy nędzy Los Angeles, poznał na morderczym obozie szkoleniowym dla żołnierzy piechoty morskiej.

Teraz C.J. uznał, że koniec z żartami. Zignorował oklaski, zmarszczone brwi Gus i niepokój Sheili, a całą uwagę skupił na trzech bitnych zawadiakach. Czuł, że podniósł mu się poziom adrenaliny. A podświadomość znów przypomniała mu o tym, czego nigdy tak naprawdę nie zapomniał - głód biednego dziecka, mękę umierającej matki i wspomnienie ojca, który odszedł po raz ostatni, aby polecieć samolotem gdzieś nad Indonezję.

C J. poszedł do przodu jak furia. Po kilkunastu wściekłych ciosach trzech mężczyźni z głuchym łoskotem padli na podłogę z czerwonej terakoty.

Oddychając głęboko, C.J. czuł satysfakcję i jednocześnie żal, że to już koniec. Jego młodsza siostra, Maggie, miała rację - zanadto lubił bójki.

- No dobra, pokażę im drzwi - mruknęła Gus, wychodząc

zza kontuaru. Gus była Indianką z plemienia Hopi. Długie, mocno siwiejące włosy zawsze wiązała w kucyk, a na jej twarzy widniało wiele brzydkich blizn. Pracowała z C.J. już sześć lat, lecz on nie miał pojęcia, skąd przyszła, co dawniej robiła lub jakie ewentualnie ma plany. Podejrzewał, że po pierwszym pytaniu o jej sprawy Gus pewnie spakowałaby manatki i zniknęła.

- Wyrzucasz śmieci, Gus? - ze śmiechem zażartował jeden z gości.

- Ktoś musi.

C.J. podszedł do nadal przerażonej Sheili, która w tej chwili wyjątkowo przypominała mu Maggie.

- W porządku, dzieciaku?

Sheila wzruszyła ramionami. Do niedawna była workiem treningowym męża-alkoholika. Cztery tygodnie temu Mary Campbell z miejscowego kościoła zadzwoniła do C.J. i spytała, czy nie zatrudniłby dziewczyny, która chce odejść od znęcającego się nad nią męża. C.J. oczywiście się zgodził, a potem cierpliwie uczył ją fachu kelnerki. Gdy pierwszego wieczoru Sheila wpadła w popłoch na widok hałaśliwych klientów, groźnie nakazał im zachowywać się spokojniej. A nawet tak przestawił stoliki, żeby Sheila nie musiała się między nimi przeciskać, co narażało ją na niewybredne zaczepki. Od tego czasu tutejsi bywalcy często sobie z niego pokpiwali. C.J. od dawna uchodził za rycerza, który zawsze ratuje damę w potrzebie.

- Może weźmiesz sobie wolne na resztę wieczoru? - spytał Sheilę.

- Potrzebuję pieniędzy.

- Dzisiaj mały ruch.

- Nie, dam sobie radę.

- Mała, wyglądasz tak, jakbyś miała zemdleć.

- Wezmę się w garść. - Sheila ściągnęła łopatki. - Słowo.
- Jak chcesz. Ale w razie czego...
- Wiem. Dzięki. - Spojrzała na niego z ukosa. - Nie musiałeś się bić, C.J. Nie możesz łomotać każdego, kto uszczyplnie mnie w tyłek.
- W swoim barze mogę.
- Muszę wreszcie nauczyć się radzić sobie z nachalnym gościem.
- Więc następnym razem ja go przytrzymam, a ty dasz mu w zęby. Stajesz się coraz bardziej podobna do mojej siostry Maggie.

C.J. zawsze uważał się za obrońcę swojej siostrzyczki, za jej rycerza w lśniącej zbroi. Jednak Maggie już go nie potrzebowała. Znalazła sobie człowieka skazanego za morderstwo i C.J. przestał rozumieć kobiety.

Teraz poklepał Sheilę po ramieniu i ruszył za kontuar, po drodze podnosząc przewrócone sprzęty.

- Ten chłopak musi pomóc każdemu bezpiecznemu psu i każdej babie w tarapatkach - mruknęła Gus. - Nie umrze ze starości, to pewne.

O pierwszej w nocy C.J. wywalił za drzwi czterech opieszających bywalców i zamknął bar. Większość klientów należała do klasy ciężko pracującej i powinna się wyspać, aby nazajutrz dobrze zająć się rzeszą zamożnych turystów, z których żyła małownicza Sedona.

C.J. kupił bar Ancient Mariner za oszczędzony żołd i zachował dotychczasowy charakter lokalu. Czerwona podłoga była porysowana ciężkimi buciorami, na wyblakłych, drewnianych ścianach wisiały indiańskie kilimy w ciepłych barwach, a na

meblach nie brakowało wydrapanych inicjałów. Tutaj można było się odprężyć, opowiadać historyjki o nowojorczykach, którzy pod słońcem Arizony piekli się w wełnianych garniturach od Armaniego, lub o Teksasńczykach uważających tutejsze góry za kupę kamyków. Przewodnicy godzinami rozprawiali o rekordowej liczbie ludzi, których wepchnęli do jednej gondoli balonu, i o dzieciakach, które pojechały do Rygi podczas przejażdżki w przestworzach.

CJ. sięgnął po pilota i włączył telewizor, żeby zobaczyć wiadomości. Policja nadal szukała zabójcy Pająka Wallace'a, miejscowego grabarza, zastrzelonego w ubiegłym tygodniu na cmentarzu. A wkrótce miał zjawić się w Sedonie senator George Brennan. Według dobrze poinformowanych źródeł, właśnie w rodzinnym mieście zamierzał oficjalnie zgłosić swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich.

CJ. zgasił odbiornik i ziewnął. Polityka nic go nie obchodziła. Wystarczy, że człowiek zadreżca się wysokością podatków. Dla rozrywki i ćwiczenia refleksu CJ. pracował jeszcze jako funkcjonariusz do spraw poręczeń, czyli łowca nagród. Jednak od dawna nie miał żadnego zlecenia i beczynność już dawała mu się we znaki. Dlatego czuł się trochę... niespokojny. Sfrustrowany.

Samotny.

- Jedziesz do domu czy będziesz tak się na nas gapić? - burknęła Gus.

- Idę, idę - odparł, ale nadal sterczał na środku baru, myśląc o swoim ojcu, Maksie, i o tamtym dziwnym roku, kiedy razem włączyli się po świecie, a ojciec załatwiał „handlowe” interesy. Oraz o matce - bladej i eterycznej - gdy umierała w nędznej kawalerce, nadal kochając mężczyznę, który nigdy nie miał dla niej czasu.

- Hej, szefie! Spadaj.
- Już znikam.

Jego czarny ford mustang z pięciolitrowym silnikiem i nowymi oponami stał przed wejściem. C.J. opuścił dach, wdychając ciepłe powietrze. Świerszcze cykały obłądnie.

C.J. ostro nacisnął pedał gazu i wyjechał na szosę. Jako doświadczony kierowca rajdowy wziął pierwszy zakręt, jadąc sto dziesięć na godzinę, a drugi - sto trzydzieści. Na prostym odcinku jeszcze zwiększył szybkość, chociaż niemal usłyszał zwyczajowe ostrzeżenia swojej babci. Skrzywił się i zręcznie zaliczył kolejny zakręt na górskiej drodze. Nowiutkie opony zapiszczały.

I nagle ujrzał we wstecznym lusterku światła. Czyżby gliny? Zdjął nogę z gazu, ale światła szybko się zbliżały. Ktoś jechał jak szaleniec. Za moment światła stały się oślepiające... i rozległo się przeraźliwe wycie gumy ślizgającej się po nawierzchni.

- Kochana, nic ci nie jest?

Głos dochodził jakby z daleka. Dziwne, pomyślała. Już kiedyś przeżyła coś podobnego w Arizonie. Ale wtedy nikt się nie zjawił. Jedynym dźwiękiem, jaki wówczas słyszała, było cykanie świerszczy. Brzmiało żałobnie.

- Hej, ocknij się! Weź głęboki oddech. O, właśnie tak.

Otworzyła oczy. Zobaczyła niewyraźną sylwetkę mężczyzny. Może nawet będzie miał skrzydła i aureolę? Kto wie, jak naprawdę wyglądają anioły? Ten to pewnie Shawn lub jej ojciec. Poczuła, że ze wzruszenia dławi ją w gardle.

Nie, to nie Shawn. Ten człowiek był bardziej muskularny. A palce, które głaskały ją po policzku, wydawały się nieco szorstkie.

Natychmiast zeszytywniała ze strachu. Żyła. Była przytomna. Musiała wziąć się w garść.

Objęły ją silne ramiona, palce odpięły pasy. Spróbowała wtulić się w fotel, ale nie panowała nad swoim ciałem. Bezskutecznie usiłowała coś powiedzieć.

Mężczyzna wziął ją na ręce, ona zaś bezsilnie oparła głowę na jego barku. Zrobiło się jej niedobrze. Zawsze opanowana profesjonalistka Tamara Allistair omal nie zwymiotowała na swojego wybawcę.

- Kochana, musimy jechać do szpitala.

- Nie. - Tym razem zdołała wydobyć głos z gardła i jeszcze raz stanowczo zaprotestowała. W szpitalu i na zabiegach fizyko-terapeutycznych spędziła dwa lata. Już do końca życia miała dosyć płóciennych koszul i sterylnych wnętrz.

- Ale kochana...

- Nie.

W milczeniu usiłowała zwalczyć mdłości i zmusić wzrok do posłuszeństwa. Nienawidziła własnej słabości i zamglonych obrazów przed oczami. Oraz wszelkiej niepewności.

- Napij się.

Poczuła coś na wargach i prychnęła, zaskoczona. Dwa palce delikatnie rozchyliły jej usta i chłodna woda spłynęła do gardła.

A po chwili świat wreszcie stał się normalny.

Siedziała w cudzym samochodzie. Opierała policzek o kogoś w znoszonym, bawełnianym podkoszulku. Słyszała bicie czyjegoś serca. Podniosła wzrok.

Ujrzała jasne jak pszenica włosy. Zarys wydatnej, męskiej szczęki pokrytej jednodniowym zarostem. Niewiarygodnie błękitne oczy okolone drobnymi zmarszczkami świadczącymi

o pogodzie ducha. Pełne, ładnie wykrojone wargi jakby stworzone do szerokiego uśmiechu.

Tamara niezmiernie się zdumiała, ponieważ mężczyzna ją obejmował. Dziwne. Mało kto ośmieliłby się jej dotknąć. A co więcej, nic jej nie bolało.

Nie tak jak kiedyś. Najpierw przeszła zabieg wkładania metalowych śrub i wszczepiania pręta, aby jakoś scalić jedną goleń. Tydzień później metalowymi płytkami i śrubami zamocowano miednicę. Ale po sześciu miesiącach fizykoterapii noga się nie zgoiła, więc wykonano kolejną operację - przeszczep kości. Goleń się zrosła, lecz wtedy wysiadło kolano, co oznaczało jeszcze jeden poważny zabieg. Obecnie Tamara miała w sobie więcej plastiku i metalu niż tkanki kostnej. I wiedziała, jak sprawić, aby nie odczuwać bólu. Nauczyła się też być silna.

Słabych życie nie głaszcze po głowie.

- Proszę mnie puścić - zażądała.

- Co?

- Proszę mnie puścić.

- Kochana, padło ci na mózg? Usiłuję ci pomóc. Do licha, ty krwawisz. - Silne ramię nagle przestało ją podtrzymywać, a ona bezwładnie osunęła się na siedzenie. - Ostrzegałem - dodał blondyn.

Wlepiła wzrok w bezkresne niebo i stwierdziła, że widzi wszystko potrójnie. Zaczęła oddychać głęboko, tak jak uczył ją Ben.

Weź się w garść, Tam. Postaraj się.

- Proszę przytrzymać to na czole.

Miękka szmatka była nasączona zimną wodą. Działała kojąco, ale na czole już wyrósł wielki guz. Żebra wydawały się obolałe. Tamara zastanawiała się, co z miednicą. Pęknięta,

złamana, roztrzaskana? Pasy bezpieczeństwa potrafiły zrujnować ludzkie ciało. Trzymały tak mocno, że siła zderzenia wpychała uda w miednicę, tłukąc ją jak skorupkę jajka i łamiąc kończyny.

- Ile palców pokazuję?
- To są palce? -jęknęła.
- O skarbie, jedziemy do szpitala.
- Nie. - Przymknęła powieki i silniej przycisnęła kompres.
- Za minutę będę jak nowa.
- A myślałem, że ja jestem uparciuchem.

Nie otwierając oczu, starała się ocenić stan swego ciała. Trochę bolał ją kark. I głowa. Ale mogła ruszać wszystkimi kończynami, nawet plastikowym kolaniem.

Opuściła rękę ze szmatką i spojrzała na mężczyznę. Stał tuż obok, trzymając ręce w kieszeniach wytartych dżinsów i patrzył na nią zatroskany. Zamrugała i zobaczyła go wyraźniej. Wyglądał na kogoś, kto jest uparty jak osioł.

- Pora na jazdę do szpitala - oświadczył stanowczo. - Możesz uważać mnie za wariata, ale nie lubię, jak kobiety umierają w moich ramionach.

- Plaster... w moim aucie...
- Masz tam apteczkę?
- W bagażniku.
- Przynajmniej pakujesz się lepiej, niż jeździsz.

Pomaszerował do lexusa, a Tamara spokojnie sprawdziła swoje stawy. Codziennie rano wykonywała ćwiczenia rozciągające, których nauczył ją Ben. Miała zbyt wiele tkanki bliznowatej, aby mogła dopuścić do jej zeszczywnienia. Poruszyła flekami i nogami i z ulgą skonstatowała, że nie jest źle. Zwłaszcza po takim zakończeniu jazdy jak tej nocy.

- Kochanie, ty to nazywasz apteczką? Chyba żartowałaś. Jesteś jakimś chirurgiem, czy co?

- Nie. - Zaciśnęła palce na krawędzi siedzenia, żeby wstać, ale blondyn natychmiast chwycił ją za ramiona, a ona zeszywniała.

- Spokojnie. - Mężczyzna pośpiesznie ją puścił i się cofnął.
- Tylko ci pomagam.

- W... wiem. - Zdołała usiąść, a świat zawirował. Gdy wreszcie się zatrzymał, zobaczyła swoje auto piętnaście metrów z tyłu i blondyna obok siebie. Teraz mierzył ją badawczym spojrzeniem lekko przymrużonych oczu.

- Do... dostanę ten plaster?

- Proszę bardzo. Pewnie sama go sobie przyklepisz?

- Tak. - Poczowała rumieniec wstydu.

- Jesteś z Nowego Jorku, prawda? - Na widok jej czujnej miny blondyn wzniosł oczy ku niebu. - Przecież to oczywiste, kotku. Luksusowy samochód, wytworne, drogie ciuszki i wdzięczność psa wobec kolejnej porcji pcheł. Raz odwiedziłem brata w Nowym Jorku i wciąż nie mogę się nadziwić, że ludzie naprawdę chcą tam mieszkać.

Skinęła głową, drżącymi palcami usiłując wyjąć plaster z opakowania. Przyjechała tu ze świadomością, że absolutnie nie powinna się wyróżniać, tymczasem obcy człowiek rozszyfrował ją w parę minut. Co jeszcze o niej wiedział? Dlaczego o tej porze jechał górską drogą? I czemu jej hamulce odmówiły posłuszeństwa, gdy pompowała je przed wejściem w zakręt?

Ręce zadygotały jej jeszcze bardziej.

- Radzisz sobie świetnie, kochana, ale daj mi to. - Blondyn wziął opatrunek, rozerwał papier i zręcznie przyklepił plaster na jej czole. - Ale to tylko prowizorka. Trzeba cię zeszyć.

- Nic mi nie jest.

- Jasne. Byłem dwanaście lat w piechocie morskiej, a od sześciu prowadzę bar. Wiem, kiedy ktoś potrzebuje szwów. Twoje czoło wygląda jak po lobotomii. - Blondyn skrzyżował ramiona. - Czego sobie życzysz?

- Mów ciszej. - Delikatnie przycisnęła dłonie do skroni.

- O rany, wybacz, byłem trochę zbyt agresywny. Może zaczniemy od początku? - Wyciągnął rękę. - Jestem C.J. MacNamara, właściciel baru Ancient Mariner, parę kilometrów stąd.

Ciepłe, silne palce uściśniły jej dłoń w taki sposób, jaki lubiła - stanowczo, lecz nie aż tak mocno, żeby ją zmiażdżyć, jak robili niektórzy mężczyźni.

Tamara nieco się odprężyła. Skoro ten MacNamara ma bar, to pewnie niedawno go zamknął i dlatego jechał tędy o tej porze. Nie z innego powodu.

- Ja też przepraszam - odrzekła. - Chyba uderzyłam się mocniej, niż sądziłam.

- Naprawdę powinnaś pokazać się lekarzowi.

- Nie... pozbieram się. - Nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy nie mówiła o swoim dawnym wypadku, a tutaj, w Sedonie, mogłoby to wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie. Zbyła więc uwagę wzruszeniem ramion. - Dałbyś mi jeszcze wody? - Wzięła butelkę, świadoma przenikliwego spojrzenia swego wybawcy. Chyba nie należał do ludzi, których łatwo spławić. - Dziękuję... eee... za to, że się zatrzymałeś.

- Witamy w Sedonie. Tutaj nadal pomagamy sobie nawzajem. Mogę spytać, czemu jechałaś jak szalona? Tylko kompletny idiota bierze takie zakręty, jadąc setką.

- Ty też pędziłeś.

- Tylko osiemdziesiąt na godzinę Dwadzieścia kilometrów to kolosalna różnica

- Wiem - Zrobiła dwa kroki, zachwiała się, a on ją podtrzymał Oczywiście zeszytniała, a jego oczy znów się zwięziły

- Jestem szczepiony, daję słowo

Odwróciła głowę i popatrzyła na swoje auto Stało w kręgu drobnych kamieni i czerwonego pyłu, ale wyglądało na nieuszkodzone Osiem lat temu zaczęła jeździć wyścigowo i tylko dzięki nabytym umiejętnościom kierowcy rajdowego zdołała dzisiaj zapanować nad pojazdem Gdyby nie to, skończyłoby się na dachowaniu Ale dlaczego zawiodły hamulce?

- Juz mi lepiej - zapewniła - Dzięki za pomoc Możesz juz jechać - Skierowała się do lexusa, ale obcasy tonęły w miękkim podłożu, więc kulała jeszcze bardziej mż zwykle

- Nie zostawię cię tutaj

- Daj spokój - Wyjęła z bagażnika latarkę i komplet narzędzi - Znasz nowojorczyków Umiemy sobie radzić

- Czyżby spławiała mnie kobieta po wstrząsie mózgu

- Nic takiego me doznałam

Poszedł za nią i przystanął tak blisko, ze znów czuła przyjemny zapach mydła i niedawno pranych ubrań

- Stąd do cywilizacji jest osiem kilometrów w tył i jakieś sześćdziesiąt w przód Autobusy już nie jeżdżą, więc jakim cudem zamierzasz dotrzeć do domu?

- Naprawię swoje auto

- Sama?

- Tak - Otworzyła maskę, zdjęła jedwabny żakiet i pochyliła się nad rozgrzanym silnikiem

- Uważam się za nowoczesnego faceta Wychowała mnie

babcia, kobieta, która znała się na wszystkich maszynach. Ale ona zarządza wielką farmą mleczną, a nie ugania się lexusem po górskich drogach, mając na grzbiecie paryskie ciuchy.

Tamara nie odpowiedziała. Hamulce zawodziły z kilku powodów - awarii głównego komputera, powietrza w przewodach, wycieku płynu hamulcowego, obluźowania pierścienia pompy hamulca hydraulicznego i utraty płynu. Podobne rezultaty wywoływało dodanie sody, octu lub nadtlenu wodoru do płynu hamulcowego.

Większość tych przypadków była skutkiem celowego działania.

Daj spokój, Tamaro. Jesteś w Sedonie dopiero kilka dni. Nikt nie wie, że tu przyjechałaś. Ani po co. Musisz tylko jeszcze przez pewien czas zachować ostrożność.

W ciągu głupich dziesięciu dni poznasz prawdę. Postaraj się wytrzymać...

Spróbowała sprawdzić pierścień pompy i prawie przypiekła sobie kciuk.

- Weź to. - C.J. podał jej niewielki mokry ręcznik, który przed chwilą służył za kompres.

Pierścień nie budził podejrzeń. Znalazła kroplę płynu hamulcowego i powąchała go. Nie pachniał niczym podejrzanym. Roztarta gęsty, pomarańczowy płyn między palcami. Był ciepły i oleisty. Żadnej szorstkości od dodatku w postaci sody.

Przesunęła wolno dłonią po gumowym przewodzie, szukając ewentualnych przecieków. Dolne hamulce były metalowe, ale górne...

Pięć centymetrów dalej trafiła na nierówność. Potem na drugą. I jeszcze jedną. W sumie pięć. Nieduże, lecz razem wzięte...

Wada produkcyjna?

Sabotaż.

Nie, to niemożliwe. Przecież tutaj uchodziła za zdolną nowojorską specjalistkę w zakresie public relations, która na ochotnika wspiera kampanię wyborczą senatora Brennana. Pół roku temu obmyśliła wszystko i wtajemniczyła w to tylko Patty. Przyjechała tu już trzy dni temu i nawet jeszcze nie spotkała Brennana. Nie mógł wiedzieć, kim ona jest ani jaki przyświeca jej cel. Nie należy więc panikować, bo wszystko idzie zgodnie z planem.

- Układ hamulcowy?

Drgnęła, słysząc nieoczekiwane pytanie, całkiem zapomniała bowiem o obecności C.J. Ona zaś także pochylił się nad silnikiem.

- Chyba wycieka płyn - stwierdził beznamiętnym tonem.

- Tak - mruknęła po chwili milczenia, wpatrzona w silne, męskie dłonie poznaczone białymi bliznami. - Przewody są uszkodzone.

- Przekłute? - C.J. zmarszczył brwi.

- Cóż... jest kilka dziur.

- Takie rzeczy nie zdarzają się przypadkiem w górnych hamulcach.

- Może to wada fabryczna.

- Powiedzmy, że tak... Ale nie powinnaś teraz jechać tym samochodem. Podwożę cię.

- Mam taśmę i zapas płynu w metalowej bańce. Poradzę sobie.

- Wozisz ze sobą płyn hamulcowy?

- Czasem się przydaje. - Chciała się odsunąć, lecz C.J. przytrzymał jej nadgarstek.

- Jasne. Nie powinno mnie to dziwić, skoro wozisz także pistolet.

Serce załomotało jej gwałtownie. Gdy się schyliła, CJ. musiał zauważyć pokrowiec na jej kostce u nogi. O Boże...

- Przepraszam, ale usiłuję wyjąć ten płyn.

- A ja usiłuję się domyślić, kim jesteś, u licha.

- To na pewno nie twoja sprawa. - Ominęła go, chwyciła bańkę i rolkę taśmy, ale CJ. ani drgnął. Stał oparty o przód samochodu, skrzyżowawszy ramiona na muskularnej piersi opiętej białym podkoszulkiem. Tamara po raz pierwszy spojrzała na buty blondyna. Miał na nogach toporne, skórzane trzewiki. Mocno podniszczone. Bucioro człowieka pracy. Jej ojciec też kiedyś takie nosił. Uwielbiał je. Zawsze powtarzał, że tylko w takim obuwiu można być prawdziwym mężczyzną,

- Nie przedstawiłaś się.

- Jestem zmęczona. Już późno. Chcę zreperować wóz i wrócić do domu.

- Czyli gdzie?

- Nie podaję adresu nieznanym. - Oderwała kawałek taśmy i owinęła nią uszkodzone miejsce.

- Ja zdradziłem ci swoje nazwisko. Zatrzymałem się, żeby pomóc. Ile jeszcze musisz wiedzieć?

- W dzisiejszych czasach dziewczyna powinna uważać. - Stał tuż obok niej. Poczowała słaby aromat old spice'a. Kiedyś uwielbiała ten zapach. Obecnie go nie znosiła. A teraz pragnęła jak najszybciej stąd zniknąć, aby nie myśleć o innym wypadku na szosie w Arizonie. Leżąc bezwładnie, słyszała wtedy, jak umierają jej najbliżsi.

- Pozwól mi przynajmniej uzupełnić płyn,

- Nie potrzebuję twojej pomocy! Proszę cię, zostaw mnie samą.

Nie odpowiedział. Nie poruszył się. Powoli powędrował

spojrzeniem po jej twarzy, jakby chciał odkryć wszystkie tajemnice.

Zacisnęła wargi i odważnie napotkała jego wzrok. Do licha, teraz już nie dawała zbić się z tropu. Dawno temu nabrała doświadczenia.

- Czy facet twojego pokroju nie powinien o tej porze deflować jakiejś dziewczyny?

- Tylko w piątki. W środy ratuję damy w potrzebie.

- Mnie nie musisz. - Odkręciła zakrętkę i wlała płyn. Naprawdę umiała sobie radzić.

- Rzeczywiście - z wolna wycedził CJ. MacNamara. - Jak na kogoś tuż po wypadku nie wydajesz się wstrząśnięta.

- Bo nie jestem.

- I nie potrzebujesz pomocy.

- Nie. - Zamknęła bańkę i wraz z taśmą oraz latarką wrzuciła do metalowej skrzynki z narzędziami.

- Nie okazujesz cienia zdenerwowania ani hysterii.

- Me bawię się w histerię.

- A w co się bawisz?

- Pilnuję własnego nosa. - Obeszła auto, wsadziła pudło do bagażnika i z hukiem zatrzasnęła klapę. Następnie wsiadła, lecz zapinając pasy, poczuła ból brzucha i szyi. Niech to diabli!

Zapaliła silnik, a MacNamara zajrzał do wnętrza nad uchyloną szybą od strony kierowcy.

- Kim jesteś?

- Nikim. Do widzenia.

- Co się stało tym hamulcom?

- Wada fabryczna. Żegnam.

Wyjechała na drogę i znikła w mroku.

C J. stał przez chwilę, wpatrzony w blednące światła samochodu.

- Kłamczucha - mruknął. Wiedział, że nie powinien się interesować nieznajomą. Ale spojrział na plamy płynu hamulcowego i westchnął. Zafascynowała go ta bezimienna kobieta w aucie z uszkodzonymi hamulcami, podróżująca z półautomatyczną dwudziestką dwójką. Piękna i sztywniejąca za każdym razem, gdy jej dotknął.

Nieproszony wtykasz nos w nie swoje sprawy, ostrzegł czyjś głos. Pewnie babci.

Za późno, pomyślał C.J. Już nie zamierzał się wycofać.

ROZDZIAŁ 2

Panno Thompson, ma pani gościa.

Tamara podniosła wzrok i C.J od razu stwierdził, że go dostrzegła, bo w jej piwnych oczach pojawił się wyraz czujności. C.J. uśmiechnął się czarująco i pomachał ręką. Dziewczyna wyraźnie się zasępiła.

W dzień wyglądała jeszcze piękniej. Gęste kasztanowe włosy miała gładko szesane do tyłu i związane na karku, a niewątpliwie drogi, ciemnobrazowy kostium z brązowo-zielono-złotą apaszką był w bardzo wyrafinowanym guście. W tym stroju mogłaby uchodzić za osobę z wysokiego szczebla zarządzania, gdyby nie duży opatrunek na delikatnym czole i fioletowe sińce pod oczami.

- Co pan tu robi? - spytała bez żadnych wstępów, gdy recepcjonistka odeszła. Znajdowali się pośrodku „kwatery głównej” senatora Brennana, w którą zmieniono salę balową hotelu El Dorado. Nad głowami skrzyły się trzy kryształowe żyrandole, lecz były one jedynymi eleganckimi elementami wyposażenia. W ogromnym pomieszczeniu stały bowiem niezliczone drewniane stoły i metalowe, składane krzesła. Powietrze wypełniał gwar licznych głosów, wzbogacony szmerem pracujących komputerów i brzęczeniem telefonów. Na jednej ze ścian wisiało ogromne, kolorowe zdjęcie senatora, z dobrodusznym uśmiechem spoglądającego na chaos Wykreowany na jego cześć. C.J.

wcale by się nie zdziwił, gdyby u stóp senatora ujrzał płonące kościelne świece.

- Interesuje mnie osoba senatora George'a Brennana. - CJ. zignorował lodowate spojrzenie dziewczyny i wygodnie przysiadł na rogu jej biurka. Było zavalone papierami, więc wziął jeden z arkuszy i zerknął na kolejne punkty, a ona natychmiast wyszarpnęła mu kartkę z ręki i odłożyła na miejsce.

- Jesteśmy w sztabie wyborczym, panie MacNamara - odparła ostrym tonem. - Proszę mówić, o co chodzi, albo wyjść.

- Już powiedziałem - odparł z miną niewiniątka. - Chciałbym dowiedzieć się czegoś o naszym kandydacie. Chyba trafiłem do najlepszego źródła.

- Jak mnie pan znalazł? Śledził mnie pan?

- Czyżby mania prześladowcza?

- Proszę odpowiedzieć.

- Dobrze. - Wzruszył ramionami. - Trochę się rozejrzałem i oto jestem.

- Przecież nie podałam panu swojego nazwiska.

- Szukałem rozciętego czoła.

- Panie MacNamara, nie mam czasu na żadne gierki. Albo zaraz mi pan wyjaśni, jak mnie pan zlokalizował i po co przyszedł, albo wezwę ochronę.

Zauważył, że jest zdenerwowana. Oddychała szybko i była biała, a żyłka widoczna tuż nad jedwabną apaszką szybko pulsowała.

- Mimo pani uporu wiedziałem, że trzeba założyć szwy - wyjaśnił łagodnie. - W okolicy jest tylko jeden szpital, więc zadzwoniłem do izby przyjęć. Podali mi pani nazwisko, a po paru przymilnych słówkach - również nazwę hotelu.

CJ. wiedział, że ona mu nie wierzy. Pamiętał, z jaką miną patrzyła na niego w nocy. Dlaczego była taka ostrożna? Jeszcze

nigdy żadna kobieta nie okazywała mu tyle nieufności. Najchętniej potrzęsnałby tą dziewczyną i zawołał: „Hej, jestem tym dobrym facetem!”.

- Personel szpitala nie udziela takich informacji.

- Pracuję też jako funkcjonariusz do spraw poręczeń. Mam prawdziwą odznakę i tak dalej. Zdziwiłaby się pani, ile można dzięki temu się dowiedzieć.

Najpierw wyraźnie się stropiła i może przestraszyła, lecz zaraz buntowniczo wysunęła brodę, jak gotowy do walki wojownik. C.J. klaskaniem wyraziłby aplauz dla takiej siły charakteru, lecz ta śliczna szatynka chyba dałaby mu w ucho. Zważywszy na to, jak ostro jeździła i jak dobrze była uzbrojona, wołał nie sprawdzać, jak mocno bije pięścią.

Uciekł się do innej metody i obdarzył dziewczynę swoim najbardziej czarującym uśmiechem. Zawsze działał na kobiety zniewalająco.

- Jak się pani miewa, Tamaro Thompson? Martwiłem się o panią przez calutką noc.

Nie zadziałało. Tamara prychnęła kpiąco.

- Zawsze tak się pan przejmuje losem uratowanych przez siebie kobiet?

- Tylko tych, które miały wstrząśnienie mózgu, a mimo to nie pozwoliły odwieźć się do domu.

- Jak pan widzi, czuję się świetnie. - Z trzaskiem odłożyła ołówek. - Dziękuję za troskę, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy i może pan już iść.

- Wygląda pani na zmęczoną.

- Wypadki samochodowe nie poprawiają kobiecie nastroju.

- A jak tam układ hamulcowy? Stwierdziła pani, co nawaliło?

- Nie miałam czasu.

- Chętnie się tym zajmę.
- Może lepiej tym swoim barem? - syknęła gniewnie.
- Mój bar da sobie radę beze mnie.
- Wobec tego on i ja mamy ze sobą coś wspólnego!

C J. parsknął śmiechem, a ona uroczo się zarumieniła.

- Uwielbiam z panią gawędzić, Tamaro. Jeszcze nigdy żadna kobieta tak skutecznie nie przywołała mnie do porządku.

- To oczywiste. - Starła się zachować surowość, ale najwyraźniej była zakłopotana. Znow chwyciła ołówek i zaczęła obracać go w palcach, nie podnosząc wzroku.

CJ. dałby głowę, że z tą dziewczyną od dawna nikt nie flirtował. Dziwne. Była błyskotliwa i atrakcyjna. Chyba każdy w miarę ambitny facet przynajmniej spróbowałby ją poderwać. Mieszkała jednak w Nowym Jorku, a ludzi stamtąd naprawdę trudno zrozumieć.

- Więc pani tu pracuje? - zagadnął lekkim tonem.

- Usiłuję.

- Co sprowadza kogoś z Nowego Jorku aż do sztabu wyborczego senatora z Arizony?

- Mam tu rodzinę. Eee... kuzynkę. Patty Foster. Prowadzi galerię sztuki.

- Wiem, Wild Horses. Wspaniała galeria.

- Przekażę, że się panu podoba.

- Wcale nie przypomina pani Patty.

- No dobrze, panie MacNamara. Oto fakty. Jestem z Nowego Jorku. Pracuję tam w Lombardi's - wielkiej firmie do spraw public relations. Lubimy sądzić, że jest jedną z najlepszych w tej dziedzinie, a ja lubię sądzić, że jestem jednym z najlepszych młodszych współpracowników. Zajmując takie stanowisko, mam prawo do czterech tygodni urlopu rocznie. Wie pan, co to takiego?

- Trafiony, zatopiony...

- Na razie wzięłam dwa tygodnie i włączyłam się w kampanię wyborczą senatora. A za dziesięć dni wracam do Nowego Jorku.

- Czyli wie pani wszystko o naszym senatorze. Doskonale. Proszę mi coś o nim powiedzieć. Jestem zarejestrowanym wyborcą. Nie wątpię, że ktoś musi być prezydentem. Dlaczego właśnie pan Brennan?

Wzięła głęboki oddech. W myśli chyba liczyła do dziesięciu. Jej policzki nabrały koloru, w oczach pojawiło się złote lśnienie. C.J. patrzył na nią zachwycony. Miała taką minę, jakby najchętniej spuściła mu lanie i wywaliła za drzwi. Zaryzykował kolejny uśmiech.

- Nie przyszedł pan pytać o senatora Brennana!

- Nie, ale skoro już tu jestem...

- PanieMacNamara...

- Proszę mi mówić C.J.

Jej oczy płonęły. Jak oczy rozjuszonej tygrysy. C.J. był coraz bardziej zaintrygowany. Ona zaś tak mocno stuknęła w biurko ołówkiem, że przechodząca obok nastolatka niemal podskoczyła.

- Dosyć tego! Nie mam pojęcia, czemu z takim uporem depte mi pan po piętach. Dziękuję za wczorajszą pomoc, ale sama zawsze daję sobie radę. Proszę stąd iść.

- Wcale cię nie prześladuję, Tamaro. Możesz spytać o mnie szeryfa. Po prostu bardzo mi się podobasz.

- Nawet mnie nie znasz!

- No właśnie. Dlatego próbuję nadrobić zaległości, ale rozmowa z tobą przypomina flirt z jeżozwierzem.

- Co powinno dać ci do myślenia.

- Nigdy nie byłem taki bystry. - Spojrzał na nią poważnie.
- Masz kogoś?

Zacisnęła wargi. Chyba rzadko traciła panowanie nad sytuacją i potrafiła trzymać na dystans prawie każdego faceta. C.J. coraz bardziej ją podziwiał.

- Jesteś mężatką?

Zaprzeczyła ruchem głowy, ale złociste oczy spoglądały buntowniczo.

- W ogóle nie jesteś mną zainteresowana? - przymilnie spytał C.J. - Ani trochę? Nawet ociupinkę?

- Nie.
- Kłamczucha - stwierdził rozpromieniony.
- Och, ty zapatrzony w siebie, zarozumiały...
- Znów się rumienisz.
- Wcale nie!

Rzeczywiście się zaczerwieniła, lśniące oczy ciskały błyskawice, a szczupłe dłonie raz po raz nerwowo się zaciskały. Gdyby nie znajdowali się pośrodku sali pełnej ludzi, chyba schyliłby się i pocałował tę dziewczynę. Ale na widok zbliżającej się ochotniczki w kwiecistej sukni wstał i głośno oświadczył:

- Panno Thompson, naprawdę nie miałem pojęcia, że senator jest takim orędownikiem wartości rodzinnych. Właśnie tego nam trzeba. - C.J. poczekał, aż kobieta ich minie. - Czemu więc ugania się za wszystkim, co ma silikonowe implanty i minispódniczkę? - dodał przyciszonym tonem.

Tamara przymknęła oczy. Teraz na pewno liczyła do dziesięciu. Umiała błyskawicznie wziąć się w garść.

- To tylko plotki - oświadczyła chłodno. - Wiesz, co potrafią wymyślić media.
- Więc nie jest babiarzem?

- George Brennan od trzydziestu dwóch lat ma tę samą żonę. Cieszy się opinią wspaniałego męża i ojca. Jego dwoje dzieci studiuje prawo na Harvardzie. Senator wysoko ceni rodzinę.

- I staranne wykształcenie?

- Oczywiście.

- A co ze służbą zdrowia, ubezpieczeniem społecznym i wzrostem wskaźnika zabójstw popełnianych przez nastolatki poniżej szesnastego roku życia?

- George Brennan walczy z przestępczością. Jest zwolennikiem sądenia młodocianych przestępców tak jak dorosłych. Popiera karę śmierci.

C.J. słuchał, kiwając głową. Tamara Thompson dosłownie przed chwilą kipiała ze złości, a teraz nie okazywała śladu emocji. Mówiła o senatorze jak zawodowa lektorka wynajęta do czytania tekstu. Robiła to beznamytnie, nie zdradzając żadnych uczuć. Instykt podpowiadał C.J., że coś jest nie tak.

- A ja słyszałem, że senator to gość, który lubi się zabawić i zawsze ma na boku jakieś panienki, szasta państwowym groszem i przyjmuje kosztowne prezenty od przedstawicieli świata biznesu.

- Pomówienia.

- Tamaro, on siedzi w polityce od dwudziestu lat, a media nadały mu przydomek Szczwany Lis, bo zawsze umie zwać nawet bystrym reporterom. Ile z tego świetlanego wizerunku jest kłamstwem?

- Mam tu dokładną charakterystykę jego stanowiska. Może ją przeczytasz - zaproponowała cierpkim tonem.

- Znasz go osobiście?

- Nie. W przyszłą sobotę przyjeżdża do Sedony na wiec inauguracyjny.

- Ekscytujące.
- Dla nas wszystkich.
- Czemu jakoś ci nie wierzę?
- Nie... nie wiem. - Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy

patrzyła na ekran komputera.

CJ. miał ochotę dotknąć jej policzka. Przesunąć kciukiem po jej brodzie, musnąć palcem wargi, zobaczyć, jak się rozchylają. Chciał spojrzeć w złociste oczy i coś z nich wyczytać. Przez jeden krótki moment sądził, że porozumiał się z tą kobietą, odkrył jej prawdziwe, namiętne oblicze. Lecz teraz ona znów schowała się za maską chłodnego dystansu.

- Odprowadzisz mnie do drzwi? - CJ. wiedział, kiedy należy się wycofać. A na widok jej widocznej ulgi niemal się uśmiechnął.

- Idziesz?

- Mogłabyś chociaż udawać rozczarowanie.

- Zawsze jestem konsekwentna. - Pośpiesznie wstała, najwyraźniej zadowolona, że zaraz pozbędzie się nieproszonego gościa.

CJ. pokręcił głową. Pierwszy raz spotkał kobietę tak bardzo odporną na jego uwodzicielskie zapędy. Gdyby dowiedział się o tym jego brat Brandon lub siostra Maggie, oboje pękaliby ze śmiechu.

Tamara wyszła zza biurka. Jej świetnie skrojony kostium był w identycznym stylu jak ten, który nosiła minionej nocy, i szczerlnie osłaniał sylwetkę od stóp aż po szyję. CJ. z podziwem patrzył na tę elegancką, piękną kobietę, która ma coś do ukrycia.

I lekko kuleje.

- Coś ci się stało?

- Nie, to stara sprawa. Nie ma nic wspólnego z wczorajszym wypadkiem.

- Zapanowałaś nad autem jak zawodowiec. - C.J. pytająco zawiesił głos, a usta Tamary lekko drgnęły.

- Nigdy się nie poddajesz, C.J.? Jesteś jeszcze bardziej uparty niż ja.

- Tylko trochę ciekawski. Brałaś zakręty jak rajdowiec. Wozisz w bagażniku więcej narzędzi niż ja i naprawiasz, hamulce z taką łatwością, jakbyś robiła sadzone jajka.

- Należę do SCCA, tego klubu automobilistów - przyznała w końcu.

- Prowadzisz wozy wyścigowe? - C.J. naprawdę się zdumiał. - Ja też. Mam volkswagena scirocco z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, silnik półtora litra, sto koni mechanicznych. Kupiłem to auto w zeszłym roku. Zawieszenie jest spaprane, ale jeszcze się trzyma.

- Ja jeżdżę toyotą corollą GTS z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Kupiłam ją pięć lat temu. Muszę wymienić silnik, oczywiście studwudziesięciokonny. Z setką niewiele zdziałasz.

- Startujesz w Limerock, New Hampshire i Pocono?

- Gdy tylko mogę.

C.J. gwizdnął z wrażenia. Oto kobieta, która zna się na autach. Która lubi poświęcić weekend na jazdę po wyścigowym torze. Imponujące. Niby coraz więcej pań interesowało się tym sportem, ale przeważał model tradycyjny. Tata był kierowcą sportowego bolidu, mama pakowała kosz z kanapkami, małe dzieciaki ganiały jak szalone między stosami zapasowych opon, narzędzi i rozmontowanymi silnikami, a nastoletni synowie z nabożną czcią pomagali ojcom sprawdzić to i owo, marząc o dniu, w którym sami usiądą za kierownicą.

A ta elegancka, delikatna kobieta wiedziała, jak sobie radzić

z tłumikami, tłokami i amortyzatorami, jak wycisnąć z wozu cały jego potencjał. I nie bała upaprać się w smarze.

- O rany. Jeśli na dodatek umiesz przyciąć płytę wiórową i czkać, to się z tobą ożenię.

- Nigdy nie czkam. - Uśmiechnęła się wbrew woli.

- Szkoda. Kobiety nie mają pojęcia, jak to może człowieka wyluzować.

- Rozglądaj się dalej. Gdzieś na świecie z pewnością istnieje kobieta twoich marzeń.

- Dlaczego zainteresowałaś się wyścigami?

- To twoje ostatnie pytanie?

- Ostatnie i zmykam. Słowo żołnierza.

- No dobrze - mruknęła ze sceptyczną miną. - Chciałam być lepszym kierowcą. Wiesz, jak to jest na wschodzie. W grudniu zaczyna sypać śnieg i jazda po śliskich drogach staje się koszmarem. Na torze wyścigowym człowiek uczy się, jak w każdych warunkach panować nad pojazdem. Dzięki tej wiedzy nie wylądowałam dzisiaj w nocy na dachu. Cieszę się, że tyle ćwiczyłam.

- Nie wątpię. - Odniósł wrażenie, że tym razem mówiła całkiem szczerze.

- Odpowiedziałam ci na pytanie i muszę wracać do pracy.

Podeszli do wielkich, dwuskrzydłowych drzwi i CJ. przystanął. Wiedziony impulsem delikatnie pogłaskał kciukiem policzek Tamary, ona zaś raptownie drgnęła i spuściła wzrok.

- Proszę cię... daj spokój. Nie jestem kimś, kto powinien cię interesować.

- Nie dasz się zaprosić na kolację?

- Nie. Wiesz, że wkrótce wracam do Nowego Jorku.

- Więc zjedźmy szybki posiłek.

- Muszę wziąć się do roboty. - Nadal wpatrywała się w podłogę.

- Naprawdę wszystko w porządku?

- Oczywiście.

- Skoro tak dobrze znasz się na samochodach, to sama rozumiesz, że uszkodzenia układu hamulcowego raczej nie powstają samoistnie. Zwłaszcza w górnych przewodach. Nie wykryłaś nic obluzowanego, żadnych ostrych krawędzi...

- Jestem pewna, że to była wada fabryczna - odparła stanowczo. - Już dzwoniłam do mechanika. Zajmie się tym.

- Czemu ci nie wierzę?

- Nie wtykaj nosa w cudze sprawy.

C.J. wziął głęboki oddech, zdziwiony przyływem frustracji. Chciał wetknąć nos w sprawy Tamary i zazwyczaj stawiał na swoim. Zwłaszcza jeśli tak czarująco się uśmiechał.

- Mój bar nazywa się Ancient Mariner. Zawsze mnie tam znajdziesz, gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała.

- Dobrze - odparła chyba tylko dlatego, żeby zrobić mu przyjemność.

- W razie czego zadzwonisz?

- Ależ jesteś nachalny! - Rozłożyła ręce w geście bezradności. - Kompletny wariat z ciebie, C.J. MacNamara, lecz skoro tak nalegasz, to zgoda. Jeśli wielki, zły smok pojawi się u stóp mojej wieży z kości słoniowej, to będziesz pierwszym rycerzem, którego poszukam w książce telefonicznej.

- Doskonale. - Wyszedł na zewnątrz i nagle się odwrócił.

- Tamaro - dodał miękkiem tonem. - Uważaj na siebie, dobrze?

- Kim, u licha, jest ten MacNamara?

Tamara opadła ciężko na fotel w saloniku na tyłach galerii

Wild Horses. Patty już ją zamknęła i z dala od ciekawskich oczu Tamara wreszcie mogła dać upust tłumionym emocjom. Fakt, że w ogóle się pojawiły, był sam w sobie szokujący. Od dziesięciu lat prowadziła bowiem życie starannie zaplanowane i zawsze panowała nad wszystkimi sprawami. Dzięki temu przetrwała okres intensywnej fizykoterapii, chociaż jej ciało odmawiało posłuszeństwa, a później zaczęła robić błyskotliwą karierę zawodową.

Ale dzisiejszego popołudnia, w ogóle nie mogła się skupić. Siedziała przy biurku, usiłując wymyślić hasło wyborcze dla senatora Brennana, lecz myślała o C.J. MacNamarze. O jego błękitnych oczach, jasnych, falujących włosach i tym oszałamiającym uśmiechu. C.J. patrzył na nią takim wzrokiem, jakby naprawdę mu się podobała. I jakby chciał poznać każdy jej sekret.

O Boże! Potrząsnęła głową, bezskutecznie usiłując wymazać z pamięci postać tego mężczyzny. Nie zamierzała się rozklejać tylko dlatego, że nadmiernie napompowany testosteronem, przystojny facet wpadł do niej na krótką pogawędkę.

- C.J. MacNamara?

Patty patrzyła na nią badawczo. Była piękna urodą dojrzałej kobiety. Ognistorude włosy opadały na ramiona i plecy masą spiralnych loków, a zwiewna suknia z fioletowego jedwabiu idealnie dopełniała wizerunku właścicielki galerii sztuki. Tamara i Patty zaprzyjaźniły się dawno temu, jeszcze w szkole podstawowej. Potem, gdy miały po dwanaście lat, matka Patty zmarła na raka piersi. Ojciec Patty początkowo był zbyt pogrążony w bólu, aby zajmować się córką i ona poniekąd adoptowała rodzinę przyjaciółki, stając się siostrą, której Tamara nigdy nie miała. Gdy Tamara niedawno postanowiła przyjechać do Sedony, skontaktowała się tylko z Patty.

- Jak poznałaś C.J.? - W zielonych oczach Patty zamigotał niepokój.

- Pomógł mi w nocy na szosie, gdy nawalił mi samochód.

- Tamara wołała nie martwić Patty szczegółami tego zdarzenia.

- A dzisiaj wpadł do sztabu wyborczego.

- Śledził cię?

- Chyba... tak. Zaproponował mi randkę.

Patty raptownie się wyprostowała i zmierzyła przyjaciółkę zdziwionym oraz jakby szacującym spojrzeniem, a Tamara nieoczekiwanie dla siebie mocno się zarumieniła. Do licha, nie powinna się czerwienić. Nie było do tego powodów. Ci. wyraził zainteresowanie. Ona powiedziała „nie”. Niektórzy faceci lubią wyzwania. C.J. MacNamara niewątpliwie zaliczał się do tego grona.

- To bawidamek - mruknęła Patty.

- Takie odniosłam wrażenie.

- Chcesz się z nim umówić?

- Skądże. Przyjechałam tu wyłącznie w jednym celu - aby poznać prawdę o tym, co spotkało moją rodzinę. Wiesz, jaką personą jest senator. Właśnie widziałam listę największych firm, z których każda wpłaciła na jego kampanię reklamową po kilkaset tysięcy dolarów. On naprawdę ma szansę na prezydenturę. Gdyby się dowiedział, co knuje...

Patty wyraźnie się zasepiła. W dzieciństwie ona była szaloną buntowniczką, która pakowała je w kłopoty, a Tamara - jako grzeczna dziewczynka - zawsze znajdowała jakieś wyjście. W jakiś czas po śmierci matki Patty straciła wszelkie hamulce - zaczęła palić, pić, włóczyć się po nocach. Lecz obecnie, w dorosłej wersji, wydawała się kimś zupełnie innym - kobietą spokojną i *szalenie ostrożną*.

Gdy Tamara zawiadomiła ją o swoich planach, Patty gorąco

odradzała jej przyjazd do Sedony. Uważała, że to zbyt niebezpieczne. Nadal tak sądziła.

- Wracaj do Nowego Jorku - powiedziała teraz. - Senator nigdy o niczym się nie dowie i wszystko będzie dobrze.

- Zostaję.

- Tammy, proszę cię... Mieszkasz na Manhattanie, wspaniale zarabiasz, jeździsz luksusowym autem. Odniosłaś sukces. Nawet spotykałaś się z tym znanym lekarzem...

- Z Donaldem. Nic z tego nie wyszło.

- Poznasz kogoś innego. Rzecz w tym, że naprawdę masz udane życie, więc po co wtykasz nos tam, gdzie nie powinnaś? Jeśli rzeczywiście to senator spowodował tamten wypadek, a teraz dowie się, że wężysz...

- Bardzo uważam.

- Tammy, a ja? - Patty wyrzuciła ręce w górę, a rude loki zafalowały. - Ja mieszkam tutaj, usiłuję prowadzić tę galerię, ale nie stać mnie na lexusa. Mówimy ludziom, że jesteś moją kuzynką, lecz jeśli senator cię przyszpili, to ja też jestem załatwiona!

- Wargi Patty zadrżały, więc na moment mocno je zacisnęła.

-- Chcę ci pomóc. Twój bliscy byli dla mnie jak rodzina i pragnę się dowiedzieć, kto ponosi winę za ich śmierć. Ale nie za cenę takiego ryzyka. Już tyle straciłam, a poza tym co mogłybyśmy zdziałać?

Tamara niestety nie znała odpowiedzi na to pytanie. Gdy wtedy ocknęła się na szpitalnym łóżku, miała pod powiekami zamglony obraz męskiej twarzy, ale nie była w stanie dobrze jej sobie przypomnieć. Wiedziała tylko, że tuż po wypadku ten człowiek pochylił się nad nią. Pół roku później przypadkiem zobaczyła w telewizji wywiad z senatorem Brennanem i nagle skonstatowała, że to był właśnie on.

Złożyła zeznanie na policji, lecz wycofała je podczas szczegółowego przesłuchania, zasłaniając się brakiem pamięci. A policja nie zamierzała bez przekonujących dowodów naciskać senatora. Tamarę poinformowano, że szuka się świadków wypadku i samochodu, którego czerwony lakier był na aucie jej rodziców. Zapewniono ją, że ślady opon pozwoliły określić rodzaj pojazdu, a po jego odnalezieniu ustalenie sprawcy będzie proste. Tamara miała się o to nie martwić. Najważniejsze, aby wyzdrowiała.

Przeszła kilka skomplikowanych operacji i długo zmuszała swoje ciało do posłuszeństwa. Mijały lata, ona skończyła studia, znalazła dobrą pracę, zrobiła karierę. Policja nadal prowadziła śledztwo. Tamara nauczyła się żyć samotnie. Wmawiała sobie, że jest szczęśliwa. Było ją stać na wytworne ubrania, elegancki apartament, drogi samochód. Ale w Boże Narodzenie budziła się taka przybita, że nie miała siły wstać z łóżka. Wszelkie święta wpędzały ją w taką chandrę, że nie była w stanie nawet płakać.

Pracowała w tłumie interesujących ludzi, ale z nikim się nie przyjaźniła. Na służbowe przyjęcia prawie zawsze chodziła sama. Swoją wytrwałością, cierpliwością i dobrocią Donald w końcu zdołał skruszyć jej opory, lecz romans zakończył się pół roku temu. Nawet swojej jedynej przyjaciółce, Patty, nie mogła powiedzieć dlaczego. Tamtej nocy, gdy się rozstali, znów poczuła, że ogarnia ją dawny, ponury nastrój. Właśnie wtedy zrozumiała, że musi wyjaśnić tajemnicę ze swej przeszłości, aby zacząć naprawdę żyć i z optymizmem patrzeć w przyszłość.

Dała sobie dwa tygodnie. Jeśli w tym czasie nie odkryje prawdy na temat wypadku sprzed dziesięciu lat, to zrezygnuje. Może wystarczyć sama świadomość, że próbowała.

- Muszę to zrobić - oświadczyła.

- Tammy...

- Patty, zachowam ostrożność. Ani myślę ganiać po mieście, zadając kłopotliwe pytania. Przeczytałam w bibliotece trochę starych gazet. Tamtego wieczoru senator otrzymał nagrodę Legionu Amerykańskiego, więc prawdopodobnie jechał tą samą szosą co moi rodzice. W sztabie dowiedziałam się coś niecoś o jego zwyczajach. Jutro spotykam się z kobietą, która mieszka w pobliżu miejsca wypadku. Może coś widziała. Nie zrobię nic głupiego, obiecuję. Chcę wyświetlić tę tajemnicę, ale masz rację - nie za cenę wszystkiego, co osiągnęłam przez te dziesięć lat.

- A jeśli ktoś cię rozpozna?

- Patty, byłam wtedy smarkułą. Większość tutejszych mieszkańców nawet nie pamięta mojej rodziny. Nikt nie skojarzy Tamary Thompson z Tammy Allistair.

Patty nadał miała zmartwioną minę. Ciężkie milczenie się przedłużało.

- Tamtej nocy - cicho odezwała się Patty - gdy mój ojciec mnie obudził i powiedział, że twoi rodzice i Shawn zginęli, a ty jesteś w stanie krytycznym i może nie przeżyjesz... To było takie straszne, Tammy. Najpierw umarła moja matka, a potem wy... Nie rozumiesz, jakie to cierpienie.

- Rozumiem.

- Nie, Tammy. Ty straciłaś bliskich po raz pierwszy, a ja... po raz drugi. Boże, jak ja nienawidzę pogrzebów!

- Jesteś teraz blisko z ojcem. Masz rodzinę.

- Długo byliśmy sobie obcy.

- Daję ci słowo, że będę uważać. - Tamara nie zamierzała kontynuować tej rozmowy. Chciała działać. Sięgnęła po swoją torebkę. - Sądziś, że spotkanie z MacNamarą to przypadek?

- Oczywiście, że tak! - Patty wzniosła oczy ku niebu. - Nie popadaj w paranoję. Nie masz przeciwko sobie całej ludzkości.

- Wiem, wiem. - Tamara uniosła ręce w geście poddania.
- To na razie. Odezwę się.

Patty skinęła głową, nadal zmartwiona, a Tamara podeszła do drzwi i spojrzała na kobietę, którą kiedyś uważała za siostrę. Obecnie był między nimi jakiś dystans, którego nie potrafiła pokonać. Po tamtym tragicznym wydarzeniu tak bardzo się od siebie oddaliły. Kiedyś Patty uchodziła za żarliwą buntowniczkę, a Tamara - za dziewczynę o złotym sercu. A teraz?

Niby czego się spodziewałaś? I czego pragniesz?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania. Odwróciła się więc i wyszła.

Hotelowy apartament był wielki i luksusowy. Patty miała rację - Tamara rzeczywiście odniosła życiowy sukces. Na Manhattanie samodzielnie osiągnęła chyba dużo więcej, niż kiedykolwiek zdobyłaby jako żona Shawna tutaj, w Sedonie.

Nie zapaliła światła, tylko w holu zdjęła krepdeszynowy kostium i zostawiła go na podłodze. Skronie boleśnie pulsowały, podobnie jak lewa kostka u nogi i prawy nadgarstek. W taki wieczór jak dziś Tamara wolała nie patrzeć w lustro. Miała jędrne, kształtne ciało, ale nie chciała widzieć zygzakowatych, białych blizn na brzuchu - pozostałości po operacji usunięcia śledziony i tamowaniu krwotoków wewnętrznych oraz po zabiegu odbudowywania miednicy.

Padła na ogromne łożo, zwinęła się w kłębek i przytuliła poduszkę, zbyt wykończona, aby wziąć długą, odprężającą kąpiel. Zamknęła oczy i w jej myślach natychmiast pojawił się C.J. Tak delikatnie pogłaskał ją po policzku... i nieoczekiwanie spr-

wił, że przeszedł ją dreszcz. O tej porze C.J. pewnie już był w swoim barze, zwanym Ancient Mariner. Tamara przypuszczała, że to ładny lokal z tradycyjną mosiężną ladą i grającą szafą pełną płyt z nagraniami w stylu country. A goście często się śmieją i dobrodusznie żartują, zaś C.J. niewinnie flirtuje z urodziwymi kelnerkami, wprawiając wszystkich w dobry humor.

Naoglądałaś się za dużo odcinków serialu „Zdrówko”, Tamaro, przywołała się do porządku.

Leżała nieruchomo i przypominała sobie, jak C.J. wyciągał ją z lexusa.

Jakby to było, gdyby zjawił się tam dziesięć lat temu? Gdyby wtedy ją objął i uratował jej rodzinę?

Co się stało, to się nie odstanie. Jej rodzice i chłopak zginęli. Ona przeżyła.

A już wkrótce pozna prawdę. Postara się, aby sprawiedliwości stało się zadość. I może wreszcie odzyska spokój?

Zapadła w drzemkę i - jak zwykle - usiłowała zachować kontrolę nad swoimi snami.

Shawn. Ciepły uścisk jego ramion, które zawsze dawały jej tyle poczucia bezpieczeństwa. Muśnięcie palców na twarzy i ciche, lecz pełne żaru słowa: „Kocham cię, Tamaro. Bardziej niż własne życie”.

„Przytul mnie. Mocno. Nigdy nie wypuszczaj mnie z objąć”.

I nagle Shawn odszedł, a ona była sama pod granatowym niebem Arizony, ciężko ranna i bezsilna. Nie słyszała żadnych jęków, żadnych błagań. Tylko świerszcze cykały jak oszalałe.

Nie była w stanie się ruszyć, schwytana w pułapkę tej przeraźliwej ciszy. Czekała. Tak długo. Wciąż miała nadzieję, że ktoś ich znajdzie i pomoże. Że wyszepcze kilka kojących

kłamstw, których tak potrzebowała, czując, że traci coraz więcej krwi i zaraz dołączy do swojej rodziny gdzieś w zaświatach.

Ale nikt się nie zjawiał, a ona opadała coraz niżej, w jakąś ciemną czeluść, dłoń Shawna stała się chłodna i sztywna.

Zbudź się, Tamaro. Albo śnij o czymś przyjemniejszym. O rodzinie, którą kiedyś miałaś. O życiu, które sobie stworzyłaś.

Ale nie mogła. Dzisiaj sny były od niej silniejsze. Teraz pojawił się w nich Donald.

Jego dłoń na jej piersi, długie, zręczne palce chirurga. I jego głos, przytłumiony i gardłowy. „Jesteś piękna. Taka piękna”.

Pozwoliła mu się dotykać. Leżała bierna i nieruchoma, gdy on błędził rękami po jej nagim ciele. Czekwała, aż wreszcie coś poczuje. Odpręż się. Korzystaj z życia.

Ale nadal nic nie czuła.

Donald pracowicie się poruszał. Ona czekała, aż to się skończy. Potem on jęknął, już było po wszystkim i oboje wiedzieli, że nic z tego nie będzie.

Leżeli obok siebie, ale się nie dotykali. Ona próbowała podsumować swoje uczucia do mężczyzny, z którym spotykała się od dawna. Był inteligentny. Cierpliwy. Dobry. Lecz dziewięć lat po tamtym wypadku ona wciąż nie potrafiła pozwolić sobie na prawdziwą intymność. Na żadne zaangażowanie. Była silna i odporna. Oraz oziębła.

„Przepraszam”, powiedziała w ciemności.

„Może nie powinniśmy przez pewien czas się spotykać”.

„Chyba tak”.

„Zadzwoń”.

„Oczywiście”.

Zrozumiała, że milczenie zwyciężyło.

ROZDZIAŁ 3

Pani Toketee? Jestem Tamara Thompson. Rozmawialiśmy przez telefon, pamięta pani?

Tęgawa Indianka wyglądała na przynajmniej siedemdziesiąt lat. Miała cerę zniszczoną ostrym słońcem Arizony, włosy w kolorze stali, a na szyi - piękny naszyjnik ze srebrnych strzałek i prawdziwych koralii. W tym samym stylu były kolczyki i bransoletka. Metal lśnił i Tamara pomyślała, że staruszka wkłada tę biżuterię chyba tylko od święta.

Pani Toketee od kilkudziesięciu lat mieszkała w domku na posesji pełnej zardzewiałych samochodowych części. Teraz wytarła dłonie w fartuch i gestem zaprosiła gościa do środka. Wnętrze było niezbyt obszerne, ale za dużym, wykuszowym oknem rozciągała się przepiękna panorama gór, stwarzając złudzenie niekończącej się przestrzeni. Słońce chyliło się ku zachodowi i piętrzące się na horyzoncie rudawe skały stopniowo nabierały ciemnoczerwonego odcienia. Całkiem niedaleko biegła kręta droga, na której zdarzył się tamten wypadek.

Tamara zmusiła się do oderwania wzroku od pejzażu i rozejrzała się po saloniku. Wszędzie stały bajecznie kolorowe indiańskie figurki. Niektóre miały kształt paskudnych demonów z wykrzywionymi pyskami zwierząt i ludzkimi ciałami, inne wyglądały całkiem przyjemnie dla oka. Tamara pamiętała, jak w dzie-

ciństwie straszono ją, że złe indiańskie *kachina* pożerają każde niegrzeczne dziecko. Między innymi dlatego była bardzo posłuszną córką.

Poczuła na kostce coś miękkiego i spojrzała w dół.

- Proszę nie zwracać uwagi na Cecila. - Pani Toketee z dezaprobatą cmoknęła na kota. - Myślisz, że jesteś królem zwierząt, co? - Czule podrapała ulubieńca za uchem.

- On mi nie przeszkadza. Lubię koty.

- To dobre stworzenia. Przeganiają myszy i szczury. Napijesz się kawy, dziecińko?

- Nie, dziękuję.

- Upiekłam ciasto.

Tamara już miała uprzejmie odmówić, ale dostrzegła w oczach staruszki błysk nadziei.

- Chętnie zjem kawałek ciasta - zapewniła z uśmiechem, a pani Toketee natychmiast się rozpromieniła.

- To ciasto z cukinią. Bardzo zdrowe. Córka przysłała mi przepisy. Martwi się o moje zdrowie. Rzadko ktoś tutaj mnie odwiedza.

- Ma pani śliczny dom.

- Za dużo w nim rzeczy. Człowiek dopiero wtedy zdaje sobie sprawę ze swojej starości, gdy widzi, ile nagromadził. Wciąż się zbieram, żeby to wszystko powyrzucić.

- Te figurki są wspaniałe.

- Tak, to coś szczególnego.

Pani Toketee znikła w kuchni, a po kilku minutach przyniosła wielką tacę z górą pokrojonego ciasta, maselniczką i dzbankiem kawy. Tamara zerwała się, aby pomóc, ale gospodyni nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Jak już wspomniałam, piszę artykuł dla gazety „Sedona

Sun" - zaczęła Tamara, siadając w fotelu, a obok niej zaraz usadowił się kot. - Takie wspomnienia o różnych mieszkańcach miasta.

- Uhm. - Pani Toketee powoli, lecz pewną ręką nalała kawę.

- Pamięta pani dzień piętnastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku? Wtedy tu niedaleko zdarzył się okropny wypadek.

- Tak, to była zła noc. - Pani Toketee przysunęła Tamarze kubek z kawą.

- Owszem. - Tamara stwierdziła, że drżą jej palce, i w duchu nakazała sobie spokój. Udawała reporterkę, która rozmawia z potencjalnym świadkiem, mieszkającym najbliżej miejsca tragicznej w skutkach kraksy.

- Zginęła rodzina, prawda? - spytała pani Toketee.

- Trzy osoby. Ojciec, matka i chłopak córki. Ona przeżyła.

- A jakże, pamiętam. Później ustawiono tam krzyż. Kawa smakuje?

- Doskonała. - Tamara pośpiesznie upiła łyk. Kawa rzeczywiście była dobra, lecz o wiele za mocna na pusty żołądek.

- Proszę spróbować ciasta.

- Eee... tak, zjem kawałek. Dziękuję. Pani Toketee...

- Wypadek zdarzył się późno, prawda? Rodzina leżała aż do rana. Tak, już sobie przypomniałam.

- Co pani pamięta? - Tamara pochyliła się do przodu, zapominając o trzymanym w dłoni, lepkim cieście.

- Tam droga jest kręta. Niebezpieczna. A w nocy ludzie jeżdżą za szybko.

- Auto tamtej rodziny nie przekroczyło przecież dozwolonej szybkości.

- Ale tamten drugi samochód - tak. W gazecie napisano, że sprawca uciekł.

- Czy... coś pani widziała? Może słyszała?

- To było dawno... - Staruszka wyraźnie się zafrasowała.

- Wiem, ale może jednak... Proszę...

- Tamtej nocy chyba świecił księżyc.

Była pełnia, dodała w myślach Tamara. Srebrzysta tarcza wisiała wysoko na niebie i na jedną krótką chwilę oświetliła twarz pochylonego mężczyzny. Wydobyła z mroku jego sylwetkę, gdy biegiem wracał do swego auta, które zaraz odjechało.

- Coś huknęło. Bardzo głośno. Najpierw pomyślałam, że na podwórzu.

- I co dalej?

- Zbudziłam męża. Kazałam mu sprawdzić. Gderał, bo nie lubił zrywać się o tej porze.

- Ma pani męża?

- Już nie żyje. Jest pochowany na miejskim cmentarzu. Na tym, gdzie zastrzelono grabarza. Co za czasy...

- Przykro mi.

- Mąż wrócił i powiedział, że chyba nic się nie stało, więc zasnęliśmy.

Tamara skinęła głową, całkowicie pewna, że kobieta zaraz powie więcej. Na pewno coś ujawni. Oby.

- Co było potem?

- Rano usłyszeliśmy syreny karetek. Dowiedzieliśmy się, co zaszło. Mój mąż miał wyrzuty sumienia. Wciąż powtarzał, że gdyby w nocy poszedł trochę dalej, aż do samej drogi, to może by pomógł. Gryzł się tym bardzo długo. Nie smakuje?

Tamara spojrzała na zgnieciony w dłoni kawałek ciasta.

- Och, przepraszam... - Rozprostowała palce. - Jest pysz-

ne, tylko... tak się zasłuchałam. - Położyła ciasto na papierowej serwetce i przez chwilę głęboko oddychała. - Była pani na miejscu wypadku?

- Mąż tam poszedł.
- Coś potem mówił? Widział samochód, może jakieś ślady?
- Nie pamiętam. - Staruszka wzruszyła ramionami.
- Nigdy nie złapano mężczyzny, który prowadził tamto drugie auto.
- To był mężczyzna?
- No... tej osoby. Tego kierowcy.
- Cóż, pewnie odjechał daleko. Policja przesłuchiwała mojego męża, ale on nic nie wiedział. Poszedł tam, gdy już było za późno.

To prawda, pomyślała Tamara. Rano jej bliscy już nie żyli, a sprawca mógł być Bóg wie gdzie. W raporcie policyjnym podano, że na karoserii auta jej rodziców znaleziono ślady czerwonego lakieru. Siła zderzenia wskazywała na to, że drugi pojazd też został poważnie uszkodzony, a jego kierowca - odniósł obrażenia. Intensywne poszukiwania nie przyniosły jednak rezultatu. Policja sprawdziła wiele warsztatów, agencji wynajmu i firm zajmujących się holowaniem. Przesłuchiwała też taksówkarczy, odwiedziła miejscowe złomowiska i szpitale. Bezskutecznie. Auto i kierowca jakby rozpułynęli się w powietrzu.

Ktokolwiek spowodował ten wypadek, potrafił zatrzeć za sobą ślady. I musiał mieć na to stosowne środki.

- Niewiele ci pomogłam, dziecinko - stwierdziła pani Tokete. - Pewnie jesteś rozczarowana?
- Trochę - przyznała Tamara. - Ale bardzo miło z pani strony, że poświęciła mi pani tyle czasu - dodała z uśmiechem.
- Mało kto mnie odwiedza.

- Kawa i ciasto były pyszne.
- Może gdybym sobie coś przypomniała... przysłałabyś jeszcze raz?

- Oczywiście. - Tamara zamknęła notatnik i schowała długopis, po czym dopiła kawę, choć żołądek się buntował. Do licha, powinna lepiej się odżywiać i więcej spać.

- Proszę, weź to. - Pani Toketee chciała wręczyć jej figurkę wilka tańczącego na drewnianej kłodzie, wykonaną z wielką dbałością o szczegóły i pomalowaną turkusową, żółtą, czerwoną i niebieską farbą. Zrobienie tej figurki musiała zająć staruszce dużo czasu.

- Och, nie mogę. To zbyt cenne.
- Wiesz coś o kachina?
- Niewiele. Podobno przynoszą szczęście, tak?
- W pueblo wierzymy, że *kachina* to żywe istoty. Dawniej, gdy nasz lud ich potrzebował, przybrały ludzką postać i nas odwiedziły. Przyniosły prezenty, nauczyły nas sztuki i rzemiosła oraz polowania. Ale my ich nie doceniliśmy. A gdy zaczęliśmy walczyć między sobą, *kachina* przestały do nas przychodzić, lecz ich miłość jest lepsza od naszej. I chociaż źle je potraktowaliśmy, one nadal o nas się troszczą. Gdy ktoś jest smutny lub samotny, *kachina* się zjawi i zatańczy dla tej osoby, a ona zrozumie, że już nie jest sama. Weź tę figurkę. Będzie dla ciebie dobra.

Pani Toketee włożyła w dłoń Tamary kolorową figurkę. Drewno wydawało się ciepłe, niemal wibrowało w pełnym wdzięku tańcu.

- Dziękuję. Jest pani bardzo hojna.
- Pasuje do ciebie. - Staruszka przekrzywiła głowę na bok.
- Zobaczysz, pomoże ci.

- Oto numer mojego hotelu. - Tamara podała pani Toketee karteczkę. - W razie czego proszę do mnie zadzwonić.

Chwilę później wsiadła do samochodu i wyjechała z zagraconego podwórza. Wiedziała, że już nic więcej nie dowie się od pani Toketee. Po dziesięciu latach nawet naoczny świadek niewiele by pamiętał. Patty miała rację - najlepiej wrócić na Manhattan i zająć się pracą, którą wykonywała tak dobrze.

Kupić nowy samochód. Znow pojechać do Europy. Normalnie żyć.

Skręciła na autostradę i odwróciła wzrok, aby nie widzieć stojącego na poboczu drewnianego krzyża.

Gdy wjeżdżała na hotelowy parking, znow myślała tylko o jednym. Trzeba zgłębić sprawę tamtego czerwonego auta. Czym zwykle senator przyjeżdża do Sedony? Wynajmuje limuzynę z kierowcą czy zwyczajny pojazd? Może lubi czerwone? Czy preferuje jakąś konkretną firmę i markę?

Jak zadać tyle pytań, nie wzbudzając niczyich podejrzeń?

Tamara zaparkowała i oparła bolącą głowę o kierownicę. A gdy się wyprostowała, z jej gardła wydobył się jęk.

Niedaleko ujrzała bowiem C.J. MacNamare. Stał leniwie oparty o czarnego forda mustanga i oczywiście uśmiechnął się na jej widok tym swoim uśmiechem przemądrzałego samca. Kciuki miał zatknięte za szlufki spłowiałych, niebieskich dżinów, muskularne ramiona skrzyżował na szerokiej piersi, a jasne włosy wyglądały na niedawno przeczesane palcami.

Cholerny, zarozumiały, nachalny, uparty głupiec. Tamara wzięła głęboki oddech i wysiadła, gotowa do walki.

- Nie - warknęła, zanim zdążył otworzyć usta. - Jest piątkowy wieczór. Na pewno musisz zająć się swoim barem.

- Dopiero szósta trzydzieści. O tej porze nawet w piątki bar jest oazą spokoju. Ale dzięki za troskę.

- Nigdzie z tobą nie pójdę.

- Jeszcze nie wysłuchałaś, co chcę ci zaproponować.

- To bez znaczenia. Miałam męczący tydzień. Boli mnie głowa. Chcę wziąć długą kąpiel i iść do łóżka.

- Rany, a ja myślałem, że najpierw postawię ci kolację.

Spiorunowała go wzrokiem, ale C.J. mrugnął do niej tak uroczo, że nie mogła się na niego złościć. Ten facet najwyraźniej miał masę wdzięku.

- Ładnie wyglądasz - rzekł, patrząc na nią z autentycznym podziwem.

Pomyślała, że zaraz się zarumieni, i odruchowo wygładziła beżowy kombinezon w stylu safari. Miał cztery nakładane kieszenie, a w talii był mocno ściągnięty szerokim paskiem z brązowej skóry. Tamara kupiła ten strój, ponieważ - tak samo jak reszta jej odzieży - dobrze osłaniał całe ciało oraz - w przeciwieństwie do innych ciuszków - podkreślał zgrabną figurę. Dała się na to skusić w chwili słabości, co jej - kobiecie rozsądnej - zdarzało się niezmiernie rzadko.

- Pracowałam od samego rana.

- Ech, ten senator wyciska z ludzi ostatnie poty.

- Nie zostaje się prezydentem z dnia na dzień.

- Niewątpliwie. - Przekrzywił głowę na bok, nadal trzymając ręce na biodrach. Jego skóra była ozłocona lekką opalenizną, a niebieskie oczy spoglądały ciepło. Tamara oparła się o maskę swojego samochodu. Nie podeszła do C.J., ale też nie odwróciła się i nie ruszyła do hotelu, co oczywiście powinna zrobić.

- Domyśliłem się, że będziesz zmęczona, więc coś ci przyniosłem. - C.J. wziął z tylnego siedzenia wielki, wiklinowy

kosz. Uniósł wieko, a Tamarę doleciał apetyczny zapach smażonego kurczaka.

- Nie grasz fair - orzekła.

- Pyszny kurczak, surówka z kapusty i szarlotka. Od razu doda ci kolorków na buzi.

- I podniesie poziom cholesterolu w krwiobiegu.

- Powiedzmy... że to kurczak bez cholesterolu. Daj, spokój, Tamaro. To tylko jedzenie, a ja obiecuję zachowywać się grzecznie. Ten wieczór może się skończyć, kiedy zechcesz.

Zamierzała odmówić. Tak byłoby najmańdrzej. Ale jeszcze raz zerknęła na kosz. Od wczoraj nie jadła nic treściwego, a mocna kawa pani Toketee podrażniła pusty żołądek. Myśl o dobrym posiłku była taka kusząca...

A w głębi duszy Tamara musiała przyznać, że ucieszyła się na widok C.J. MacNamary. Jakaś durna, mała cząstka jej osobowości radośnie zareagowała na jego uśmiechy.

- Zgoda, C.J. Ale tylko dlatego, że lubię kurczaka.

- Oczywiście.

- I nie jadłam cały dzień.

- Oczywiście.

- Więc chodźmy. Mam wolną tylko godzinę.

- Twoja wdzięczność jest zniewalająca - odrzekł, a Tamara, sfrustrowana swoim brakiem odporności na urok C.J., wsiadła do jego samochodu.

Już zapomniała, jakie piękne są okolice Sedony. Gdy C.J. skręcił w drogę 17?, słońce schowało się za czerwonymi górami i cały pejzaż dosłownie zapłonął. Mieszkając tu przez osiemnaście lat, Tamara nigdy aż tak nie zachwycała się miejscowymi krajobrazami, nie zastanawiała się, dlaczego gdzie

indziej nie ma niczego równie wspaniałego. Dopiero teraz umiała docenić majestatyczność tych wielobarwnych, cudownie ukształtowanych skał i bezkresną przestrzeli ciemnobłękitnego nieba.

Od dawna egzystowała pośród wielopiętrowych wieżowców i gwarnego ruchu ulicznego. Zapomniała, jak to jest znaleźć się w krainie, która powstawała przez tysiące lat i przez kolejny tysiąc prawdopodobnie się nie zmieni. Tylko Tamary już nie będzie.

C.J. zjechał na pobocze, właśnie tak jak robią wszyscy turyści w Sedonie.

- Może wdrapiemy się tam, na górę? Ze szczytu rozciąga się widok zapierający dech.

- Dobrze. - W porę ugryzła się w język, aby nie zaproponować innego miejsca na postój. Do licha, powinna pamiętać, że udaje osobę, która wcale nie zna tych terenów.

- Chwileczkę, wezmę koc. W dzień Arizona bywa piekielnie gorąca, ale po zachodzie błyskawicznie się oziębia.

Ruszyli w górę łagodnego, kamienistego zbocza, które stopniowo stawało się coraz bardziej strome. Tu i ówdzie rosły karłowate krzaczki oraz dorodne agawy o ciemnozielonych, mięsistych liściach, lecz Tamara patrzyła głównie na idącego przed nią C.J. Szedł długim, równym krokiem, a ładnie ukształtowane mięśnie ramion grały pod cienkim, bawełnianym podkoszulkiem. Musiała niechętnie *przyznać*, że C.J. jest atrakcyjnym mężczyzną.

W Nowym Jorku obracała się między zupełnie innymi mężczyznami - oni nosili garnitury z butików Pierre'a Cardina i Armaniego oraz okulary w metalowych oprawkach produkcji równie ekskluzywnych firm. Donald był szczególnie elegancki

i miał idealnie gładką cerę wypielegnowaną najlepszymi kosmetykami dla panów. Niewątpliwie jednym z największych plusów znajomości z Donaldem było to, że Tamara właśnie od niego nauczyła się używać specjalnych szamponów i balsamów, dzięki którym jej włosy stały się gęste, lśniące i jedwabiste.

C.J. nie wyglądał na kogoś, kto przywiązuje wielką wagę do marek swoich szamponów lub regularnie złuszcza martwy naskórek. Prawdopodobnie wkładał ubrania prosto z suszarki i nie zwracał sobie głowy ich prasowaniem.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył.

- Słucham? - Tamara spojrzała na niego tępo, nagle wytrącona ze swoich myśli. Czuła, że zaschło jej w ustach.

- Zatrzymamy się tutaj. Nie mamy sprzętu, żeby wspiąć się wyżej.

- Tak, oczywiście. - Przesunęła wzrokiem po prawie pionowej skalnej ścianie w rudawym odcieniu, a CJ podszedł bliżej. Pachniał mydłem i tym cholernym old spice'em.

- Popatrz tam. - Delikatnie odwrócił ją w lewo.

Widok rzeczywiście był zachwycający. Między dwoma kanyonami nisko na niebie wisiało wielkie, pomarańczowe słońce, zalewając wszystko złocistym blaskiem.

- To moje ulubione miejsce - szepnął jej do ucha CJ. - Często tu przychodzę, żeby po prostu patrzeć.

W milczeniu podziwiała pierwotne piękno tego surowego krajobrazu, stojąc u boku dziwnie pociągającego mężczyzny. Słyszała jego cichy, miarowy oddech, czuła ciepło jego ciała. Ze zdumieniem stwierdziła, że ogarniają podniecenie. Zerknęła na swoje dłonie i skonstatowała, że lekko drżą. Pośpiesznie zacisnęła pięści.

- Eee... może zabierzemy się do jedzenia?

- Jasne. - Otworzył kosz i zrećźnie powymjował zapasy, a ona pomogła mu je ułożyć na kocu. Potem C.J. usiadł, lecz nie naprzeciw niej, co wołałaby, ale tuż obok. A gdy sięgnął po pojemnik z kawałkami kurczaka, musnął policzkiem jej rozpuszczone włosy. Kiedy zaś się odwrócił, aby ją poczęstować, jego oddech dotarł do jej ust jak subtelna pieśczota. Niebieskie oczy patrzyły ciepło, niemal serdecznie. Jasne włosy lekko falowały. Wydawały się takie miękkie...

Tamara spuściła wzrok, nagle absurdalnie zakłopotana.

- Spróbujesz kurczaka?

- T... tak. - Odsunęła się trochę, a C.J. zatopił białe zęby w kawałku kurzej piersi. Tamara wzięła rumiane udko.

- Ta kostka już cię nie boli?

- Nie. - Tamara dopiero teraz zauważyła, że spod nogawki widać trzy wyraźne blizny.

- Przeszłaś jakąś operację?

- Przeszczep kości.

- Uch.

- To raz na zawsze rozwiązało problem skomplikowanego złamania - odparła, wzruszając ramionami.

Jedli w milczeniu, a C.J. dyskretnie ją obserwował. Długie, kasztanowe włosy spływały Tamarze na plecy i ramiona jak wspaniały, jedwabny szal. Jeden niesforny kosmyk opadł na twarz, więc lekko odrzuciła głowę do tyłu, żeby nie przeszkadzał w jedzeniu. Ogryzając drugie smakowite udko, miała tłuszcz na policzku i błysk w oku. C.J. przypuszczał, że ona chyba za mało sypia i źle się odżywia, lecz teraz przynajmniej trochę się odprężyła. To mu się podobało. Coraz bardziej.

- I co powiesz? - spytał, nabierając trochę surówki. - Arizona jest piękna?

- Oszłamiająco.

- W dzieciństwie dość długo mieszkałem w Los Angeles. Bulwar Zachodzącego Słońca i Sedona to rzeczy nieporównywalne. Później byłem w Oregonie, u babci, która ma w Tillamook sporą farmę mleczną. Nie masz pojęcia, jakie to cudowne miejsce, Tamaro. Wszędzie wznoszą się aksamitne, zielone wzgórza osnute gęstą mgłą. W Sedonie jest zupełnie inaczej, lecz równie pięknie.

- Dlatego się tu przeniosłeś'?

- Oczywiście. Ważny jest też fakt, że nieruchomości są tutaj tanie oraz nie brak atrakcji dla takiego faceta jak ja.

- Czyli kobiet? Myślałam, że są wszędzie.

C.J. parsknął śmiechem i podał jej na łyżeczkę trochę surówki. Tamara zawahała się i otworzyła usta.

- Mmm... dobra.

- Dziękuję, sam kupowałem. A co do tych - atrakcji... nie chodzi o kobiety, chociaż oczywiście sprawdziłem i to. Miałem na myśli walory turystyczne. Lubię piesze wędrówki, wspinaczkę i spływy na tratwie. No i grę w golfa, rzecz jasna. Tutaj są świetne warunki do uprawiania tych sportów.

Znów zjadła trochę oferowanej surówki, a C.J. uśmiechnął się z zadowoleniem. Tamara naprawdę zaczynała zachowywać się swobodniej. Gdy niedawno na parkingu wysiadała ze swojego auta, sprawiała wrażenie osoby przytłoczonej ciężarem całego świata. A on, C.J., natychmiast zaprzagnął jej pomóc. Miał to we krwi.

Kiedyś dawno temu na farmie babci dzika kotka urodziła sześcioro kociąt i ukryła je pod podłogą stryżku na siano. C.J. i Maggie znaleźli maleństwa i on zaraz wziął jedno, a ono rozorało mu całą dłoń od kciuka aż po przegub. Rzucił je, wyjąc

z bólu, Maggie odskoczyła przerażona i oboje zwiali ze stryszku tak szybko, jakby gonił ich sam diabeł. Babcia Lydia opatrzyła rękę, z dezaprobatą kręcąc głową.

- To dzikie koty, C.J. - powiedziała. - Zostaw je w spokoju.

Przyznał babci rację, lecz już nazajutrz znów poszedł tam wraz z Maggie, która uwielbiała koty. C.J. po prostu nie mógł ich zostawić swojemu losowi. Były takie maleńkie i bezbronne. Chciał o nie zadbać, bawić się z nimi. Ale jedno kocię, całe rude, potraktowało go pazurkami tak jak wczoraj jego braciszek. C.J. oczywiście się wściekł. Spróbował znienawidzić tego wrednego, puszystego malucha. Zwalił całą winę na Maggie i jej obsesję na punkcie „durnych zwierzaków”, jak się wyraził. Przez tydzień trzymał się z dala od kociąt, lecz dłużej nie wytrzymał. A rudzielec, który już trochę podrośł, oczywiście zrobił użytek ze swoich pazurów.

C.J. i Maggie biegiem wrócili do domu, święcie przekonani, że tym razem ranny wykrwawi się na śmierć. Zużyli całe opakowanie plastrów z opatrunkiem i w strachu czekali, aż babcia odkryje, co się stało.

- Znów wzięłeś tego kociaka - stwierdziła Lydia.

- Nie.

- Nie kłam. Już nie mieszkasz na ulicy, tylko masz rodzinę. Nie okłamuje się swoich bliskich.

C.J. trochę się zasepił. Przecież jego ojciec często kłamał. Oszukiwał jego matkę. Aż w końcu on, C.J., też zaczął to robić. „Nie, wcale nie ukradłem tych kanapek, mamo. Jasne, że byłem w szkole. Widzisz, gorączka już ci spadła. Wyzdrowiejesz. Wkrótce wszystko będzie dobrze”.

Lydia kazała mu wyszorować kłamliwe usta mydłem.

- Zamierzasz znów spróbować, prawda? - spytała później.

- Może - odparł buntowniczo. I na wszelki wypadek kopnął czubkiem buta ziemię. Żeby wyglądać na twardziela. Już stracił matkę i ojca, więc nie chciał się rozkleić, gdyby babci też coś się stało.

- No dobrze, C.J., słuchaj uważnie. Chodź do tych kotów, ale ich nie bierz do rąk. Siedź tam z Maggie, codziennie trochę bliżej. Niech zwierzaki przywykną do waszej obecności i zapachu. Po pewnym czasie z ciekawości same zaczną do was podchodzić. Wtedy musicie być bardzo delikatni i cierpliwi. Pewnego dnia pozwolą wziąć się na ręce i już nie będą agresywne.

- Mamjewnosie.

- Jasne.

Zastosowali się jednak do rad babci i w końcu zdołali obłąskawić kocięta. Przynieśli je do domu, a rudzielec Speedy stał się ulubieńcem C.J., dopóki chłopak w wieku osiemnastu lat nie zaciągnął się do piechoty morskiej.

Uwielbiał tego kota. Nauczył się całym sercem kochać swoją babcię- za wszystko, czego nauczyła go, gdy jeszcze był zbuntowanym, złym chłopakiem.

- Masz w Nowym Jorku rodzinę? - spytał Tamarę, a ona spojrzała na niego czujnie.

- Nie. Moi... moi rodzice zmarli dość dawno temu.

- Ja też straciłem swoich przed wielu laty. Dlatego wychowywała mnie babcia z Tillamook.

Tamara patrzyła na niego w milczeniu, on zaś nagle skonstatawał, że nigdy sama o nic go nie spytała. Jakby zadowalało ją to, co on zechce samorzutnie ujawnić.

- Moi rodzice nigdy się nie pobrali - przyznał swobodnie.

- Mój ojciec, Maks, żenił się tylko z zamożnymi kobietami. Poślubił matkę mojego przyrodniego brata, która odziedziczyła

niezły majątek w Anglii, i z podobnego powodu został mężem matki mojej przyrodniej siostry. Z moją matką był podobno z miłości.

- Nie miała mu za złe, że się z nią nie związał oficjalnie?

- Chyba tak, ale uważała też, że to romantyczne. Moja matka... była uosobieniem słodyczy i delikatności. Nie znała się na ludziach. Maks obiecywał, że zadba o nią i o mnie, więc mu ufała i zawsze była szczęśliwa, gdy przyjechał w odwiedziny.

- Rozumiem.

- Miałem jedenaście lat, gdy ciężko zachorowała. Byliśmy raczej biedni. Lekarze przepisali jej antybiotyki, ale nie skutkowały. Usiłowałem skontaktować się z Maksem, lecz on bezustannie podróżował. Kiedy wreszcie się zjawił, matka już nie żyła.

- Och...

- Spokojnie. - CJ. uśmiechnął się pogodnie. - Nie oczekuję żadnych słów współczucia i pociechy. Życie musi toczyć się dalej, prawda?

Tamara skinęła głową.

- Potem przez rok jeździłem z ojcem po całym świecie. Ale do Indonezji poleciał sam i jego samolot się rozbił, więc zostałem u babci Lydii. Tam poznałem moje przyrodnie rodzeństwo - Maggie i Brandona.

- Czym zajmował się twój ojciec?

- To dyskusyjny temat.

- Dyskusyjny?

- Moim skromnym zdaniem Maks był kimś w rodzaju oszusta. Tylko pomyśl - nazywał siebie handlowcem, rozbijał się po wszystkich kontynentach, miewał przy sobie niewyobrażalnie dużo gotówki, ale nikt z nas nigdy nie widział, żeby on kiedy-

kolwiek załatwiał jakieś interesy. Babcia Lydia, czyli jego matka, do tej pory nie wie, na czym polegała jego praca. Jego żony też nie miały o tym pojęcia. Mnie, dzieciakowi, strasznie imponowała cała otoczka - podróże, samoloty, prezenty. Lecz teraz, jako człowiek dorosły, patrzę na to bardziej trzeźwo. I dochodzę do wniosku, że Maks prawdopodobnie był szmuglerem na wielką skalę.

- Cóż... to możliwe.

- Maggie widzi to inaczej, ale jest niepoprawną romantyczką. Uznała więc, że był wspaniałym tajnym agentem.

- To rzeczywiście romantyczna wersja.

Tamara lekko pochyliła się w jego kierunku, a C.J. znieruchomiał. Ona chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że w jej szeroko otwartych oczach maluje się autentyczne zainteresowanie. Zupełnie jakby wbrew swojej woli zaangażowała się w tę rozmowę. Może nawet była zadowolona z towarzystwa?

- Jesteś blisko ze swoim przyrodnim rodzeństwem - stwierdziła.

- To zasługa babci. Wzięła nas do siebie, żebyśmy się nauczyli być prawdziwą rodziną. To niezwykle mądra kobieta.

- Nigdy nie miałam braci ani sióstr.

- Tak? Ja naprawdę przywiązałem się do Maggie i Brandona, choć początkowo, jako dzieciak ulicy, wcale nie miałem na to ochoty. Gdy babcia poznała mnie z Brandonem, warknąłem do niego „spieprzaj.” Na szczęście jego angielska flegma pozwalała mu zachować dystans do takich rzeczy.

- Naprawdę tak go powitałeś?

- Byłem stuknięty - przyznał z szerokim uśmiechem. - Ani trochę nie przypominałem tego czarującego mężczyzny, na któ-

rego teraz patrzysz. Obecnie jestem wcieleniem praworządności. Jak aniołek. Spytaj, kogo chcesz.

- Uhm - mruknęła ironicznie.
- Wątpisz w moją nieskazitelną reputację?
- Uhm.
- Po tym, jak nakarmiłem cię kurczakiem?
- Uhm.

- Niewiarygodne. - Posłał jej urażone spojrzenie, a uśmiech, który w końcu rozświetlił twarz Tamary, dodał także blasku ciemnym oczom i sprawił, że wyglądała teraz jak bez troska nastolatka. C.J. spodobała się ta wersja panny Thompson. Nawet bardzo. W duchu postanowił dołożyć starań, aby uśmiechała się jak najczęściej.

- Wiesz, że jesteś śliczna?

Natychmiast spowaźniała i wyraźnie się spłoszyła. Zdziwiła go ta nieoczekiwana reakcja.

- Na pewno nieraz to słyszałaś.
- Ja nie... dużo pracuję. Prawdę mówiąc, dzisiaj też jeszcze mam mnóstwo roboty. Muszę już wracać do hotelu. - Jej palce nieporadnie zmagaly się z papierową serwetką.

- Tamaro... - Przykrył jej dłoń swoją. - Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie.

- Nie... nie jestem dobra w tych sprawach - wybąkała ze wzrokiem wlepionym w kraciasty koc.

- W jakich sprawach? - spytał łagodnie. - Albo lubisz z kimś przebywać, albo nie. Albo czujesz si przy kimś swobodnie, albo nie. Ja niczego od ciebie nie oczekuję. Cieszę się, że zjedliśmy razem kolację. Wspaniale mi się z tobą gawędziło. Naprawdę uważam cię za śliczną dziewczynę. Zwłaszcza z tym uśmiechem na twarzy.

Lekko przechyliła głowę i przez chwilę mu się przyglądała, jakby usiłowała czytać w jego myślach i upewnić się, że nie kłamie. Następnie uwolniła rękę z jego palców i położyła ją na sercu.

- Dziękuję za kolację, C.J. - powiedziała cicho. - Mnie też nasza rozmowa sprawiła przyjemność. A twoja rodzina... chyba jest nadzwyczajna. Teraz naprawdę muszę już iść i skończyć pracę. A mniej więcej za tydzień wracam do Nowego Jorku.

- Rozumiem - mruknął. Nigdy w życiu nie był bardziej rozczarowany. Spróbował jakoś zapanować nad tym przykrym uczuciem. - Tak czy owak jeszcze cały tydzień przed nami. A dziewczyna musi coś jeść...

- Może, C.J., zobaczymy.

Na parkingu poczekał, aż Tamara weźmie ze swojego samochodu jakieś rzeczy. Pochwalił figurkę *kachina*, lecz Tamara nie skomentowała tego nabytku.

Przeszli przez bujny, zadbane ogród, minęli wielki, podświetlony basen i zatrzymali się przed drzwiami jej apartamentu. C.J. wyczuł, że Tamara staje się spięta. Najwyraźniej znów zamykała się w sobie, definitywnie odcinała się od otoczenia. Na jej twarzy nie malowały się żadne emocje.

Począł, aż kobieta wsunie klucz do zamka, po czym delikatnie ją odwrócił.

Wieczór był taki piękny... otaczało ich ciepłe, aromatyczne powietrze, cykały świerszcze, woda w basenie migotała w blasku księżyca.

C.J. był pewien, że Tamara też czuje przypływ uczuć. Że nagle przejdzie ją słodki dreszcz, jej usta lekko się rozchylą, a ciało stopnieje w uścisku.

Ale tak się nie stało. Ona wciąż stała sztywno.

CJ. delikatnie musnął ustami jej wargi. Raz i drugi. Były miękkie i ciepłe, lecz wcale nie zareagowały na pieszczotę, więc się odsunął, a Tamara odwróciła twarz.

- To ja? - spytał cicho. - W tym problem?

Otworzyła usta, jakby zamierzała powiedzieć „tak”. Może chciała to powiedzieć. Ale zaprzeczyła.

- Nie, CJ. To ja. Taka już jestem.

- Tamaro...

- Jestem zmęczona. - Uwolniła się z jego ramion. - Muszę iść. - Otworzyła drzwi i natychmiast zamknęła je za sobą.

CJ. stał z ręką na klamce i czuł się jak kompletny idiota. Parę razy przeczesał włosy palcami, z niedowierzaniem potrząsnął głową i powoli ruszył w stronę parkingu. Zdążył zrobić zaledwie kilka kroków, gdy ciszę wieczoru zmaćcił przeraźliwy krzyk Tamary.

ROZDZIAŁ 4

Tamara! - C.J. zabębnił w drzwi. - Tamara!

Nie otworzyła, a jej krzyk zmienił się w zdławiony szloch. C.J. uznał, że nie pora na dobre maniery. Cofnął się i całym ciężarem ciała uderzył w drzwi. Otworzyły się na oścież.

Na środku eleganckiego pokoju pochyłona Tamara jak w transie waliła figurką *kachina* o podłogę. Długie, ciemne włosy fruwały wokół twarzy, na bladych policzkach perlił się pot, a ręka raz po raz unosiła się i opadała, uderzając figurką w puszysty dywan. A raczej w rozbitego już na miazgę sporego skorpiona.

- Już go zabiłaś. - C.J. z trudem zdołał chwycić ją za ramię i gwałtownie odwrócił. Znow zamachnęła się drewnianą figurką, ale błyskawicznie zablokował cios, wyrwał figurkę z zaciśniętych palców i rzucił ją na łóżko. - Przestań. Już wszystko dobrze.

- Nie chcę cię tutaj! - Tamara nie przestawała się szarpać.
- Wyjdź stąd! Idź sobie!

- Tamaro...

- Nie potrzebuję cię! Ani twoich uśmiechów, ani kurczaka! Trzeba sobie radzić samemu, rozumiesz? Samemu uczyć się stawiać pierwsze kroki. Nikt tego za ciebie nie zrobi. Ben wciąż to powtarzał. Człowiek zawsze jest sam. Tylko sam!

- Opanuj się! - C.J. w końcu zdołał unieruchomić jej pięści.
- O czym ty, u diabła, gadasz?

Odrzuciła głowę do tyłu, jej oczy ciskały błyskawice. Była straszliwie wzburzona - i jednocześnie śmiertelnie przerażona. Wyglądała tak, jakby miała rozsypać się na tysiące kawałków i już nigdy się nie pozbierać.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, lecz instynktownie przycisnął ją do siebie. Natychmiast zeszywniała, po czym nagle jakby coś w niej pękło i jej ciało zwiotczało.

- Już wszystko w porządku, kochanie - rzekł uspokajająco.
- Naprawdę.

Leciutko nią kołysał, jednocześnie głaszcząc długie, jedwabiste włosy, ramiona i plecy. Czekał na fontannę łez. Na chwilę, w której Tamara mocno go obejmie i przyłgnie do niego tak rozpaczliwie, jakby był ostatnią deską ratunku. Lecz się nie doczekał. Ona tylko opierała się o niego, bezwładna jak szmaciana kukiełka, której odcięto sznurki. Czuł pod palcami zarys delikatnej sylwetki, wypukłość żeber, wgłębienie talii i łagodny łuk bioder. Ta kobieta była taka lekka, że trzymając ją przy sobie, miał wrażenie, że tuli wyrosnięte dziecko.

Była ciepła i pachniała piaskowcem Arizony oraz kreozotem, którego aromat pozostał¹ w gęstych włosach. C.J. oparł podbródek o czubek głowy Tamary i właśnie pomyślał, że trochę się odprężyła, gdy ona nagle wyswobodziła się z jego ramion. Zrobiła to tak raptownie, że omal się nie przewróciła. Chwycił ją i podtrzymał, a następnie puścił, gdy odzyskała równowagę. Odsunęła się i odgarnęła z twarzy kosmyk. Oddychała szybko, jakby wciąż brakowało jej powietrza.

- Nic ci nie jest?
- Nie wiem, co we mnie wstąpiło...

- Przeżyłaś spory szok. - C.J. umilkł na moment. - Znalazłaś tego skorpiona na podłodze? - spytał, gdy się nie odezwała.

- Nie. Na środku łóżka. Usiadłam, żeby zdjąć pantofle i...

- ...sięprzeraziłaś.

- Tak. - Bezwiednie potarła ramiona i wreszcie uniosła głowę, patrząc na ciemne okno. Jej twarz o gładkiej cerze nie odzwierciedlała w tej chwili żadnych emocji i wyglądała jak rzeźba z jasnego marmuru.

- Kim jest Ben?

- Był moim fizykoterapeutą.

- Rozumiem - mruknął C.J., choć nie pojmował kompletnie nic. Zastanawiał się, czy ona sama wie, dlaczego wpadła w taką histerię. Ta kobieta była wcieleniem kontrastów: z jednej strony silna i opanowana profesjonalistka, która podobno nie reaguje na pocałunki, a z drugiej - histeryczka, która szaleje z powodu skorpiona.

C.J. postąpił krok w jej kierunku, a ona natychmiast uniosła dłoń.

- Proszę - szepnęła. - Potrzebuję trochę czasu. - Sprawiała wrażenie śmiertelnie znużonej i bezradnej.

- Nie musisz być sama - zapewnił. - Nie, nie o to mi chodzi - dodał pośpiesznie, gdy najwyraźniej chciała zaprotestować.

- Nie próbuję cię podrywać, ale jesteś zmęczona i wstrząśnięta. Jeśli chcesz, zostanę tutaj, na kanapie. Czasem dobrze mieć kogoś obok siebie.

Zawahała się, lecz zaraz wzięła się w garść. Zwyciężyła kobieta silna i niezależna.

- Doceniam twoją propozycję, C.J., ale nic mi nie jest. Słowo. To tylko głupi skorpion. Zaraz wezwę kogoś z obsługi, żeby go wyrzucił.

- Tak samo jak zleciłaś mechanikowi zająć się twoim samochodem?

- Co..., co sugerujesz?

- Sam nie wiem. Może raczej ty coś niecoś wyjaśnisz. Najpierw wysiadają ci hamulce w nowiutkim, luksusowym aucie, teraz znajdujesz żywego skorpiona w ekskluzywnym apartamencie, gdzie nigdy coś takiego nie powinno się zdarzyć.

- Chyba mam pechowy tydzień.

- Raczej niebezpieczny.

- Daj spokój, C.J. To czysty przypadek, niepotrzebnie to wyolbrzymiasz.

- Powiedziałybyś mi, gdyby działo się coś złego?

- Przecież nawet mnie nie znasz. Jesteśmy sobie obcy...

- Dzięki. To mi wystarczy. - Skonstatował, że jest na nią zły. Nie, raczej sfrustrowany. Naprawdę chciał tylko jej pomóc, ona zaś wciąż go odtrącała. Miał tego dosyć. Teraz Tamara powinna wyciągnąć rękę, dać do zrozumienia, że dostrzega jego wysiłki. Lecz ona w milczeniu wyprostowała się i buntowniczo wysunęła brodę.

To wystarczyło. Istnieje granica, po przekroczeniu której mężczyzna przestaje być rycerzem, a staje się durniem. C.J. ruszył do drzwi. Zanim je otworzył, oczywiście przystanął na moment, aby dać Tamarze jeszcze jedną szansę.

Nie skorzystała z niej.

Wyszedł, a ona została sama, chroniona tylko pancierzem swojej dumy.

Po chwili wezwała pokojówkę, aby zabrała skorpiona, a po jej wyjściu zamknęła drzwi na klucz, założyła łańcuch i wyjęła z torebki pistolet. Potem zgasiła światło i długo sie-

działała w mrocznym kącie, czujna i uzbrojona, czekając na nieznaną zagrozenie.

Myślała o furii, w którą niedawno wpadła na widok skorpiona. Z przerażenia zachowała się jak kompletna wariatka. Zupełnie jakby wzięła nad nią górę jakaś mroczna strona osobowości, z której istnienia do tej pory nie zdawała sobie sprawy. A potem C.J. zaczął zapewniać, że wszystko będzie dobrze, i ta szalejąca w niej bestia skierowała się przeciwko niemu. Wcale nie będzie dobrze. Inni ludzie nie są w stanie niczego naprawić. Oni tylko umierają i zostawiają człowieka samego, aby w pojedynkę musiał zmierzyć się z całym wrogim światem.

Tamara oparła czoło o podciągnięte kolana i zacisnęła powieki. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się niedawne gwałtowne emocje ani co w nią wstąpiło. Dlaczego tak zaatakowała C.J.? Przecież to nie było w jej stylu. Zawsze nad sobą panowała, nawet wtedy, gdy od nowa uczyła się chodzić, a całe ciało jej nienawidziło. Zdołała zostawić za sobą wielką tragedię i zrobić imponującą karierę.

Już nie miała powodów do gniewu.

Lecz wystarczyło pięć dni w Sedonie, aby rozklejała się jak tandetne buty.

Weź się w garść, Tamaro. Weź się w garść.

Usiłowała spać, ale nie pozwoliły na to senne koszmary.

Znów była w kaplicy Świętego Krzyża, skalnym kościele, z którego słynęła Sedona.

Znów szukała swoich bliskich. Przecież miała spotkać się tu z nimi na nabożeństwie. Zobaczyć się z Shawnem.

Patrzyła na piękny, łukowaty witraż, za którym niewyraźnie

rysowały się czerwone skały, i przyciskała policzek do chłodnego szkła. W kościele panowała przeraźliwa cisza.

Ruszyła wąskim przejściem, uważnie się rozglądając, jakby sądziła, że rodzice i Shawn gdzieś się przed nią schowali. Ale nigdzie ich nie zauważyła, więc przystanęła pośrodku zimnej, pustej kaplicy.

Dlaczego mi ich odebrałeś? I czemu pozwoliłeś mi żyć?

Jak mogłeś postąpić tak okrutnie?

Nie znalazła ani rodziców, ani Shawna. I już nie umiała odnaleźć nawet Boga.

Zbudziła się raptownie o trzeciej nad ranem. Mimo obezwładniającego zmęczenia zwlokła się z łóżka, w myśli układając plan działania.

C.J. wyrzucił na zewnątrz dwóch pijaków, dał wycisk jednemu awanturnikowi, zamknął bar i pojechał do domu. Po rozstaniu z Tamarą nadal był w parszywym humorze i miał ochotę porządnie się wyspać. Najlepiej przemyśleć wszystko jutro rano.

Właśnie zdążył przysnąć, gdy rozdzwonił się telefon.

- Nie - jęknął C.J. z głową pod kołdrą. - Tylko nie to. Jest trzecia. - Wymacał słuchawkę, nie otwierając oczu. - Czego? - warknął gniewnie.

- A cóż to za maniery - wycodził dźwięczny męski głos. - Czyżbym w czymś przeszkodził? Pozdrów ją ode mnie.

- Brandon! - C.J. już wiedział, że nic nie będzie z dalszego spania. Usiadł i przeczesał włosy palcami. Przed trzema laty po tragicznej śmierci żony Brandon zaczął uganiać się po świecie równie szaleńczo jak niegdyś Maks, ich ojciec. C.J. ostatnio widział swego przyrodniego brata rok temu, gdy Brandon przy-

jechał do Oregonu, aby pomóc w ratowaniu ich siostry, porwanej przez zbiegłego mordercę, Caina Cannona. Jako bogaty były bankier, Brandon zaoferował pół miliona nagrody i swoją fantastyczną inteligencję. Zaś C.J. - sporo broni oraz istotne umiejętności.

Maggie zadziwiła ich obu. Sama się uratowała, a potem wyszła za swego porywacza. I bądź tu mądry.

- .Gdzie, u diabła, się podziewasz, Brandon, i czemu nie pamiętasz, w jakiej strefie czasowej leży Sedona?

- Pamiętam. U ciebie jest trzecia rano.

- Dzięki.

- A tutaj, w Islandii, już jutro.

- Gdzie?

- W Islandii. Cóż za piękny kraj!

C.J. na chwilę odjęło mowę ze zdumienia. Znał Islandię. Po śmierci matki pojechał z ojcem do Europy. Maks oczywiście załatwiał jakieś interesy. Po kilku miesiącach zabrał go do Islandii - niby na zasłużone wakacje. Przez dwa tygodnie prawie nie zmrúżyli oka. Przesiadawali w barach, popijając piwo w gronie pogodnych Islandczyków. Dwunastoletni C.J. właśnie tam pierwszy raz spróbował, jak smakuje wódka, i doświadczył swojego pierwszego kaca. Pejzaże też były niezapomniane.

Na krótko C.J. zapomniał o brudzie i pomazanych farbą murach Bulwaru Zachodzącego Słońca. Zapomniał o popękanych chodnikach, po których snuje się zbyt wielu ludzi niemających już żadnych marzeń. Zapomniał o wieczorach, gdy szedł spać głodny, ponieważ całe zdobyte jedzenie oddał kaszlącej, trawionej gorączką matce. Zapomniał o palących łzach gniewu, które spływały po policzkach, gdy trzymał ją za rękę i patrzył, jak

umiera, nadal wzywając mężczyznę, którego uważała za miłość swojego życia - Maksa Ferringera.

Wtedy w Islandii nienawiść C.J. chwilowo wygasła. Chłopak widział w Maksie owego silnego, roześmianego, wspaniałego bohatera, za jakiego zawsze miała go matka. Przez dwa tygodnie C.J. był dumny z tego, że jest synem Maksymiliana.

Dwa miesiące później na farmie w Tillamook babcia łagodnie oznajmiła, że ojciec już po niego nie przyjedzie. Jego samolot rozbił się gdzieś nad Indonezją i trwają poszukiwania ciała.

- Dlaczego jesteś w Islandii? - C.J. zadał to pytanie tonem bardziej ostrym, niż zamierzał.

- Bo nigdy tu nie byłem.

- Do cholery, Brandon! Rozmawiasz ze mną, więc nie baw się w te swoje wyrafinowane słowne gierki absolwenta najlepszego uniwersytetu. Maggie i ja domyślamy się, co knujesz. Zamartwiamy się o ciebie. Gdy ostatnio cię widziałem, wyglądałeś jak szkielet. Maggie mówi, że już zapomniałeś, jak się uśmiechać. Na litość boską, jeśli tobie jest wszystko jedno, jak skończysz, to może chociaż pomyśl o Maggie i Lydii. Zaslugują na dużo więcej niż...

- Niż na drugiego Maksa?

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

W słuchawce długo panowała cisza, przerywana jedynie trzaskami typowymi dla połączeń realizowanych za pomocą kabla leżącego na dnie Atlantyku.

- Wiesz, że Islandia to jeden z najbardziej wulkanicznych rejonów świata? - nieoczekiwanie spytał Brandon.

C.J. zawsze denerwował fakt, że Brandon z taką łatwością umie zmienić temat. Facet był niesamowicie błyskotliwy, a jako

finansista z Wall Street zrobił karierę, którą C.J. w swoim czasie zarówno podziwiał, jak i się nią brzydził.

- Wyobraź sobie, że o trzeciej rano w Arizonie człowiek nie myśli o walorach Islandii. Ale dzięki za lekcję geografii.

- W Indonezji też są wulkany.

- I co z tego?

- Nie sądzisz, że istnieje jakiś związek?

- Nie - parsknął C.J. - Nie wierzę, żeby coś łączyło nasze wakacje w Islandii z lotniczą katastrofą w Indonezji. Przecież nasz stary włóczył się po całym świecie. Wiesz o tym lepiej ode mnie, wzięwszy pod uwagę trasy twoich podróży w ciągu paru ostatnich lat.

- Nigdy się nie zastanawiałeś, jak Maks zarabiał na życie?

- Był eksporterem-importerem - odparł gładko.

- A skąd miał tyle forsy?

- Oskubał matkę Maggie i twoją. - C.J. z opóźnieniem ugryzł się w język. - Wybacz, tak mi się palnęło.

- W porządku. Rozumiem cię.

Znów obaj umilkli. Wraz z Maggie byli tylko przyrodnim rodzeństwem, lecz zrobiliby dla siebie nawzajem wszystko. Pod tym względem plan babci Lydii powiódł się w stu procentach. Ale postać Maksa nadal trochę ich dzieliła. Każde z nich miało inne doświadczenia związane z ojcem i na swój własny sposób musiało pogodzić się z faktem, że Maks na zawsze zniknął z ich życia. C.J. usiłował jakoś zaakceptować to, że Maks poślubił tylko matki przyrodniego rodzeństwa, a z jego matką się nie ożenił. Z kolei Brandon i Maggie próbowali pogodzić się z faktem, że C.J. przez rok był z ojcem. Spędził z nim dużo więcej czasu, niż im było dane.

- Brandon, dlaczego to robisz? Maggie, Lydia i ja naprawdę

zaczynamy poważnie się o ciebie martwić. Na litość boską, odpuść sobie tego Maksa. I przestań się zadręczać śmiercią Julii.

- Nie mogę.

- Powinieneś znów wziąć się do pracy.

- Żeby zarobić więcej szmalu? - Brandon prychnął kpiąco.

- Nie, dzięki.

- Brandon... - C.J. westchnął ciężko, ale brat nie pozwolił mu skończyć.

- Uważam, że coś łączy te dwie sprawy - oświadczył stanowczo. - Śmierć Julii musiała mieć związek z osobą Maksa.

- Co ty pleciesz? Twoją żonę zastrzelił jakiś rabuś w Central Parku. To było straszne i tragiczne i wierz mi, Brandon, że stanąłbym na głowie, aby ci pomóc, ale chyba popadasz w paranoje-

- Posłuchaj uważnie. Julia chciała zrobić mi na urodziny niespodziankę - to miało być kompletne drzewo genealogiczne naszego rodu. Dlatego zaczęła kopać w przeszłości Maksa. Znalazłem materiały, które zdążyła zebrać. Wycinki z prasy, notatki. Julia była naukowcem, więc gdy już do czegoś się wzięła... Może zadawała za dużo pytań lub coś odkryła.

- Niby co?

- Nie wiem, ale przecież to oczywiste, że nasz ojciec nie był normalny. Nasze matki tak naprawdę w ogóle go nie znały. My też nie. Nawet Lydia nie pojmuję, kim się stał. Dlaczego Maks jest dla nas taką zagadką?

- Czy to ważne?!

- Tak, do licha! - Pełen rezerwy Brandon też podniósł głos. Rozmowa o Maksie zawsze burzyła im obu krew w żyłach.
- Był naszym ojcem! Chcę poznać prawdę. Muszę wreszcie się dowiedzieć, jaki człowiek...

- Porzuca swoje żony i dzieci?
- Właśnie!
- Brandon - jęknął C.J.. - Od dnia śmierci Julii masz obsesję. Chłopie, weź się w garść. Zaczynij żyć jak inni ludzie. I raz na zawsze daj sobie spokój z Maksem. On zawsze był najlepszy na dużą odległość.
- Nie mogę.
- Brandon...
- Będę to drażył, C.J. Muszę.

Połączenie zostało przerwane, a C.J. siedział w ciemności, ściskając słuchawkę, i siarczyście kłął. Cholera, po tylu latach Maks nadal mieszał im w głowach.

Tamara nie była pewna, czy postępuje słusznie, ale i tak zamierzała to zrobić. O czwartej rano wkroczyła do wielkiego holu hotelu El Dorado, odziana w czarne dżinsy i ciemnoszary, kaszmirowy golf. W tym stroju wyglądałaby jak złodziej przy pracy, gdyby nie zielony prochowiec, którzy włożyła na wierzch i mocno ściągnęła paskiem. W talii wsunęła za niego swój pistolet, ukryła go w fałdach tkaniny, a w głębokich kieszeniach miała latarkę, notatnik i długopis. I bardzo się starała iść prosto, swobodnym krokiem.

O tej porze na dole siedział tylko jeden recepcjonista oraz zaspany chłopak do noszenia bagażu. Minęła ich z miną osoby, która ma wszelkie prawa, aby się tu znajdować, i ruszyła do sali balowej. Nad głową miło mrugały kryształowe żyrandole, na lśniących blatach stolików pyszniły się wspaniałe kompozycje z jedwabnych kwiatów w kolorze intensywnego różu, palonego oranżu i czerwieni, a w marmurowych donicach rosły imponujące agawy. Tafle mijanych luster ukazywały sylwetkę Tamary w tuzinie takich samych wcieleń.

Ale drzwi do sztabu wyborczego senatora Brennana były zamknięte. Tamara kilkakrotnie szarpnęła za klamkę, lecz na nic się to zdało.

Zerknęła w głąb holu, aby sprawdzić, czy chłopak za nią nie pobiegł, i zaraz się uspokoiła. Siedział w fotelu i przerzucał czasopismo, jedną ręką masując skroń. Tamara westchnęła rozjątrzona. Jako specjalistka od public relations i reklamy potrafiła przekonać szerokie grono, że zwyczajny zamek to cały system zabezpieczenia, ale nie miała pojęcia, jak coś takiego otworzyć bez odpowiedniego klucza.

Wracaj do łóżka, powiedziała sobie w duchu. Wyśpij się. Jesteś wykończona i przestajesz panować nad sytuacją. Ile godzin udało ci się przespać od dnia przyjazdu do Sedony? Dziesięć? Osiem? A może tylko sześć?

Ale nie potrafiła siedzieć z założonymi rękami. I tak na pewno by nie zasnęła, tylko leżała i myślała o tym, czego się nie dowiedziała.

Poszła nieco dalej i zatrzymała się przed drzwiami z plakieta „Wejście tylko dla pracowników”. Pchnęła je i znalazła się w tej części hotelu, której goście nigdy nie oglądają. Tutaj była betonowa podłoga, wzdłuż ścian ciągnęły się liczne rury różnej grubości, jakieś urządzenia cicho szumiały. Dalej znajdowało się kilkoro metalowych drzwi. Tamara kolejno próbowała je otworzyć i z zadowoleniem stwierdziła, że niektóre nie są zamknięte na klucz. Widocznie personel hotelu zanadto nie przejmował się zabezpieczeniem pomieszczeń.

Piąte drzwi prowadziły do znajomego przedsionka, za którym była główna sala. Tamara wślizgnęła się do środka i przystanęła, mając wrażenie, że cisza pulsuje wokoło równie głośno

jak werbel. Rzędy pustych stolików i metalowych krzeseł wyglądały w mroku wyjątkowo dziwnie.

Tamara skonstatowała, że drży.

Idź do biurka pani Winslow, poleciła sobie w duchu. Tylko tam możesz coś znaleźć.

Mary Winslow od piętnastu lat aktywnie uczestniczyła we wszystkich kampaniach wyborczych senatora Brennana, a od trzech prowadziła je tutaj, w Sedonie. Załatwiała wszystkie dotyczące go sprawy i z pewnością musiała gromadzić rozmaite dokumenty. Oby również te z agencji wynajmowania samochodów.

Ale jak długo je przechowuje? Niby dlaczego miałaby nadal trzymać szpargały sprzed dziesięciu lat? Myślisz, Tamaro, że naprawdę odkryjesz tu coś ważnego?

Skarciła się za te wątpliwości, pośpiesznie usiadła przy biurku Mary Winslow i postawiła latarkę na blacie, po czym włączyła komputer.

Ekran zamigotał, a czyjeś ramię nagle otoczyło jej szyję, zaś dłoń zatkała usta. Ktoś błyskawicznie zwlókł Tamarę z krzesła, odciągnął na bok i przycisnął do ściany tak mocno, że szaleńcza próba wyswobodzenia się spełzła na niczym. Tamara poczuła na policzku szorstki zarost, gdy silny, muskularny mężczyzna przysunął usta do jej ucha.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - szepnął C.J., a ona zwiotczała, czując przemożną ulgę.

- Siedzisz mnie?

- Nie prowokuj mnie, bo nie jestem w nastroju do żartów. Na twoim miejscu zacząłbym gadać. I lepiej mów prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, jasne?

Wiedziała, że on nie żartuje, ale to tylko sprowokowało ją do większego oporu.

- Jakim cudem zawsze pojawiaasz się tam gdzie ja? Co ty, do cholery, wyprawiasz, C.J.? - Spiorunowała go wzrokiem, a temperatura podskoczyła między nimi o kilka stopni.

- Jestem tutaj, bo za tobą przyjechałem.

- Prześladujesz mnie!

- Nieprawda, ty niewdzięczna kretynko. Martwię się o ciebie. Nie mogłem zasnąć, myśląc o uszkodzonych hamulcach i skorpionie na łóżku, więc postanowiłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ale na parkingu zobaczyłem, jak przemycasz do samochodu, opatulona ciemnym płaszczem. Obejrzałaś się za dużo kryminałów, czy co?

- Powiedzmy, że tak - mruknęła nieco spokojniejszym tonem. C.J. się o nią martwi? A może kłamie? Jak to stwierdzić? Poczula, że zaschło jej w ustach. Kilkakrotnie oblizała wargi, lecz niewiele pomogło.

- Zbaraniałem, widząc, jak zakradasz się do sztabu wyborczego naszego pocziwego senatora. To dość niezwykłe, więc lepiej zacznij sensownie gadać, bo w byle co nie uwierzę.

Patrzył na nią tak przenikliwie, jakby usiłował przejrzeć ją na wylot i wykryć wszelkie jej słabości. Czuła też ucisk jego ciała na swoim i nie mogła się ruszyć, lecz ten bliski kontakt wcale jej nie przeszkadzał. Przeciwnie, odniosła wrażenie, że działa na nią krzepiąco.

Kiedy ostatnio ktoś się o nią martwił? Kiedy ktoś ją obejmował, głaskał po włosach i szeptał jakieś kojące słowa?

Nagle ogarnęło ją ogromne znużenie. Pragnęła wesprzeć się o C.J., zdać się na niego, zarzucić mu ręce na szyję i przytulić policzki do jego barku. Może dzięki C.J. chociaż przez chwilę poczułaby się bezpieczna. I mniej samotna.

Przywołała na pomoc całą siłę woli i wyprostowała się, zaciągając pięści tak mocno, że paznokcie boleśnie wbiły się w ciało.

- Nie musisz się o mnie martwić.

- Świetnie, bo to już nieaktualne. Właśnie złapałem cię na włamaniu, więc teraz martwię się o senatora. Pracujesz dla jego przeciwnika?

- Nie.

- Jesteś złodziejką?

- Mało prawdopodobne.

- Więc co, na litość boską, robisz tutaj o czwartej trzydziści?

- Uwierzysz, jeśli ci powiem?

- Tamara... - W głosie C.J. zabrzmiały ostrzegawcze nuty, a ona przypomniała sobie, że takim tonem mówił czasem ojciec. Zazwyczaj wtedy, gdy zasiedziała się u Patty.

- No dobrze. Jestem reporterką.

- Reporterką?

- Owszem. Mam podstawy, aby wierzyć, że dziesięć lat temu senator spowodował wypadek samochodowy, w którym zginęły trzy osoby, i uciekł, nie udzielwszy pomocy.

- Mów dalej. - C.J. głęboko wciągnął powietrze i trochę się odsunął, aby ona też mogła łatwiej oddychać.

- Sprawca jechał czerwonym sportowym autem. Policja nigdy nie znalazła ani tego pojazdu, ani jego kierowcy. Podejrzewam, że senator zdołał pozbyć się uszkodzonego wozu i dobrze zapłacił zaufanemu lekarzowi za opatrzenie odniesionych ran. To tylko przypuszczenia. Miałam nadzieję, że tutaj znajdzie jakieś dowody.

- Hmm.

- Zamierzasz wreszcie mnie puścić?

- Jeszcze nie wiem. Najpierw pozujesz na wolontariuszkę z Nowego Jorku, a nazajutrz stajesz się włamywaczką, która twierdzi, że wpadła na trop afery godnej rodu Kennedych. Jedno jest pewne - umiesz opowiadać interesujące historyjki.

- Słuchaj, C.J., nie możemy tak tu sterczeć. Wkrótce zaczną schodzić się ludzie...

- To byłoby... - Urwał, słysząc brzęczenie pagera. - Co tam znowu - burknął, zerkając na czytnik. - To numer mojego baru. O cholera, Sheila. Muszę lecieć!

- Później porozmawiamy. - Tamara powoli ruszyła do drzwi.

- Wykluczone, skarbie. - C.J. błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek. - Nadal ci nie ufam, więc na razie nie mogę pozwolić ci odejść. Jedziesz ze mną.

- Ani myślę!

Ale jej protest okazał się bezowocny, ponieważ C.J. po prostu zaciągnął ją do samochodu.

ROZDZIAŁ 5

C.J. prowadził auto jak kierowca wyścigowy. Rzecz nie w tym, że jechał szybko - to potrafi każdy głupek. C.J. doskonale panował nad pojazdem. Pozwalał mu przyśpieszyć tak samo, jak dżokej popuszcza wodze koniowi, przynaglając go, aby dał z siebie wszystko, lecz przez cały czas kontroluje jego szaleńcze tempo. Na prostych odcinkach szosy C.J. rozpędzał mustanga do stu pięćdziesięciu na godzinę, a Tamara zaciskała dłoń na drzwiowym uchwycie, trochę sfrustrowana faktem, że siedzi na miejscu dla pasażera, a nie kierowcy. Lubiła nim być. Kierowcy zawsze są górą, bezustannie podejmują decyzje, podczas gdy pasażerowie... w kryzysowych sytuacjach nie mogą nic zdziałać.

Kątem oka przyglądała się C.J i stwierdziła, że dopóki na niego patrzy, dopóty nie paraliżuje jej strach. Owszem, trochę dawał o sobie znać, lecz pozostawał gdzieś w podświadomości i się nie potęgował. Rozumiała wyraz twarzy C.J. On był stuprocentowo skupiony, wsłuchiwał się w dźwięk silnika, bezustannie obserwował nawierzchnię szosy, ustalał kierunek jazdy i błyskawicznie zmieniał biegi. Usta miał zaciśnięte, oczy leciutko przymrężone, prawą dłoń trzymał na dźwigni, a mięśnie ud grały pod dżinsami, gdy przyśpieszał lub zwalniał. Znał swój samochód. I tę drogę. Oraz miał stosowne doświadczenie.

W polu widzenia pojawił się ostry zakręt i Tamarę ścisnął za gardło strach. Ale C.J. najwyraźniej wiedział, co robi.

Nie wszedł w zakręt, kurczowo trzymając się wewnętrznej strony szosy, jak zazwyczaj robią amatorzy. Potraktował to miejsce jak punkt obrotu - wrzucił niższy bieg i pokonał odległość do zakrętu, jadąc wzdłuż linii prostej, a tuż przed nim gwałtownie obrócił kierownicę i nacisnął pedał gazu. Tył pojazdu zarzucił w kontrolowany sposób i mustang wystrzelił jak pocisk na kolejny prosty odcinek.

Nagle Tamara odniosła wrażenie, że słyszy słowa matki. „Zwolnij, Robert. Przecież wcale nam się nie śpieszy. A poza tym wiadomo, jacy idioci mogą o tej porze pędzić tą drogą”.

Tamara potrząsnęła głową i głos matki umilkł. Tamten wypadek nie zdarzył się dlatego, że ojciec jechał za szybko. Wpadł na nich jadący z nadmierną szybkością samochód senatora Brennana, który zaraz uciekł, nie udzielivszy im pomocy. To on pozbawił Tamarę jej najbliższych. Była tego pewna.

Znów popatrzyła na C.J. Znała się na wyścigowej jeździe i nie miała wątpliwości, że on mógłby startować na każdym torze. Nie zdekoncentrowałby się nawet na ułamek sekundy, nie popełniłby najmniejszego błędu.

Komuś takiemu jak C.J. chyba można zaufać. Spokojnie odwróciła głowę i zaczęła wyglądać przez okno.

Wkrótce C.J. ostro skręcił i wjechał na parking. Za nim Tamara ujrzała piętrowy, drewniany budynek, w którym mieścił się bar Ancient Mariner.

- Zaczekaj tutaj. - C.J. otworzył małym kluczykiem skrytkę i wyjął z niej pistolet. Zrobił to tak szybko, że zanim Tamara się zorientowała, on już biegł do drzwi.

Bez wahania pośpieszyła za nim. Też była uzbrojona, choć miała niewielkie doświadczenie w strzelaniu.

Za drzwiami ujrzała mroczne wnętrza, ledwie rozjaśnione pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. O piątej rano cały świat jeszcze był przepojony tym szczególnym spokojem, jaki istnieje tylko o świcie.

Gdzieś na piętrze rozległ się odgłos szybkich kroków. Tamara zeszytniała, w głębi sali zauważyła schody i ruszyła w ich stronę. Po chwili usłyszała uspokajające słowa C.J. i zdławione pochłipywanie.

Przystanęła na pierwszym stopniu, nagle czując się jak intruz. C.J. był na górze z inną kobietą. Z tą, która go wezwała. Do której jechał jak wariat, aby jej pomóc.

Tamara przygryzła wargi. Powinna wrócić do samochodu. Wezwać taksówkę i pojechać do hotelu, zanim zjawi się tu C.J. Do licha, najlepiej wsiąść do samolotu i polecieć prosto na Manhattan, bo cały pobyt w Sedonie okazał się jednym wielkim niewypałem. Już po kilku dniach w tym miejscu Tamara była taka roztrzęsiona, że sama siebie nie poznawała. W ogóle nie należało tu przyjeżdżać.

Ani poznawać C.J. MacNamary.

Doszła do tego wniosku... i zaczęła wchodzić na piętro.

Korytarz był wąski i słabo oświetlony, a podłogowe deski skrzybiały pod stopami. Tamara skierowała się w stronę wąskiej smugi światła padającej zza uchylonych drzwi i zajrzała do pokoju.

Na brzegu łóżka siedział C.J., kołysząc w ramionach młodszą brunetkę, która tuliła się do niego i kurczowo obejmowała go za szyję. A na podłodze, twarzą do dołu, nieruchomo leżał mężczyzna, zaś tuż obok niego - stłuczona lampa. Scena była aż nadto wymowna.

- Sprawdziłeś, czy on żyje? - spytała Tamara, nie patrząc na C.J.

- Nie. Mogłabyś to zrobić?

Kucnęła i dotknęła palcami szyi mężczyzny. Z bliska dostrzegła też krew na jego czole i we włosach. Jak na taką drobną dziewczynę, brunetka umiała zadać silny cios. Tamara wyczuła słaby, lecz regularny puls.

- Wezwę pogotowie.

- Dzięki - powiedział C.J., a chlupanie dziewczyny trochę przycichło. - To Al, mąż Sheili. Lub raczej prawie były mąż.

Tamara skinęła głową. Nie mogła znieść widoku C.J. tak czule obejmującego popłakującą dziewczynę. Smarkuła całkiem się rozkłębiła, a on ją uspokajał. Bo C.J. MacNamara był człowiekiem, który zawsze pomoże każdemu. Takim, o którym kobieta marzy w trudnych chwilach.

Tamara podeszła do okna i tam poczekała na przyjazd karetki.

Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Rozległo się przeraźliwe wycie syreny, zamigotały światła ambulansu, na schodach zadudniły ciężkie i szybkie kroki pielęgniarzy. Ala położono na noszach i zniesiono na dół, zaś Sheila nadal siedziała na łóżku, blada i roztrzęsiona.

Po chwili do akcji wkroczyła policja. Sheila drżącym głosem opowiedziała, co zaszło. Właśnie wróciła z łazienki do swojego pokoju, gdy usłyszała za plecami jakiś szmer. Chwyciła lampę i z całej siły zdzieliła wyłaniającego się zza drzwi intruza, zaś Al bezwładnie osunął się na podłogę. Sheila zapewniła, że naprawdę nie chciała go zabić ani nawet zranić.

Szeryf Brody wszystko starannie notował, od czasu do czasu kiwając głową. Był postawnym mężczyzną o wypukłym torsie

i sprawiał sympatyczne wrażenie. Zbliżał się do pięćdziesiątki, a mocno przerzedzone włosy miał ostrzyżone tak krótko, że nie było ich widać spod szerokiego ronda brązowego kowbojskiego kapelusza. Za to wąsy prezentowały się imponująco, a szeryf od czasu do czasu muskał je palcami.

Niewątpliwie dobrze znał C.J. i Sheilę oraz chyba nie pierwszy raz interweniował w związku z jej mężem. Lecz po raz pierwszy to on musiał pojechać do szpitala.

- Sąd zakazał Ałowi zbliżać się do niej - przypomniał C.J.

- Wiem.

- Na zapleczu jest wybita szyba. Chyba dostał się do wnętrza tamtędy.

- Czyli dochodzi włamanie. - Szeryf Brody zrobił kolejną notatkę. - Pokażesz gdzie?

- Chętnie.

Szeryf i C.J. rozmawiali lekkim tonem, lecz Tamara wyczuła w ich słowach szczególny podtekst. Obaj mężczyźni rzeczywiście martwili się o Sheilę i później, już nie przy niej, prawdopodobnie zaczną się zastanawiać, jak zapewnić jej bezpieczeństwo. Chociaż wzięwszy pod uwagę solidnie rozbitą głowę Ala, ta słaba kobietka radziła sobie całkiem nieźle.

C.J. i Brody zeszli na dół, a Sheila nadal siedziała na łóżku, nerwowo pocierając ramiona pokryte gęsią skórką. Tamara przesunęła spojrzeniem po wytartym parkiecie, starym bujaku oraz zdobiącym ścianę indiańskim kilimie w czerwono-brązowe wzory i ciężko westchnęła. Nigdy nie umiała odpowiednio się zachować w takich sytuacjach. Inne kobiety emanowały matczynym ciepłem, natomiast ona tylko karciała swoje asystentki, każąc im wracać do pracy, i sama dawała najlepszy przykład. Zawsze była chłodna i nigdy nikogo nie po-

trzebowała. „Musisz sobie radzić sama. Polegać wyłącznie na sobie”.

- Jak... się miewasz? - Tamara uznała, że milczenie stało się nie do zniesienia. Ale pytanie było beznadziejne. Przecież ta dziewczyna właśnie pozbawiła przytomności dręczącego ją męża. Nie ulegało wątpliwości, że teraz jest porządnie wytracona z równowagi. Tamara miała ochotę jak najszybciej stąd zniknąć.

- Jestem... zmęczona - wzruszając ramionami, szepnęła Sheila. Trzęsła się, więc Tamara sięgnęła po kraciany koc i delikatnie otuliła ramiona dziewczyny, lecz ona chyba tego nawet nie zauważyła.

- Wszystko będzie dobrze. - Tamara przysiadła na łóżku i zaczęła energicznie rozcierać rękę Sheili. - Al trafi do szpitala, szeryf i C.J. są na dole, a ty się przekonałaś, że masz szybki refleks.

- Nie chciałam tak mocno go uderzyć.

- Wiem. - Tamara gorączkowo się zastanawiała, co by tu jeszcze powiedzieć. Matka mówiła kiedyś takie cudowne, kojące słowa, ale to było tak dawno... Wszystkie odeszły w niepamięć. - Zrobiłaś to odruchowo.

- Zaskoczył mnie. Okropnie się przestraszyłam.

- Nic dziwnego.

- Ale... przecież mogłam go zabić. - Sheila wreszcie się poruszyła i z udręką w niebieskich oczach popatrzyła na Tamarę. - Właściwie... jakby tego chciałam.

Tym razem Tamara naprawdę nie wymyśliła stosownej odpowiedzi. Gdy sama cierpiała, nie miała nikogo bliskiego, kto ukołby jej ból. Wtedy zamknęła się w sobie i dzięki temu jakoś przetrwała. Ale nie wiedziała, czy ta metoda bywa skuteczna w przypadku innych ludzi.

- Przypuszczam, że... jest w tobie wiele gniewu. - Znow poklepała Sheilę po ręce.

- Czasem nienawidzę Ala.

- To zrozumiało.

- Ale on jest moim mężem,

- Raczej nie najlepszym. Słuchaj, Sheila, masz prawo się bronić i walczyć o swoje. Nie znam twojej sytuacji, ale ten Al to chyba niezły gagatek. Wątpię, czy włamał się do baru, żeby tylko kulturalnie pogawędzić. Postąpiłaś słusznie. Uderzyłaś go w samoobronie.

- Masz rację. - Sheila się rozpromieniła. - Sama o siebie zadbałam.

Na policzkach dziewczyny pojawił się nikły rumieniec, a Tamara energicznie skinęła głową, zadowolona, że powiedziała coś właściwego. Podniosła Sheilę na duchu i dzięki temu sama też poczuła się lepiej. Nawiązała z kimś autentyczny kontakt.

Siedziały w milczeniu, ponieważ już nie potrzebowały słów. I wszystko naprawdę było dobrze.

W końcu Tamara odwróciła głowę i ujrzała opartego ramieniem o futrynę C.J. Wyglądało na to, że stał tam już dłuższy czas. Napotkał wzrok Tamary i uśmiechnął się, a w jego niebieskich oczach pojawił się wyraz czułości i dumy.

- Wierysz mi czy nie? - spytała Tamara. Oboje siedzieli w czarnym mustangu C.J. Sheila została odesłana do łóżka, a wezwana telefonicznie Gus przyjechała do baru, aby trzymać tam wartę. Dochodziła siódma rano i mimo soboty Tamara już za godzinę powinna zameldować się w sztabie wyborczym. Senator miał zjawić się za tydzień, więc przygotowania sięgnęły zenitu.

- Że jesteś reporterką? - C.J. prowadził tylko prawą ręką, a palcami lewej, opartej łokciem o krawędź drzwiczek, co chwila przeczesywał włosy. Chyba był zmęczony, ale w dobrym humorze.

- Właśnie. - Musiała sprawdzić, jak dobrze kłamię. Czekają ją kilka pracowitych dni.

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- No wiesz... - Tamara zachnęła się z udawanym oburzeniem, a C.J. wzruszył ramionami.

- Muszę to wszystko sprawdzić.

- Moje słowo ci nie wystarczy?

- Nie. - Posłał jej leniwy uśmiezek.

Skrzywiła się, autentycznie urażona tym brakiem zaufania, choć w duchu musiała przyznać mu rację. Na jego miejscu też nie kupiłaby swojej zmyślonej na poczekaniu wersji.

- Więc co zamierzasz?

- Na razie muszę się wyspać. Ratowanie dam w potrzebie jest bardziej wyczerpujące, niż wam, paniom, się zdaje.

- Zaraz się wzruszę - mruknęła sarkastycznie. Do licha, nie uwierzył jej. A przecież wszyscy zawsze mieli do niej bezgraniczne zaufanie. Była godną szacunku obywatelką, doskonale płatną specjalistką na wysokim stanowisku. Jak można wątpić w słowa kogoś tak porządnego? Przez chwilę rozkoszowała się myślą o C.J. w roli jej podwładnego, któremu właśnie dała wycisk.

- W zasadzie uważam - pogodnie kontynuował C.J. - że łożesz. Ale czy są powody do niepokoju? Przecież wiele razy mogłaś zwiać, na przykład niedawno w barze, a jednak zostałaś i pomogłaś Sheili. Przestępca tak nie postępuje.

- Może jestem kiepskim przestępcą.

C.J. zerknął na nią z rozbawieniem, po czym nagłe pogłaskał

ją po policzku. Nie cofnęła się, tylko jak zwykle zamarła. Przez jedną ulotną sekundę cieszyła się z tej delikatnej pieszczoty szorstkiego kciuka muskającego jej skórę.

- Okazałaś Sheili wiele serca - cicho stwierdził C.J. - Powiedziałaś jej dokładnie to, co trzeba.

- Improwizowałam.

- Jak każdy w zaskakującej sytuacji. Może tylko profesjonalni doradcy zawsze są przygotowani na wszystko. Ale instynkt cię nie zawiodł. Zostałaś z Sheilą, a właśnie twoja obecność była jej najbardziej potrzebna. To zawsze pomaga.

Tamara skinęła głową, cofając się w myślach do tamtych dni, gdy leżała w szpitalu, patrząc na innych pacjentów, których odwiedzali ich bliscy. Tak bardzo wtedy pragnęła zobaczyć jakąś znajomą, przyjazną twarz, ujrzeć Patty lub jej ojca... Ale nikt nie przyszedł. Cóż, życie rzadko bywa fair.

- Bardzo... przejmujesz się losem Sheili.

- Jest dla mnie jak siostra. Nie musisz się tym martwić.

- Wcale się nie martwię - odparła z wystudiowaną obojętnością. - Nie moja sprawa, z kim chadzasz na randki. To mnie nie obchodzi.

- Uhm.

- Naprawdę.

- Uhm.

- Czyżbyś mi nie wierzył? - Łypnęła na niego groźnie.

- Ani trochę. Chyba zaczynam cię rozgryzać. Odnoszę wrażenie, że odrobinę mnie lubisz. Może nawet troszeczkę ci się podobam. A gdy będziesz w dobrym humorze, to nawet za mną zatęsknisz.

- Ja... wcale... - Mocno spłótła palce, a serce szaleńczo tłukło się w jej piersi.

- Oczywiście tylko trochę. Nie za bardzo.
- Ledwo ledwo?
- Właśnie.
- Czy ja wiem... - mruknęła, świadoma tego, że nie było to zaprzeczenie.

- Pojawiły się jakieś problemy z hamulcami? - C.J. zajechał przed hotel i zaparkował obok jej lexusa.

- Nie.
- A w pokoju?
- Wszystko w porządku. Pokojówka zabrała skorpioną. Powiedziała, że pewnie dostał się do środka, gdy drzwi były otwarte podczas sprzątanía.

- Uhm.
- To tylko głupie przypadki, C.J.
- Kto wie, że tu jesteś, Tamaro?
- O... o co ci chodzi?
- Kto wie, że usiłujesz stwierdzić, czy kandydat na prezydenta spowodował wypadek, w którym zginęli ludzie?

- Prawie nikt - odparła szczerze.
- W tym układzie nawet jedna osoba to za dużo.
- Co ty pleciesz - ofuknęła go, lecz znów odezwały się obawy. Pośpiesznie wysiadła, nagle spragniona otwartej przestrzeni, lecz ścierpnięta kostka odmówiła posłuszeństwa. Tamara oparła się o drzwiczki, aby odzyskać równowagę.

- Tamara... - Głos C.J. zabrzmiał miękko. - Czy wtedy ktoś cię wspierał? Wiesz, po tamtym wypadku. Miałaś przy sobie kogoś bliskiego, kto trzymał cię za rękę?

- Nie wiem, o czym mówisz. - Tak mocno zacisnęła palce na drzwiczkach, że aż zbiały jej kłykie.

- O wypadku, którego sprawę badasz. Ty tam byłaś, prawda?

Dlatego utykasz. Dlatego po latach wróciłaś do Sedony. I dlatego grzebiesz w przeszłości senatora. To twoja rodzina tam zginęła, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz - powtórzyła szeptem.

- Wiesz. Widzę strach w twoich oczach.

Natychmiast wzięła się w garść, ale już było za późno. C.J. dostrzegł zbyt wiele. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który tak szybko przejrzałby ją na wylot.

- Kochanie, senator jest potężny, ma władzę. Zdajesz sobie sprawę z tego, na co się porywasz?

- Jeszcze nie, ale dam sobie radę.

Zanim zdążyła się na to przygotować, C.J. wyskoczył z auta i stanął naprzeciw niej.

- Pozwól mi to zrobić - szepnął. - Chociaż raz.

Położył dłonie na jej ramionach i powoli ją do siebie przyciągnął, jakby się obawiał, że ona natychmiast się wyrwie i ucieknie. Delikatnie objął ją w talii, przytulił i oparł głowę Tamary o swój bark.

Usłyszała miarowe uderzenia serca, poczuła na policzku miękki dotyk bawełnianego podkoszulka, a na plecach ciepłą rękę. Palce drugiej wsunęły się we włosy i zaczęły delikatnie, pieścizotliwie masować skórę, aż Tamarę opuściło całe napięcie. C.J. odgarnął jej włosy z czoła, ona zaś bezwiednie przylgnęła do niego... i natychmiast się za to skarciła. Wcale nie chciała opierać się o C.J. Ani o nikogo innego.

C.J. lekko odchylił się do tyłu i bez wysiłku wziął na siebie cały ciężar jej ciała. Przesunął palce w dół, odnalazł jej ramię i lekko je ścisnął, ona zaś omal nie jęknęła. Miała wrażenie, że od lat dźwiga na swoich barkach coś niewyobrażalnie przytłaczającego, a naprężone, bolące mięśnie przypominają o każdej

sekundzie wątpliwości i strachu. Ale teraz silne, cudowne palce tak wspaniale masowały każdy mięsień, aż się poddał i zmiękł, pozwalając kształtować się od nowa.

Objęła C.J. w pasie, przymknęła powieki. Poczowała zapach old spice'a. Uwielbiała go.

O Boże.

Chyba zaraz się rozpłacze. Zacznie szlochać. Znów odezwały się zdradzieckie emocje. Nie wiedziała, skąd się biorą, lecz nagle stały się wielką falą, która coraz bardziej ją ogarniała i lada moment mogła trysnąć fontanną łez.

Tamara zacisnęła pięści. Wstrzymała oddech. Nie wolno jej się rozkleić.

- Szysz... Wszystko w porządku, odpręż się.

Wtedy znów się rozwścieczyła. Inteligentny, rozsądny, racjonalnie myślący człowiek nigdy nie powinien wpadać w taki gniew.

A jednak ona trzęsła się z bezsilnej złości. Nic nie jest w porządku! I nigdy nie będzie! Dlaczego ludzie zawsze powtarzają te idiotyczne frazesy? Zapewniają, że ci pomogą, że będzie dobrze. Pozwalają, by ich pokochać, zaufać im, zdać się na nich. A potem nagle odchodzą i pozostaje po nich jedynie pamięć o ich kłamstwach. Nikt nigdy cienie obroni ani nie pomoże. Nie ukoj twój ból.

W chwili potrzeby miałaś tylko siebie i ten wszechobecny czerwony pył Arizony oraz cykanie świerszczy, gdy twoi bliscy kolejno umierali, zostawiając cię samą.

Oparła dłonie na piersi C.J. i z całej siły go odepchnęła, a on natychmiast przytrzymał jej nadgarstki.

- Nie, do cholery! Dostyc tej zabawy w chowanego. Zaraz mi powiesz, o co chodzi. Co się z tobą dzieje?

Sama pragnęła to zrozumieć. Była chora od tych oszałamia-

jących emocji, które zaczynały brać nad nią górę. Wiedziona przemożnym impulsem, ujęła twarz C.J., przyciągnęła ją do siebie i wpiła się ustami w jego wargi.

Jeśli sądziła, że on jest ucieleśnieniem czułości, to bardzo się myliła, ponieważ mocno ją objął i odpowiedział na jej pocałunek równie szaleńczo. Zmusił jej wargi do posłuszeństwa, a gdy je rozchyliła, bez reszty wziął w posiadanie. Wsunął palce w długie włosy Tamary, odchylił jej głowę do tyłu i dopiero teraz pokazał, jak to jest, gdy całuje mężczyzna, który naprawdę potrafi to robić.

Chwytał jej dolną wargę i ją wessał, potem zajął się kącikiem ust, powędrował ustami po jedwabistym policzku, a całodobowy zarost podniecająco drażnił gładką skórę Tamary. Poczowała, że ogarnia ją żar, który zaraz zmienił się w falę niesamowitego pożądania, tak silnego, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Usta C.J. błędziły po jej uchu, język musnął jego wnętrze, a ją przeszedł cudowny dreszcz. Kolana nagle stały się miękkie, nogi drżały, odmawiając posłuszeństwa.

Chyba zwariowała. Przestała nad sobą panować.

Dosyć tego.

Wściekle go odepchnęła i odskoczyła do tyłu. Oboje ciężko dyszeli, w milczeniu mierząc się spojrzeniami. W oczach C.J. nie było cienia czułości, tylko pożądanie.

Tamara nie spuściła wzroku, lecz już nienawidziła się za to, że tak łatwo uległa.

- Nie chcę tego! - syknęła.
- Chcesz. Tylko się boisz.
- Nie mów mi, co czuję!
- Więc przestań kłamać i uczciwie przyznaj, czego pragniesz.

- Moje życie to nie twoja sprawa!
- Za późno.
- Nie jestem jedną z twoich dam w potrzebie! - krzyknęła rozjuszona. - Trzymaj się swoich kelnerek!
- Za późno.

Najchętniej by go udusiła. I objęła. Chciała go znienawidzić. I paść w jego ramiona. Wreszcie wszystko się zmieniło. Znalazła mężczyznę, którego pieśczoły doprowadzały ją do szaleństwa. Ale z niej szczęściara.

Zrezygnowała z udawanego chłodu, odwróciła się i uciekła.

C.J. patrzył za nią, dopóki nie znikła za ścianą bujnej roślinności. Jego ciało nadal boleśnie odczuwało przyływ niezaspokojonego pożądania. Tak silnego, że C.J. nie posiadał się ze zdumienia.

Bezwiednie jęknął i zrobił kilka głębokich wdechów. A gdy wreszcie uznał, że jest w stanie się ruszać, ostrożnie powlókł się do samochodu, ciężko usiadł za kierownicą i wlepił wzrok w deskę rozdzielczą.

Jasna cholera, jak dotrzeć do tej kobiety? Dlaczego nie mógł zwyczajnie z niej zrezygnować?

Niech to wszyscy diabli! Zatrzasnął drzwiczki, zapalił silnik i odjechał z piskiem opon, jakby szaleńcza jazda miała rozwiązać problem. Co, oczywiście, się nie stało.

Tamara tak bardzo się trzęsła, że dopiero za czwartym razem zdołała założyć łańcuch na drzwiach. Później pośpiesznie zrzuciła ubranie, jakby dzięki temu mogła raz na zawsze zneutralizować wrażenia wywołane dotykiem, smakiem i zapachem C.J. MacNamary.

Nago pomknęła do łazienki, napuściła gorącej wody do wiel-

kiego jacuzzi, wlała pół butelki kąpielowego płynu, następnie powoli zanurzyła się w pachnącej pianie. Odchyliła głowę na wyściełany brzeg wanny i zamknęła oczy, z całej duszy pragnąc wypłukać z siebie wszelkie emocje.

Nie chciała odczuwać gniewu. Ani doświadczać oszałamiającej namiętności. W tej chwili marzyła tylko o tym, aby odzyskać spokój i w dobrym stanie psychicznym wrócić do Nowego Jorku.

Gdzieś w głębi umysłu zabrzmiał głos matki. „Zwolnij,..”

Usłyszała chrapliwy krzyk ojca. „O Boże!”

A wkrótce potem zabrzmiał przepojony bólem szept Shawna. „Wszystko będzie dobrze, Tammy. Ktoś się zjawi... Na pewno... Pan... jest... moim pasterzem. Nie...”

Przycisnęła drżące dłonie do czoła. Wepchnęła koszmarne wizje z powrotem w głąb udęczonego umysłu.

Nie chciała zgłębiać prawdy. Szukała tylko sprawiedliwości.

Wokoło unosiły się kłęby pary, która skręcała ciemne włosy Tamary, ona zaś bardzo długo siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy wreszcie podniosła głowę, wspomnienia już przestały się odzywać. Znikły emocje. I Tamara odczuwała tylko obezwładniające znużenie.

A z tym umiała sobie radzić.

Wyszła z wanny, osuszyła ciało puszystym ręcznikiem i przygotowała się do kolejnego dnia w sztabie wyborczym senatora. Nie potrzebowała C.J. MacNamary, jego przenikliwie patrzących niebieskich oczu ani mocnego uścisku. Musiała tylko znaleźć ślady, które doprowadzą ją do czerwonego, sportowego auta. I zamierzała dokonać tego bez niczyjej pomocy.

ROZDZIAŁ 6

Wdzie są reklamowe nalepki na zderzaki? Przecież zamówiliśmy całe pięć tysięcy, więc dlaczego jeszcze ich nie dostaliśmy?! - Pani Winslow nie ukrywała irytacji.

- Drukarnia miała małe problemy - zawołała Celia, usiłując przekrzyczeć kilka dzwoniących telefonów. - Dostarczyli wszystko dzisiaj rano, ale w nazwisku senatora zjedli jedno „n”.

- Co takiego?!

- Przysięgali, że przywiozą nowe w poniedziałek.

- Jerry! - wykrzyknęła pani Winslow. - Daj mi numer tej firmy. Już ja ich pogonię. Celia, zamów więcej plakietek. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w tym okręgu ma nosić przypiętą plakietkę z napisem „Senator Brennan to nasza przyszłość”. Hannah, zbierz cztery grupy do badania opinii publicznej. Ma być duży udział kobiet i przedstawicieli mniejszości etnicznych. Musimy przetestować nowe reklamy. Scott, jest już gotowa najnowsza wersja inauguracyjnej mowy senatora?

- Niby tak - ponuro odparł Scott, a pani Winslow chwyciła go za ramiona i mocno nim potrząsnęła.

- Co znowu? Gadaj!

- Przez ostatnie trzy dni testowałem ją na grupach z różnych środowisk. Robi dobre wrażenie na mężczyznach w średnim wieku, zarówno białych, jak i z populacji Indian oraz Latino-

sów, ale zupełnie nie przemawia do kobiet, zaś wyborcy poniżej trzydziestego piątego roku życia twierdzą, że poglądy senatora to starzyzna. - Scott pośpiesznie wyrzucał z siebie słowa. - Aktualnie mamy po swojej stronie tylko czterdzieści procent wyborców, a to o wiele za mało. Nie pokonamy tego młodego i szanowanego przybłądy Matthew Phillipsa, który cieszy się wielkim poparciem. Kobiety go uwielbiają, podobnie jak wszyscy młodzi. Uważają go za seksowną wersję Rossa Perota.

- Nie pleć, Scott.

- Mary, usiłuję tylko powiedzieć, że mówiąc tak, jak tutaj jest napisane, senator Brennan nie wygra w swoim rodzinnym stanie. Trzeba wziąć pod uwagę zmiany demograficzne, jakie na przestrzeni lat zaszły w Arizonie. Lepiej niech ktoś to wyjaśni senatorowi i autorowi jego przemówień.

Mary skrzywiła się, w zamyśleniu przygryzając dolną wargę. Następnie spojrzała na Tamarę, która udawała zapracowaną, lecz przez cały czas nadstawiała ucha. Miała na sobie optycznie wyszczuplający czarny kombinezon, w którym zawsze wyglądała nadzwyczaj szykownie. Dzisiaj czarny kolor tylko podkreślał bladość cery i sińce pod oczami. Pani Winslow niewątpliwie to "zauważyła.

- Boże drogi, ale jesteś zmarnowana. Dobrze się czujesz? - W pytaniu było niewiele troski, raczej obawa o wydajność pracownicy.

- Tak, tylko poszłam za późno spać.

- Wiem, że jesteś wolontariuszką, ale senator przyjeżdża już za parę dni i nie mogę pozwolić, żeby mój zespół zarywał noce, włączając się po barach.

- Wiem.

- Nie rozumiesz, jakie znaczenie ma ta kampania? - Pani

Winslow przybrała ton patetyczny. - To nie jakiś tam szkolny konkurs na najlepszy referat. Tutaj, w tej sali, pracujemy nad nowym kształtem przyszłości całego kraju. Staramy się wykreować nowego przywódcę wolnego świata.

- Przyjechałam tu aż z Nowego Jorku, bo przyszło mi do głowy, że chodzi o coś ważnego - wypaliła Tamara, zirytowana perorą pani Winslow.

- Podobno nieźle radzisz sobie z pisaniem.

- W swoim czasie stworzyłam parę niezłych komunikatów dla prasy.

- Oto wyniki badań opinii publicznej, przeprowadzone w ostatnim półroczu. - Mary Winslow chwyciła jakąś teczkę i energicznie położyła ją na biurku Tamary. - Podsumowano, jakie sprawy są najbardziej żywotne dla kobiet, białych mężczyzn, Indian, ludzi starszych i tych zepsutych, młodych materialistów. Przeanalizuj te materiały, a potem spróbuj zręcznie wpleść różne kwestie w przemówienie senatora. Oczywiście nie dokonuj drastycznych zmian, zrób to subtelnie, żeby treść przemawiała do większej rzeszy obywateli. Przefaksujemy nową wersję senatorowi i zobaczymy, czy mu się spodoba.

- Nie lepiej, żeby poprawkami zajął się autor mowy?

- Chyba się domyślasz, jaki zajęty jest Aleks. Poza tym chodzi tylko o drobiazgi. Niech ludzie wiedzą, że senator ma szerokie horyzonty i chce dobra całego społeczeństwa. Zależy mu na Indianach z plemienia Navaho, na Latynosach. Rozumie trudną sytuację pracujących, samotnych matek. Zna problemy rodzin z klasy średniej, które pragną wysłać pierwsze dziecko na studia. Senator to człowiek, który z całym przekonaniem wspiera amerykańską rodzinę. ,

- Właśnie tak sądzą te wszystkie młode ładne blondynki z waszyngtońskiego Kapitolu - mruknęła Tamara.

- Daruj sobie ten sarkazm - prychnęła Mary Winsłow.

Tamara pod blatem zacisnęła pięści. Była niemal rozbawiona swoją umiejętnością panowania nad sobą i maskowania emocji. Chyba powinna dostać Oscara.

- Przepraszam, Mary. Jestem trochę spięta, to wszystko.

- Witamy w klubie. - Mary Winsłow znacząco postukała palcem w plastikową teczkę. - Potrzebuję tego pod koniec dnia. Zanadto się nie przywiązuj do swoich słów. Senator lubi sam dokonywać ostatecznych poprawek. Mam nadzieję, że końcowa wersja będzie bardziej porywająca niż to. - Pani Winsłow odwróciła się z palcem wycelowanym w kolejną ofiarę.

- Mary... - Tamara nagle doznała olśnienia. - A może zajmimy się nie tylko poprawianiem przemówienia?

- To znaczy?

- Chyba warto trochę podrasować ogólny wizerunek senatora. Niech starszy, konserwatywny polityk zrobi lepsze wrażenie również na młodszych wyborcach reprezentujących zróżnicowane poglądy. Nie wiem, czemu jego osobisty doradca się tym nie zajął, ale te granatowe, jednorzędowe garniturki z krawatami w czerwone paski są niemodne. Brak tylko napisu „Dwadzieścia lat po dacie ważności”.

Kilkanaście siedzących w pobliżu osób zachichotało, słysząc to stwierdzenie, a Tamara złapała wiatr w żagle. Już nie czuła zmęczenia. Przeciwnie, ogarnęło ją podniecenie, ponieważ nagle odkryła możliwość wetknięcia nosa w prywatne sprawy Brennana.

- Przebierzmy senatora w ciemnoszarą, dwurzędową marynarkę i koszulę z gładkim, jedwabnym krawatem w stonowanym odcieniu - ciągnęła wypraktykowanym w nowojorskiej

pracy, sugestywnym tonem. - W takim stroju zyska głosy wielu dodatkowych wyborców. - Tamara umilkła, a Mary Winslow wyczekująco pochyliła się w jej stronę, jakby nie chciała uronić ani jednej sylaby.

- Jakim samochodem senator porusza się po mieście? - z niewinną miną spytała Tamara. - Limuzyną? Wielkim lincolnem z przyciemnionymi szybami i własnym kierowcą?

- Preferuje lincolna z szoferem - przyznała Mary Winslow. - Zawsze wynajmujemy odpowiednie auto w firmie w Phoenix.

- Przyjeżdża z osobami towarzyszącymi?

- Oczywiście. Ze swoim sekretarzem prasowym i osobistym doradcą. Tym razem, rzecz jasna, zjawi się z rodziną i kilkoma ochroniarzami. Ktoś na tym etapie kariery musi być wyjątkowo ostrożny.

- Ale właśnie to jest stara szkoła. Nie rozumiesz? Wyborcy nie cierpią tego całego sztafażu. Matthew Phillips nie jeździ w konwoju czarnych limuzyn jak z domu pogrzebowego. Sam prowadzi samochód, podobnie jak jego doradca. A gdyby tak przesadzić senatora do jakiegoś bardziej przebojowego pojazdu? Przecież Brennan z pewnością posiada kilka aut.

- Przypuszczam, że tak.

- Mieszka na przedmieściu Sedony?

- Oczywiście, w pięknej rezydencji. I chyba trzyma w garażu cadillaca... może jeszcze buicka... coś w tym stylu.

- A jakiś „młodszy” samochód? Powiedzmy... bardziej sportowy? Czy senator nie ma na przykład... czerwonej corvette albo porsche? Że nie wspomnę o ferrari? - Tamara pytająco zawiesiła głos.

- A co, na litość boską, robiłby z czymś takim? Mężczyzna

w jego wieku wyglądałby cudacznie w czerwonym sportowym aucie.

- Czy ja wiem... - Tamara spokojnie wytrzymała spojrzenie pani Winslow. - Zawsze myślałam, że właśnie po pięćdziesiątce każdy facet marzy o kupnie czerwonej rakiety.

- Ale nie senator Brennan - stanowczo oświadczyła Mary Winslow. - Nie chciałby się ośmieszyć i chyba od zawsze popiera duże, solidne produkty amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego. Nie, czerwone auto odpada. Może zjednałoby senatorowi przychylność garstki młodych wyborców, ale dużo więcej tych starszych skreśliłoby go ze swojej listy.

- No tak... chyba masz rację. - Tamara wiedziała, kiedy się wycofać. Sięgnęła po teczkę, rozczarowana tym, czego właśnie się dowiedziała. Senator Brennan nigdy nie jeździł czerwonym sportowym autem. Wolał amerykańskie sedany. I zawsze wynajmowano mu pojazd ze znanej agencji.

Telefony wokół dzwoniły niemal bez przerwy, głos pani Winslow znów zabrzmiał głośno, gdy karciła kolejnego ochotnika, który nie wykazał się odpowiednią wydajnością i inwencją. A Tamara siedziała za biurkiem, pocierając boleśnie pulsujące skronie.

A jeśli rzeczywiście się myliła? Twarz tamtego mężczyzny widziała tylko przez moment, dawno temu. Może był to ktoś inny, całkiem nieznamy, a ona od dziesięciu lat podejrzewa i nienawidzi niewinnego człowieka?

W tej chwili miała mętlik w głowie. Już niczego nie była pewna. Wokół panował taki chaos, że nie dało się zebrać myśli.

Wiem, że to on. Wiem. Wiem.

Czyżby, Tamaro? A może tylko pragniesz za wszelką cenę kogoś oskarżyć?

Nieoczekiwanie znów ożyły wspomnienia. Całkiem ją zaskoczyły. W uszach zabrzmiał jej własny, cichy głos.

„Spójrz, tato. Czyż to nie jest najpiękniejszy księżyc?”

„O mój Boże, Robert! Uważaj!”

Ścisnęła ołówek palcami. Znów drżały. Wstała zza biurka, ściągnęła łopatki i stawiając ostrożnie każdy krok, poszła do damskiej toalety, gdzie porządnie ochlapała twarz zimną wodą.

Lecz nadal słyszała swój głos mówiący słowa wypowiedziane tamtej nocy.

O jedenastej wieczorem wszyscy w sztabie wyborczym jeszcze gorączkowo pracowali. Tamara postanowiła, że na dziś wystarczy. W Nowym Jorku zazwyczaj harowała do pierwszej lub nawet drugiej. Zyskała nawet przydomek „maszyna”. Kobieta, która zawsze robi to, co do niej należy.

Tutaj, w Sedonie, była tylko podpierającą się nosem wolontariuszką z przekrwionymi oczami. Pani Winslow już nie mogła na nią patrzeć.

- Idź do domu - poleciła. - Wyśpij się. Nie przychodź jutro, jeśli sienie pozbierasz. W poniedziałek masz być w szczytowej formie.

Teraz Tamara stała na ciemnym parkingu, wdychając suche, aromatyczne powietrze. Nad jej głową rozciągało się bezkresne niebo Arizony, które o tej porze wyglądało jak usiany mrugającymi cekinami, granatowy aksamit. W oddali niewyraźnie rysowała się linia gór. Noce na pustyni miały tyle uroku... Były całkiem inne niż surowe i zimne, odpowiednie tylko dla ludzi o nieczułych sercach noce na Manhattanie.

Powoli ruszyła do lexusa, błędząc wzrokiem między rzędami zaparkowanych aut i nagle zdała sobie sprawę z tego, że wypa-

truje C.J. Czy naprawdę sądziła, że on będzie tu na nią czekał? W sobotnią noc? Przecież ten człowiek prowadzi bar. I całe szczęście, bo już miała powyżej uszu jego bezustannej obecności.

Z dłonią na klamce jeszcze raz popatrzyła w głąb parkingu, łudząc się, że zaraz ujrzy znajomą sylwetkę, i zakłęta w duchu. Brakowało jej C.J. Już zdążyła przywyknąć do tego, że wciąż pojawiał się na jej drodze. Zateśniła za jego szerokim uśmiechem, badawczym spojrzeniem... i silnymi ramionami.

Nie potrzebujesz C.J. MacNamary. Zabraniam ci na niego się zdawać.

- Zabraniam ci - powtórzyła na głos i pośpiesznie wsiadła do samochodu, zawstydzona faktem, że mówi do siebie. Tylko tego brakowało, żeby uznano ją za wariatkę.

Pojechała prosto do hotelu. Rzeczywiście powinna się wyśpać. A przedtem może trochę popływać w tym wielkim, migotliwym basenie, żeby się zrelaksować. Rano zamówi do pokoju obfite, pyszne śniadanie i wreszcie zacznie o siebie dbać. Zdrowie jest najważniejsze.

Nie wiadomo kiedy zajechała przed bar Ancient Mariner. Na parkingu stało mnóstwo aut, a z budynku dobiegały dźwięki głośnej, rytmicznej muzyki. Dobry, stary rock and roli, przy którym ludzie przytupują, uśmiechają się i stukają kufłami piwa. Drewniane ściany niemal pulsowały w rytmie znanej melodii.

Tamara wyobraziła sobie, że C.J. stoi pośrodku sali jak kapitan u steru swojego statku, spokojnie prowadząc go po burzliwym morzu.

Parę razy nerwowo zacisnęła i rozprostowała palce na kierownicy, zastanawiając się, co zrobić. Powinna po prostu wejść do środka. Mogłaby powiedzieć, że chciała sprawdzić, jak trzyma się Sheila. Mogłaby usiąść na wysokim stołku, pogapić się na

ludzi, posłuchać muzyki, zamówić piwo. Już zapomniała, jak smakuje. Od niepamiętnych czasów nie była w barze dla klasy pracującej. Może siedząc w takim miejscu wystarczająco długo, w końcu zdołałaby się odprężyć? I na tyle zmęczyć, żeby później nie śnić żadnych snów?

Chciała zobaczyć C.J. Oczywiście, że tak.

Nie potrzebuję go.

Tęsknisz za nim.

Za nikim nie tęsknię, toczyła ze sobą rozmowę w myślach. Tęsknota nie ma sensu. Ludzie albo są z nami, albo ich nie ma. Koniec, kropka.

C.J. jest taki przystojny. Uśmiecha się, a jeśli mu na to pozwolisz, ciebie też prowokuje do uśmiechu. Nie ma w tym nic złego.

Przeciwnie, to całkiem bez sensu. Nie jestem w typie C.J. Nie mamy ze sobą niczego wspólnego. On lubi tylko wyzwanie, jakie stwarzam swoją osobą.

Pleciesz bzdury, Tamaro. Jemu na tobie zależy. Rozumie cię lepiej, niż sądzisz. I zdołał trochę zbliżyć się do ciebie. Niedużo, troszeczkę.

Skrzywiła się, niezadowolona, ponieważ poniosła porażkę w tej dyskusji z samą sobą. Wciąż się wahała jak dziewczyna, która idzie na pierwszą prywatkę w życiu. Tak bardzo chciała wejść do środka. Znaleźć swoje miejsce na ziemi. Poczuć, że wreszcie jest w domu.

Siedziała jednak nieruchomo, spętana obawami. I nie wiedziała, jak się wyswobodzić. Czuła się jak Śpiąca Królewna, która mimo najszczęszych chęci nie jest w stanie usiąść ani odejść, tylko bezradnie czeka, aż księżę wreszcie zmadrzeje i ją pocałuje.

Nie, nie będę taka bierna. Ben nigdy mi na to nie pozwalał.

Jeśli chcesz dotrzeć do końca tych równoległych poręczy, to zrób pierwszy krok. A potem następne, Tamaro. Przestań główkować, tylko idź.

Wysiadła z samochodu i pomknęła przez parking. Musiała wejść do środka, zanim się rozmyśli.

- Oho - mruknęła Gus. - Kłopoty.

C.J. podniósł głowę znad małej zmywarki, do której wkładał kufle, spojrzął w stronę wejścia i natychmiast zauważył Tamarę. Wyróżniała się w tłumie. W czarnym kombinezonie, z włosami uczesаныmi w elegancki kok i perłowymi kolczykami w uszach wyglądała wśród odzianych w kraciaste koszule i dzinsy gości jak księżniczka, która składa wizytę wieśniakom.

- O rany. - C.J. nie był w stanie oderwać od niej oczu. Powinien się na nią gniewać. Wielokrotnie sobie powtarzał, że przestanie zawracać sobie głowę tą dziewczyną. Jasno dała mu do zrozumienia, że nie życzy sobie jego obecności, a on miał lepsze rzeczy do roboty niż uganianie się za kłamczucha i krętaćką. Ale teraz, gdy niespodziewanie się zjawiła, jego postanowienie okazało się warte tyle samo co słowo pijaka, który chce zerwać z nałogiem, trzymając w garści kufel zimnego piwa. Boże, jak cudownie znów ją zobaczyć.

- Z Nowego Jorku - zamruczała Gus takim tonem, jakby wymawiała przekleństwo.

- Tak, Gus, ale ja ją znam. To Tamara, ta, o której papie Sheila. Miła dziewczyna, bierze udział w wyścigach samochodowych.

Gus skrzywiła się, najwyraźniej wątpiac w jego słowa, lecz C.J. wcale się tym nie przejął. Nadal patrzył na Tamarę. Ona zaś właśnie go dostrzegła i na jej delikatnych wargach powoli poja-

wiło się coś na kształt uśmiechu. A ponieważ C.J. już zdążył trochę ją poznać, a od wczoraj bezustannie myślał tylko o niej, więc zrozumiał, jak wiele musiało kosztować ją, dumną kobietę, to ciepłe powitanie. Najchętniej pognałby do niej, chwycił ją w objęcia i tańczyłby z nią tak długo, aż jej włosy rozsypałyby się na ramionach, policzki zaróżowiły, a oczy rozbliły jak dwie gwiazdy.

Nie ruszył się jednak z miejsca, tylko czekał, aż ona do niego podejdzie. Mimo panującego w barze tłoku i harmideru, prawie wszyscy ją zauważyli i rozstępowali się, robiąc jej miejsce.

- Cześć - powiedziała niepewnie, gdy dotarła do lady.

- Nie masz pojęcia, dlaczego tu jesteś - usłużnie podpowiedział C.J.

- Chciałam zobaczyć, jak miewa się Sheila.

- Byłaś pewna, że nie powinnaś tu przyjeżdżać. Wmawiałaś sobie, że wcale ci mnie nie brakuje. Całkiem nieoczekiwanie znalazłaś się właśnie tutaj.

- Sheila dziś pracuje?

- Tak się cieszę, że przyszłaś. Bez przerwy o tobie myślałem. Wspaniale, że jesteś.

- Tak? - Jej spojrzenie stało się cieplejsze, twarz już nie była taka blada. Tamara lekko pochyliła się do przodu, a C.J. dostrzegł w jej oczach jakieś pragnienie. Dużo by dał, żeby się dowiedzieć, czego jej trzeba. Spełniłby każde jej życzenie. Ofiarowałby jej gwiazdkę z nieba.

- Mogę... eee - nerwowo oblizała wargi - dostać piwo?

- Oczywiście. - Nadal patrzył na jej błyszczące usta. Nie umalowane, lecz mimo to czerwone i takie kuszące. Pamiętał, jak się je całuje. Pamiętał pierwszy, nieudany pocałunek, gdy Tamara wcale nie zareagowała, oraz tamten drugi, gdy okazała się namiętna.

Gus pochyliła się i nacisnęła mosiężną rączkę, żeby napełnić piwem kufel, który C.J. trzymał pod kranem.

- Zajmij się klientami - mruknęła karcącym tonem.

- Tak, jasne. - Wręczył kufel Tamarze i przedstawił ją Gus. Kobiety obrzuciły się nawzajem taksującymi spojrzeniami i chyba doszły do wniosku, że mogą się zaakceptować.

- Zostaniesz na chwilę, prawda? - C.J. czuł, że zaczyna kręcić mu się w głowie. Tamara była w jego barze i to przypominało mu dzień sprzed wielu lat, w którym pierwszy raz zaprosił dziewczynę do swojego samochodu. Podobnie jak wtedy, również i teraz ogarnęło go zdenerwowanie. Uwielbiał swój bar. Był z niego cholernie dumny. I bardzo chciał, żeby Tamara też pokochała to miejsce, żeby stało się dla niej tak samo ważne jak dla niego. Oczywiście, to tylko bar, a nie ósmy cud świata.

- Usiądź tutaj. - C.J. wskazał jej stołek przy końcu lady.

- Sheila przynosi tu zamówienia, a ja je realizuję, więc... będziemy mogli trochę pogadać.

- Gus nie będzie zła, że tracisz czas?

- Gus da mi wycisk - zapewnił pogodnie - ale co tam. Przecież ja tu rządzę. - Mrugnął do niej porozumiewawczo, a jej usta znów wygięły się w cudownym uśmiechu. - Naprawdę się cieszę, że cię widzę - powtórzył. Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ się odwrócił, żeby napełnić kufle.

- Ale się wdzięczysz - mruknęła Gus.

- Nadzwyczajna z niej dziewczyna, prawda?

- Z Nowego Jorku.

- Nawet na Manhattanie jest trochę dobrych ludzi.

- Uhm.

Tamara chyba dobrze się tu czuła. C.J. zerkał na nią tak

często, jak mógł, oraz starał się czasem do niej coś powiedzieć, lecz w sobotnią noc wszyscy chcieli zamienić parę słów z właścicielem. I dostać następną kolejkę, toteż C.J. dwoił się i troił. W końcu zauważył, że Tamara nie tknęła swojego piwa.

- Nie smakuje ci? - spytał troskliwie.

- Chyba bardziej spodobał mi się pomysł picia piwa niż jego smak - przyznała, bezradnie wzruszając ramionami. - Niestety wolę wino.

- Wino też mamy! Chardonnay, riesling. Które ci podać?

- Poproszę o chardonnay.

- Już się robi. - Dwie seksowne blondynki pomachały dziesięciodolarówką, żeby przyjął od nich zamówienie. Zignorował je i napełnił kieliszek winem, po czym z zapartym tchem czekał na werdykt, gdy Tamara wypła łyżeczek.

- Och, pyszne - stwierdziła rozpromieniona.

Zadowolony, C.J. zajął się innymi klientami. Gdy ponownie spojrzął na Tamarę, właśnie żywo rozmawiała z Sheilą. Po wyjściu ze szpitala Al natychmiast trafił za kratki, co - przynajmniej chwilowo - zapewniło Sheili trochę spokoju.

Atmosfera w barze stawała się coraz bardziej gorąca. Muzyka brzmiała bez przerwy, rozbawieni ludzie głośno rozmawiali i hałaśliwie się śmiali. C.J. podawał kolejne kufle piwa, mieszał koktajle, prażył kukurydzę. Następnie wyjmował ze zmywarki czyste naczynia, wstawiał do niej brudne i zaczynał wszystko od nowa. Po drugim kieliszku wina oczy Tamary lśniły jak gwiazdy, a blade policzki poróżowiły. O pierwszej stała ze starym Walterem przy szafie grającej i spierała się z nim, kto jest muzykiem wszechczasów - Elvis Presley czy Eric Clapton. Spór zakończył się remisem i goście wysłuchali piosenek w wykonaniu obu artystów.

Tamara już dawno rozpięła górę kombinezonu. Pod nim miała czarną, aksamitną halkę, która odsłaniała wystarczająco dużo, żeby doprowadzić facetów do szaleństwa. Z gładkiego koka wysunęło się kilka niesfornych kosmyków, a coraz więcej mężczyzn szukało pretekstu do wałęsania się w pobliżu Tamary. C.J. dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, ilu napalonych samców odwiedza jego bar, i już zaczynał szczerze ich nie znosić. Miał ochotę zawiesić na stołku Tamary tabliczkę z napisem „Zajęta”. Nie, wcale nie był zaborczy. Skądże znowu.

Około pierwszej trzydzieści tłum zaczął się przerzedzać, a trochę później C.J. oznajmił, że zaraz zamyka, i wyrzucił paru maruderów bardziej energicznie niż zwykle. Chciał jak najszybciej mieć tę zarumienioną, uśmiechniętą kobietę tylko dla siebie.

- Chyba już pójde - stwierdziła Tamara, lecz nie ruszyła się z miejsca.

- Wykluczone. Potrzebuję tylko pół godziny, żeby trochę tu posprzątać i pozamykać.

- Nie musisz - zza baru odezwała się Gus. - Dzisiaj śpię tutaj, więc wszystkim się zajmę.

- Ja to zrobię - zaproponowała Sheila.

- Nie chce mi się jechać do domu - stwierdziła Gus, zamykając dyskusję i zabrała się do ustawiania krzeseł na stolikach.

- Może pomogę? - spytała Tamara, a Gus posłała jej zdumione spojrzenie.

C.J. zamierzał zająć się kasą, lecz najpierw pochylił się nad ladą i czarująco uśmiechnął się do Tamary. Ona zaś zrobiła rozanieloną minę.

- Urznięłaś się.

- Wcale nie.

- Właśnie, że tak. - Leciutko uszczypał ją w czubek nosa.
- Jesteś ślicznym pijaczkiem.

- Nigdy się nie upijam - odparła oburzona i spróbowała wstać, ale się zachwiała i opadła na stołek, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. - O, rany.

- Otóż to. Ile butelek wysuszyłaś?

- Tylko trzy kieliszki. To moja norma.

- A co zjadłaś na obiad?

- Obiad? Och, już wiem, o czym zapomniałam.

- Pewnie dlatego kręci ci się w głowie. Czekaaj, naleję ci kawy.

Podał Tamarze kubek i zajął się barem. Po tylu latach współpracy z Gus oboje wykonywali niezbędne czynności poniekąd automatycznie, a Sheila dzielnie pomagała. O trzeciej wszystko było gotowe do otwarcia w niedzielę. Gus i Sheila pożegnały się i poszły na górę, jak zwykle narzekając na obolałe nogi i krzyże.

C.J. zgasił światła i wewnątrz rozjaśniały tylko latarnie palące się na zewnątrz. Wydobywały z mroku twarz Tamary, podczas gdy reszta jej sylwetki pozostawała w cieniu. C.J. oparł się plecami o ladę i w milczeniu patrzył na ładny profil Tamary. Stał tak blisko niej, że czuł subtelny zapach jej szamponu, kojarzący się z aromatem drewna sandałowego i przebywaniem na świeżym powietrzu.

- Nigdy nie bywam pijana - oświadczyła Tamara, starannie wymawiając każde słowo.

- Nie jesteś pijana. Tylko trochę wstawiona.

- Skądże.

- To naprawdę nic złego. Każdy z nas miewa takie dni, kiedy musi się odprężyć. Mówi ci to były żołnierz piechoty morskiej.

- Tak - mruknęła. - Pewnie masz rację. - Wbiła wzrok

w ścianę za barem, a C.J. stwierdził, że w przyćmionym świetle Tamara wygląda krucho i bezradnie.

- Trafił ci się właśnie taki dzień? Dlatego tu przyszedłeś?

- Nie. Tak. - W zamyśleniu poruszyła kubkiem z resztą kawy. - Sama nie wiem.

C.J. przysunął się bliżej i odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów, powoli przesuwając jedwabiste pasmo między palcami. Mile się zdziwił, ponieważ tym razem Tamara nie zeszytywniała ani się nie cofnęła. Spojrzała mu w oczy i zaraz opuściła wzrok na jego wargi. Lekko rozchyliła usta, a jej oddech stał się płytszy.

- Powiedz mi, czego pragniesz, Tamaro.

- Nie wiem.

- Wiesz. Coś cię tu przygnało.

Uniosła powieki. Jej oczy nie były złociste, tylko ciemne, wręcz mroczne od cieni, które wydawały się niepokojące.

- Przestałam rozumieć siebie samą - stwierdziła raptownie.

- Czasem wpadam w taki straszny gniew... zupełnie tego nie pojmuję. Nigdy taka nie byłam.

- Może masz prawo do gniewu. - Wziął ją za rękę. - Bardzo kochałem swoją matkę - przyznał, gładząc smukłe palce drżące w jego dłoni. - Gdy umarła, na pewien czas ją znenawidziłem. Doświadczyłem tego samego po śmierci Maksa. Przez kilka lat byłem wściekły na cały świat.

- Ty? Trudno to sobie wyobrazić.

- Skarbie, trzeba było mnie wtedy zobaczyć. Myślałam, że nie ma na świecie większego twardziela ode mnie. Kłamię. Panoszyłem się. Nie szanowałem nikogo, z sobą włącznie. Byłem iście piekielnym smarkaczem. Wdawałem się w każdą bójkę i odpychałem każdego bliskiego człowieka. Spytaj kiedyś o to

moją babcię. Z uciechą opowie ci o wstrętnym bachorze, którego dostała w spadku. Za to, co z mojego powodu przeszła, powinna za życia zostać kanonizowana.

- Już taki nie jesteś.

- Nie. Okres gniewu mam za sobą. W pewnym momencie człowiek zaczyna rozumieć, że nie jest w stanie wszystkiego pokonać ani nad wszystkim panować. Trzeba tych różnych rzeczy doświadczyć, żeby móc przestać się nimi zadręczać. Nie nienawidziłaś swojej rodziny dlatego, że jej nigdy nie lubiłaś. Nienawidzisz jej, bo tak bardzo ją kochałaś.

Jej oczy zalsniły. C.J. wiedział, że jest wewnętrznie rozdarta - pragnęła w pełni zrozumieć, co czuje, lecz jednocześnie wolała by na zawsze odciąć się od tych emocji. Chciała do końca przeżyć swoją udrękę, ale chciała też być silna, niepokonana. Najchętniej wzięłby ją w ramiona i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. I uczyniłby wszystko, żeby tak się stało. Lecz nie mógł ochronić jej przed poczuciem niepowetowanej straty. Z czymś takim każdy musi poradzić sobie sam.

Tamara znów utkwiła spojrzenie w resztkę kawy, raz po raz wprawiała ją w wirowy ruch, jakby od niego zależało istnienie świata. Lecz po chwili odstawiła kubek na blat.

- Jestem pijana - stwierdziła cicho. - Tylko tyle.

- Jasne, skarbie. Chodź, odwiezę cię do hotelu.

Nie odpowiedziała, zagubiona w chaosie swoich myśli, a C.J. to uszanował. Odezwał się dopiero na hotelowym parkingu.

- Może wpadnę po ciebie jutro koło jedenastej i zabiorę cię do baru, żebyś wzięła swoje auto?

- Dobrze.

- Dobranoc, słodkich snów.

- Nie... nie wejdiesz?

- Nie - odparł, przywołując na pomoc całą silną wolę.
- Nie?
- Nie.
- Czemu? Nie chcesz... - Przygryzła wargi i zaczęła szarpać klamkę, ale nie zdążyła wysiąść, bo mocno chwycił jej nadgarstek.

- Tamaro, nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę.
- Nie musisz kłamać. - Usiłowała się wyswobodzić, żeby otworzyć drzwiczki.

Przytrzymał jej obie dłonie, żeby nie umknęła, i nie zdołał oprzeć się pokusie. Pocałował Tamarę w usta i zaraz się odsunął, chociaż wiele go to kosztowało.

- Pragnę cię - powtórzył zdławionym głosem. - Jednak nie chcę zdobyć cię w taką noc jak ta. Ty i ja na pewno będziemy się kochać, ale wtedy uczynimy z tego cudowne misterium, abyś na zawsze zapamiętała każdą jego sekundę i pragnęła mnie, ilekroć wspomnisz ten pierwszy raz.

Błądziła wzrokiem po jego twarzy, a C.J. przez chwilę miał wrażenie, że coś nierozzerwalnie łączy go z tą zadziwiającą kobietą. Wyczuwał jej rozterki, wiedział, że ona zmaga się z narastającym pożądaniem. I nagle przymknęła powieki, chwila słabości minęła, a C.J. zrozumiał, że Tamara znów się od niego oddała.

- Nie - zaprzeczyła cicho, uwalniając dłonie. - Do tego nie dojdzie. Nigdy nikogo nie zapragnę aż tak bardzo. Nie chcę tego.

- Zobaczymy.

- Mówię poważnie.

- Ja też. Dobranoc, Tamaro. Śnij o mnie.

- Nie. - Wysiadła z samochodu. - Tego też nie potrzebuję. Zatrzasnęła drzwiczki i wyprostowana jak struna pomaszzerowała w kierunku wejścia.

ROZDZIAŁ 7

Wracam na Manhattan. Pora przywitać się z domem.

Była siódma rano. Zaskoczona Patty wpatrywała się w Tamarę, wiążąc pasek granatowego frotowego szlafroka. Tamara pomyślała, że ten szlafrok wcale nie pasuje do jej przyjaciółki. Patty powinna nosić coś bardziej wyrafinowanego, na przykład tamto jedwabne, czerwone kimono z wyhaftowanym na plecach smokiem, które sobie kupiła, gdy miały po piętnaście lat. Było przejawem młodzieńczego buntu i śmiałą oznaką pączkującej seksualności. Tamto kimono szalenie Tamarze zaimponowało. Natomiast ten frotowy łach budził niechęć, choć to głupio czuć coś takiego w stosunku do martwego przedmiotu. Patrząc na Patty w granatowej bawełnie, Tamara nagle uświadomiła sobie, jak bardzo obie zmieniły się od czasów wspólnej młodości. Wtedy, przed laty, były niewinnymi dziewczynami, a później stały się powściągliwymi kobietami, które wszystko traktują z chłodnym dystansem. Szkoda, że Patty już nie nosi krwisto-czerwonego jedwabiu. Tamara wolałaby zobaczyć ją w tamtym stroju. Cóż za głupota!

- Może wejdiesz? - w końcu zaproponowała Patty. - Napijemy się kawy.

Tamara skinęła głową. Stała na progu, dygocząc i otulając się połamami zielonego prochowca. Taksówka już odjechała.

Słońce dopiero zaczynało grzać i na ciemnozielonych liściach drzew oraz długich kolecach kaktusów nadal lśniły krople rosy. Patty mieszkała za miastem, a jej obszerny dom stał na rozległej pięknej działce. Wbrew temu, co niedawno mówiła, pod względem finansowym chyba radziła sobie doskonale. Wystarczyło spojrzeć na tę oazę bujnej zieleni - jej utrzymanie w suchym klimacie Arizony musiało kosztować majątek. Posesję otaczało wysokie ogrodzenie z kutego żelaza, zasłonięte żywopłotem, stiukowe ściany były niedawno odmalowane, a czerwona dachówka sprawiała wrażenie całkiem nowej.

Wnętrze też świadczyło o zamożności właścicielki. Było urządzone kosztownie i w dobrym guście. Za wielkimi oknami migotała błękitna woda w owalnym basenie, kominek i podłoga były z zielonego marmuru, a kremowe, skórzane kanapy stały na białych, puszystych futrzakach. Gładkie ściany zdobiło kilka ładnych obrazów przedstawiających pejzaże Arizony.

Wszystko to wyglądało pięknie, ale całość była dziwnie pozabawiona życia, co jeszcze bardziej przygnębiło Tamarę.

- Jaką chcesz kawę? - uprzejmie spytała Patty, przerywając niezręczne milczenie.

- Ze śmietanką. I trochę cukru. - Tamara zazwyczaj pijała czarną i gorzką, lecz teraz na samą myśl o takim napoju poczuła skurcz żołądka. Kiedy ostatnio cośjadła? Nawet nie mogła sobie przypomnieć.

- Dobrze się czujesz? - Patty przeszła do kuchni oddzielonej od salonu wykafelkowanym na zielono barem.

- Tak, tylko się nie wyspałam. - Oględnie powiedziane, dodała w duchu. Prawdę mówiąc, była kompletnie wykończona. Zasnęła na krótko, śniły się jej jakieś koszmary, więc zerwała się już o szóstej i pojechała do Patty.

- Pomyliłam się co do senatora - oznajmiła raptownie.

Patty zamarła z ręką uniesioną nad ekspresem, po czym dokończyła sypać świeżo zmieloną kawę i włączyła urządzenie.

- Nalać ci soku pomarańczowego? - spytała. - Może zjesz rogalika? Chyba powinnaś lepiej się odżywiać.

- Pewnie tak, ale... - Tamara nie wiedziała, od czego zacząć. Oparta o zielony blat przez chwilę patrzyła na swoją najlepszą przyjaciółkę. O tej porze Patty nie była umalowana, a jej jasna cera rudej kobiety wyglądała równie delikatnie i świeżo jak u młodej dziewczyny. Gęste, rude loki opadały na ramiona i plecy. Tamara pamiętała, jak dawniej obie siedziały do późnej nocy, zaplatając sobie nawzajem warkoczki i chichotały, rozmawiając o chłopcach. Tamara rozplęwała się z zachwytu nad Shawnem, a Patty spychała ją z łóżka. Jakie to były piękne, bez troskie dni! Teraz wydawały się takie odległe.

Patty poruszyła się niespokojnie, najwyraźniej trochę rozstrojona spojrzeniem Tamary. Zachowywała dystans, ale Tamara to rozumiała. Nie ma powrotów do przeszłości.

- Popełniłam błąd, Patty.

- Nie rozumiem.

- Miałaś rację. Serio. Przyjechałam tu, sądząc, że coś zmienię. Chyba nawet przypuszczałam, że ty czujesz to samo co ja. Ale byłam naiwna jak dziecko. Lub może raczej... pełna nadziei. - Zrozpaczona, zagubiona, samotna. Świadoma przeraźliwej pustki w moim życiu na Manhattanie. Nie wiedziałam, czym ją wypełnić, dodała w myślach. - Nie nadaję się do egzystencji w Sedonie. To już nie jest mój dom. Powinnam wracać do Nowego Jorku.

- A co z senatorem?

- Co do niego też się pomyliłam. Mimo najszczerzych chę-

ci nie znalazłam żadnych dowodów na to, że spowodował tamten wypadek. Nigdy nie miał czerwonego samochodu, zawsze jeździ wynajętą limuzyną. Zaślepiła mnie obsesja znalezienia winnego, ale wreszcie muszę pogodzić się z faktami. Moja rodzina nie żyje, nie wiadomo, kto ją zabił, lecz miejmy nadzieję, że kiedyś za to zapłaci. A ja... - Ja muszę nauczyć się jeść i normalnie zasypiać każdego wieczoru. Muszę też osiąść sztukę zapomnienia, żeby odzyskać swój chłodny, sterylny spokój, pomyślała, a głośno dodała: - Muszę wracać do domu.

- Jesteś tego pewna? - Patty wydawała się zdziwiona jej decyzją.

- Tak.

- Więc co zamierzasz? Spakować manatki i odjechać? Po prostu zniknąć?

- Obiecałam podrasować mowę senatora, więc jeszcze zaczekam.

- Po co? Skoro uznałaś, że pora się zwijać, to chyba nie ma sensu tego odkładać. Przyznaj szczerze, nie lubisz senatora Brennana. Nie zamierzasz na niego głosować. Twoja praca w jego sztabie wyborczym to przejaw kolosalnej hipokryzji.

- Nie mogę wszystkich tak zostawić. To byłoby nie fair.

- Nie przesadzaj! Jeśli rzeczywiście już go nie podejrzewasz, to co cię tu trzyma? Na twoim miejscu wsiadłabym do samochodu i popędziła prosto na Manhattan. Nic nie jesteś nikomu winna! Ci ludzie nawet nie znają twojego prawdziwego nazwiska!"

Gwałtowność tej perory oszołomiła Tamarę. Przez moment jej przyjaciółka znów była tamtą płomienną buntowniczką, która najczęściej myślała tylko o sobie. Tamara nie wiedziała, czy śmiać się, czy z niedowierzaniem pokręcić głową.

- *Zaczekam* do wtorku - powtórzyła. - Żeby dać im trochę czasu.

- I żeby inni też oswoili się z myślą o twoim wyjeździe. Na przykład C.J. MacNamara.

- Skąd... skąd wiesz?

- Nie żartuj. W takiej dziurze jak Sedona? Gdy chodzi o takiego seksownego faceta jak C.J.? Już parę osób mówiło mi w galerii, że C.J. znalazł sobie babkę z wielkiego miasta. Że ugania się za szychą z jakiej korporacji. Tammy, on nie jest w twoim typie.

- Wiem - odparła automatycznie i zaraz się zmitygowała. Niby skąd Patty tak dobrze wie, kto jest w typie dawno nie widzianej przyjaciółki? Cóż, i tak nie warto tego zgłębiać.

- On tylko lubi zdobywać.

- Wiem.

- Gdy się zorientuje, że jesteś zainteresowana, da sobie spokój. Popytaj, kogo chcesz. Każda kobieta w promieniu stu kilometrów bezskutecznie zarzucała sieci na MacNamarę. To miły facet i seksowny, ale skacze z kwiatka na kwiatek. Ma to we krwi.

- Wiem.

- Ja tylko nie chcę, żeby cię zraniono, Tammy.

- Więc przestań o nim gadać! - Tamara natychmiast pożałowała tego wybuchu. Patty raptownie się wzdrygnęła i teraz jej twarz wyglądała jak maska pozbawiona wyrazu. - Przepraszam. Źle śpiam i jestem podminowana.

Patty w milczeniu przysunęła jej filiżankę z kawą. Potem kartonik ze śmietanką i cukierniczkę. Tamara stwierdziła, że dłonie przyjaciółki drżą. Dopiero teraz zauważyła cienie pod jej zielonymi oczami. Miniony tydzień również i Patty musiał wiele

kosztować, a ona, Tamara, nawet o tym nie pomyślała. Zrobiło się jej wstyd.

- Wiesz - odezwała się Patty, ściskając białą, porcelanową filiżankę - przyjaźń z tobą zawsze była trudna. Jak ta mała księżniczka miałaś dwoje idealnych, kochających rodziców i swojego Shawna, który cię wielbił. Natomiast moi rodzice byli zajęci głównie sobą, a chłopcy... cóż, oni chcieli ode mnie tylko jednego. Lubili się ze mną zabawić, a ciebie wszyscy kochali.

- To nieprawda...

- Och, zasługiwałaś na to - cicho przyznała Patty. - Naprawdę byłaś słodka i dobra. Gdy zmarła moja mama, właśnie ty mnie wspierałaś. Gdy się buntowałam, tuliłaś mnie do siebie. I zawsze przebaczałaś, gdy na ciebie wrzeszczałam. Ja byłam buntowniczką, a ty - dziewczuszką z chóru.

- Przechodziłaś trudny okres.

- Dzieliłaś się ze mną swoją rodziną i nigdy mi tego nie wypomniałaś.

- Byłaś moją najlepszą przyjaciółką!

- Ale po wypadku zniknęłaś. Ojciec mówił, że zabrano cię do specjalnego szpitala w Nowym Jorku. Odezwałaś się dopiero pół roku temu. Nagle się okazało, że podejrzewasz senatora. Chciałaś, żebym sprawdziła to, udawała tamto, ryzykowała dla ciebie, a ja nie mogłam ci odmówić, bo ty kiedyś dałaś mi całą swoją rodzinę. Ale ty już nie jesteś taka jak dawniej. Zmieniłaś się, stałaś się bardziej... ostra. Ambitna. Egoistyczna. Stwardniałaś.

Tamara oniemiała z wrażenia, a Patty raptownie otworzyła lodówkę.

- Nalać ci soku?

- Nie. - Tamara prawie nie usłyszała własnego głosu, ponie-

waż dzwoniło jej w uszach. Nie zamierzała spierać się z Patty. Ona przecież powiedziała prawdę. Ale ta prawda raniła bardziej, niż Tamara by się spodziewała. Stałaś się bardziej ostra. Stwardniałaś.

Wcale tego nie chciała. Nie chciała zmienić się w to oziębłe stworzenie, które lepiej czuje się w sali konferencyjnej niż w towarzystwie przyjaciółki z dzieciństwa. Po wypadku nie miała już nic, w co mogłaby wierzyć. Przy niej zmarli rodzice. I Shawn. Nawet Bóg ją opuścił. Musiała całkiem sama zmagać się z potwornym bólem, sama musiała go pokonać. Nie mogła na nikim się wesprzeć, nikogo prosić o pomoc.

I teraz nagle ogarnął ją gniew. Najchętniej chwyciłaby Patty za ramiona i z całej siły nią potrząsnęła. Wreszcie jej wygarnęła. Skoro byłam taka słodka, taka cudowna, to dlaczego nigdy nie odwiedziłaś mnie w szpitalu? Czemu nie pomyślałaś, że tak rozpaczliwie pragnę cię zobaczyć, że marzę o widoku znajomej twarzy? Ja włączyłam cię do swojej rodziny, gdy potrzebowałaś wsparcia. A gdzie ty byłaś, gdy ja potrzebowałam tego samego?

Przygryzła wargi i cofnęła się o krok. Nie była przygotowana na takie myśli. Patrząc teraz na Patty, miała wrażenie, że dzieli je czerwonawa mgła, jak cieniutka, lecz skuteczna przegroda. Gniew Patty, ponieważ rodzina Tamary nie okazała się nieśmiertelna. Gniew Tamary, ponieważ Patty nie zjawiała się, aby ukoić jej cierpienie. Czy ta mgła zawsze wisiała między nimi? Czy Patty zawsze zazdrościła Tamarze życia „księżniczki”, a ona w swojej bezbrzeżnej naiwności tego nie dostrzegała?

Nie, kiedyś łączyła nas prawdziwa przyjaźń. Wiem, że tak!

A może nie? Tamara nie była teraz pewna niczego.

- Już pójdę. - Jej głos lekko zadrżał. - Masz rację. Okaza-

łam się egoistką, dzwoniąc do ciebie. Przecież tyle się zmieniło. Powinnam była wziąć to pod uwagę. Postąpiłam arogancko.

Patty buntowniczo wysunęła brodę i wyprostowała się, lecz jej szmaragdowe oczy podejrzanie lśniły.

- Zadzwoń przed wyjazdem do Nowego Jorku.

- Dobrze.

- Dziękuję, że kiedyś byłaś moją przyjaciółką. Z radością dałam ci swoją rodzinę. Myślałam wtedy, że stajesz się moją siostrą. Zawsze pragnęłam mieć siostrę.

Patty zrobiła taką minę, jakby z trudem powstrzymywała się od płaczu. Po jej gładkich policzkach spłynęły dwie łzy. Potem kolejne dwie. I następne.

- Przepraszam, Tammy, za to, co powiedziałam. Za to, co zrobiłam. Och, Tamaro, czuję się tak podle. To mnie dławiło przez te wszystkie lata... Nie masz pojęcia... - Patty odwróciła się, szlochając bezgłośnie.

- Już pójdę - powtórzyła Tamara. Nie wiedziała, co mówić ani jak się zachować. Była jak z drewna.

- Tak, lepiej już idź.

- Ale zadzwonię.

- Tak.

- Dowidzenia.

Dopiero na zewnątrz Tamara skonstatowała, że należało wezwać taksówkę. Do miasta był spory kawałek. Ale nie wróciła do Patty. Nie ma powrotu do przeszłości.

Koniec przyjaźni to jak zerwanie z długoletnim kochankiem. Tamara z trudem stawiała kolejne kroki. Była zbyt zmęczona, aby płakać, ale czuła się tak, jakby miała w piersi ogromną dziurę.

Musisz iść do przodu. Nikt nie zrobi tego za ciebie.

Wiem, Ben. Już się tego nauczyłam. Chyba aż za dobrze.

C.J. zbudził się wcześniej, rzeński jak skowronek. Najpierw nie bardzo wiedział, czemu z taką radością oczekuje nowego dnia. I nagle sobie przypomniał wizytę Tamary w barze, obietnicę, że po nią przyjedzie o jedenastej, żeby wzięła swoje auto. A więc już wkrótce ją zobaczy. Prawdopodobnie nawet ją pocałuje. Na myśl o tym poczuł, że jego ciało znacząco reaguje, więc przewrócił się na wznak i wlepił spojrzenie w drewniane belki sufitu.

- O rany - mruknął. - Wpadłem po uszy.

Mimo tej myśli wesoło pogwizdywał pod prysznicem, planując spotkanie z Tamarą. Postanowił znów przygotować kosz pełen jedzenia. Pierwszy piknik okazał się taki udany, więc warto go powtórzyć i spędzić z Tamarą całe popołudnie. Poza tym ona niewątpliwie za mało jada. Porządne kanapki z indykiem, sałatka jarzynowa i owoce będą jak najbardziej zgodne z zaleceniem lekarza. C.J. znał świetne delikatesy, gdzie można kupić wszystkie smakołyki.

Chwycił ręcznik, żeby się wytrzeć. Pięć minut później namydlił twarz, żeby się ogolić.

Oczywiście właśnie wtedy musiał zabręczyć telefon. C.J. zerknął na białe od piany policzki. Może niech ktoś się nagra? A jeśli to Tamara?

- Ta kobieta rzeczywiście zawróciła ci w głowie - rzekł do swego odbicia. - Co się stało z MacNamara, który zdobywa i porzuca?

Ten MacNamara obawiał się teraz, że dzwoni Tamara, a on to przegapi. Chwilowo zapomniał o godności, dał susa do pokoju i chwycił słuchawkę.

- Zakład pogrzebowy C.J. Nikt nie zadba o waszego niebo-

szczyka tak jak my - oznajmił wesoło, ale po drugiej stronie panowało milczenie. C.J. westchnął ciężko. - Tu MacNamara - powiedział oficjalnym tonem.

- C.J. MacNamara? - Głos zabrzmiał niewyraźnie i metalicznie, jakby pochodził z syntezatora.

C.J. zeszywniał i odruchowo spojrzął na drzwi. Były nadal zamknięte. Za oknami też nie dostrzegł żadnej sylwetki. Pośpiesznie przysunął się do miejsca, gdzie leżała broń.

- Tak - powiedział w końcu. - Kto mówi?

- Na pewno C.J. MacNamara?

- Tak. Kim pan jest, do cholery?

- To... bez znaczenia. - W słuchawce rozległ się cichy śmiech, a C.J. poczuł na plecach gęsią skórkę. - A więc syn Ferringera. Ten, który był z nim w Islandii.

- Kto mówi? - C.J. chwycił swoją baretę i ścisnął słuchawkę w dłoni.

- Trzymaj się z daleka od Tamary Allistair.

- Kto mówi, do cholery?!

- Pakujesz się w sprawy, których nie pojmujesz.

- Kto mówi?!

- Ciała twojego ojca nigdy nie odnaleziono. Nigdy nie zastanawiałaś się dlaczego?

- Jeśli nie powiesz, kim jesteś, to... to...

- To co? Odłóżysz słuchawkę? - Tym razem śmiech zabrzmiał tak, jakby dochodził z głębokiej czeluści. - Oto cały C.J. MacNamara, żołnierz piechoty morskiej, funkcjonariusz do spraw poręczeń. Od dawna mamy cię na oku. Jesteś niemal równie dobry jak twój ojciec. Tylko trochę za uczciwy.

C.J. miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Lub raczej zwymiotuje. Pochoruje się jak nigdy dotąd. Nienawidził tego głosu, który

mówił o nim i o jego ojcu, lecz jednocześnie nie był w stanie przerwać połączenia. Ten głos był pierwszym od ponad dwudziestu lat sygnałem dotyczącym ojca i dobrze o tyrń wiedział.

- Czego chcesz?

- Odczep się od Tamary Allistair.

- Nawet nie wiem, kto to. - Oczywiście, że wiedział. Tamara Thompson. Tamara Allistair. Tyle razy kłamała, więc niby czemu miałyby się przedstawić swoim prawdziwym nazwiskiem?

- Zostaw ją - dodał głos. - Nie powinieneś się nią interesować.

- Niech cię szlag! - W CJ, odezwał się buntownik.

- Jesteś zupełnie jak twój ojciec - z niejakim rozbawieniem stwierdził głos.

- Nieprawda!

- Ależ tak. Zrób dla nas to, o co proszę, a może pewnego dnia my się zrewanżujemy.

- Niby jak? Nie mam nawet pojęcia, z kim rozmawiam.

- Wiemy wszystko o Maksie - szepnął głos. - Może kiedyś ci opowiemy.

C.J. czuł, że jest mu niedobrze. Przyłożył dłoń do żołądka, ale nie pomogło, więc zacisnął zęby. Jakaś wredna cząstka jego osobowości domagała się, aby zawołał: „Tak, dobrze, zrobię wszystko, czego chcecie, tylko powiedzcie mi coś o moim ojcu!”. Domagał się tego mały chłopiec, który nie potrafił uwierzyć, że jego wspaniały ojciec tak po prostu zniknął. Ten mały chłopiec, który wciąż rozpamiętywał szczegóły wakacji w Islandii, ponieważ nie miał innych dobrych wspomnień.

Ale do słuchawki odezwał się dorosły C.J.

- Idź do diabła! - warknął.

- Pamiętajaj... trzymaj się z daleka od Tamary Allistair.

Połączenie zostało przerwane. C.J. w odruchu wściekłości cisnął telefonem o podłogę. Aparat roztrzaskał się w drobny mak, a kawałki poleciały na wszystkie strony.

C.J. długo stał nieruchomo, usiłując zapanować nad wzburzeniem. W końcu wyprostował się, wziął głęboki oddech i wrócił do umywalki.

Widoczna w lustrze twarz już się nie uśmiechała. W niebieskich oczach nie było cienia niedawnej wesołości. Przeciwnie, teraz gniewnie lśniły.

C.J. golił się powoli i metodycznie. Ubrał się, wsadził za pasek baretę i wypadł z domu, ale na zewnątrz zatrzymał się jak wryty. Jego volkswagen scirocco nadal stał na słupkach, ale starannie ułożone wyścigowe opony były pocięte.

Zaklął szpetnie, podszedł do mustanga i dokładnie sprawdził stan samochodu. Ten okazał się nietknięty. Jasne, że nie. Głos tylko drażnił i sugerował. Opony były warte głupie osiem setek, ale sam fakt, że ktoś bezkarnie grasował tak blisko domu, mógł doprowadzić do szału.

C.J. zacisnął pięści. Ta sytuacja na pewno się nie powtórzy. Już on da owemu głosowi nauczkę. Udowodni, że lepiej nie igrać z C.J. MacNamara.

Wsiadł do auta i pojechał prosto do hotelu. Zamierzał rozmówić się z Tamarą Allistair. Tym razem dziewczyna wyśpiewa wszystko.

Tamara zerknęła w wizjer i otworzyła drzwi, a C.J. wpadł do środka jak bomba. Miał zmarszczone brwi i poruszał się niczym lew osaczający ofiarę.

- Hm ty jesteś, do cholery?!

- C... co? - Tamara cofnęła się i poczuła za sobą brzeg łóżka. Nie mogła uciec nigdzie dalej. Odchyliła się, lecz C.J. wciąż na nią napierał. Nagle zauważył leżącą na materacu otwartą walizkę.

- Pakujesz się? Tak ci spieszno do wyjazdu? - Jednym gwałtownym ruchem rzucił neseser na podłogę, a odzież rozsypała się na dywanie. Tamara wzdrygnęła się, nadal unieruchomiona między łóżkiem a C.J.

- Wyjeżdżam we wtorek - szepnęła i oblizała nagle spieczone wargi.

- Więc czemu już zbierasz ciuchy?

- Żeby... żeby psychicznie się przygotować.

- Kiedy zamierzałaś zacząć mówić mi prawdę, panno Allistair?

Zamarła. Nie potrafiła wykrztusić żadnej odpowiedzi, tylko stała twarzą w twarz z rozjuszonym mężczyzną. Czuła ciepło emanujące z ciała C.J. oraz znajomy świeży zapach jego wody po goleniu. Opalona szczęka była gładka, policzki lekko lśniły. Na szyi Tamara dostrzegła odrobinę krwi - widocznie C.J. zaciął się przy goleniu. Wilgotne włosy miały kolor miodu i były zaczesane do tyłu. Jeden niesforny kosmyk zazwyczaj spadał na czoło, burząc symetrię tej męskiej twarzy i dodając C.J. nieodpartego uroku. Lecz dzisiaj nawet włosy posłusznie dostosowały się do nastroju tego spotkania, a niebieskie oczy patrzyły tak przenikliwie, jakby C.J. chciał przejrzeć Tamarę na wylot.

Opuściła wzrok na dłonie C.J., te silne, duże dłonie, na które od razu zwróciła uwagę. Teraz zacisnął je w pięści tak mocno, że pod skórą ostro uwypukliły się długie ścięgna. Ręce były lekko zgięte w łokciach, a mięśnie ramion - dobrze widoczne pod ręk-

kawami podkoszulka. Ten mężczyzna niewątpliwie mógł lada chwila wybuchnąć.

Tamara znów oblizwała wargi, a jej spojrzenie spoczęło na ustach C.J.

- Ani się waz - warknął.

- Co? - szepnęła.

- Nie myśl, że mnie ułagodzisz swoimi wdziękami - parsnął wściekle.

- Wcale tak nie myślę - powiedziała szczerze. Była jednak boleśnie świadoma jego bliskości oraz tego, że - podobnie jak on - oddycha coraz szybciej. I nagle oboje dali się ponieść tak długo tłumionym emocjom.

Tamara w jednej sekundzie znienawidziła podkoszulek C.J., jego sprane dżinsy, pasek z dużą klamrą. Chciała widzieć tylko nagi tors, którego mogłaby dotykać. Pragnęła też, aby C.J. zdarł z niej cieniutką, kremową bluzkę i piekielnie drogie lniane spodnie, aby rzucił je na dywan i przylgnął wargami do jej ust. Żeby zrobił to bez cienia czułości, bez żadnych wstępów.

Chciała, żeby przestał nad sobą panować. Żeby wzię ją w posiadanie szybko i gwałtownie, zdobył ją dziko i namiętnie.

Może gdyby stracił panowanie, ona też przestałaby się kontrolować. Może uwolniłaby się od przytłaczających wspomnień, zrzuciłaby z siebie ciężar zbyt wielu bezsennych nocy i zbyt wielu skumulowanych emocji. Padłaby w ramiona tego mężczyzny z całą długo tłumioną rozpaczą, z całym dojmującym cierpieniem. A on wyszedłby jej naprzeciw. Wzięłaby ją taką, jaka była, i zażądał więcej. Na pewno. Zdołałby raz na zawsze wyrwać z niej to nieznośne poczucie izolacji.

Stali naprzeciw siebie, stykając się ciałami, lecz ręce mieli opuszczone. Puls przyspieszył jak szalony, lecz umysły nadal się

broniły. Tamara poczuła, że C.J. w oczywisty sposób reaguje na jej bliskość, i zapragnęła przysunąć się jeszcze bardziej. Miała ochotę wtulić się w niego z jękiem i zatracić w rozkoszy.

- Kim jesteś? - syknął C.J., a jego ciepły oddech musnął jej wargi.

- Tamarą Allistair.

- *Czemu kłamałaś?*

- Dla własnego bezpieczeństwa.

- Wierzysz, że to senator spowodował wypadek, w którym zginęła twoja rodzina? Dlatego tu wróciłaś? Dlatego zakradłaś się nocą do sztabu wyborczego?

- Podejrzewałam Brennana, ale się pomyliłam.

- Skąd ta pewność?

- Nigdy nie miał czerwonego samochodu. Nigdy sam nie prowadzi, gdy tu przyjeżdża. Wynajmują mu auto z agencji.

- Tamara przymknęła powieki. Nie była w stanie jasno myśleć. Najchętniej zacisnęłaby palce na ramionach C.J. i przyciągnęła go do siebie.

- Więc kto był sprawcą?

- Nie wiem. Minęło dziesięć lat, a ja nie mam żadnych informacji. Naprawdę... Proszę cię, C.J. ... - Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, poruszyła biodrami, coraz bardziej bezradna wobec narastającej żądz.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, wyrażając wzrokiem wszystko, co teraz czuła. Weź mnie. Spraw, żebym przestała nad sobą panować. Poddaję się. Jestem niewiarygodnie znużona.

- Czemu teraz miałbym ci wierzyć? - Oczy mu pociemniały, oddech stał się urywany i chrapliwy. Na szczęście zadrgał mięsień. - Czemu, do cholery, nagle miałbym ci zaufać?

- Bo tego potrzebuję - szepnęła. - Bo... cię pragnę.

Przyjął to wyznanie z jękiem wyrażającym zarówno zachwyty, jak i gniew. Przez moment jeszcze się powstrzymywał, ujął ją za ramiona, lecz nadal czekał, dając jej czas na ucieczkę. Nie skorzystała z tej szansy. Pozostała przy nim, więc gwałtownie ją przygarnął i namiętnie, agresywnie pocałował.

Rozchyliła usta, gorączkowo sunąc rękami po barkach C.J. Odkrywała kształt jego ramion, twardość mięśni i coraz bardziej pragnęła poczuć pod palcami jego nagą skórę. Chciała jak najszybciej doświadczyć tego wszystkiego, czego nigdy nie spodziewała się dostać.

C.J. raptownie pchnął ją na łóżko. Pociągnęła go za sobą, odnalazła brzeg bawełnianego podkoszulka i wyszarpnęła go z dzinsów. C.J. błyskawicznie go zdjął, a jej z zachwyty zaparło dech. Szeroki, muskularny tors pokrywała złocista opalenizna, jakby słońce od zawsze delikatnie całowało tę gładką skórę. Tamara spojrzała w niebieskie oczy.

Dostrzegła w nich *coś* nowego. Oprócz żaru pożądania w spojrzeniu C.J. malowała się także nieskończona czułość.

Tamara zacisnęła powieki, obawiając się, że zaraz rozpłaczę się ze wzruszenia. Uświadomiła sobie bowiem, że ten mężczyzna nigdy jej nie zrani. Do niczego nie zmusi. Nie wykorzysta jej.

- Światło - szepnęła przez ściśnięte gardło.

- Co?

- Zgaś je... - Wyprężyła się, czując na piersi dotyk ciepłych palców. Potrzebowała ciemności, aby ukryć niezliczone blizny. Nie miała takiego pięknego ciała jak C.J.

Pstryknął wyłącznikiem i pokój pogrążył się w mroku, ponieważ żaluzje jeszcze nie były odsunięte. A Tamara dopiero teraz otworzyła oczy i pozwoliła spłynąć pierwszym łzom.

Powędrowała dłońmi po ramionach C.J., przesuwając kciuki wzdłuż wypukłych obojczyków. Ścisnęła mięśnie barków, odnalazła krągłe, twarde bicepsy, rozkoszując się gładkością skóry, która - niczym gorący atlas - pokrywała ciało prężne jak u dzikiego kota z amazońskiej dżungli.

Tamara powoli dotarła do płaskiego brzucha i usłyszała, że C.J. raptownie wciąga powietrze. Nagle sięgnął do zapięcia jej bluzki, zręcznie poradził sobie z rzędem guzików, zsunął jedwab z jej ramion i równie szybko zdjął z niej biały, koronkowy stanik. Oboje westchnęli z wrażenia, gdy ich rozgrzane ciała przylgnęły do siebie.

- Pragnę cię, Tamaro. Nie masz pojęcia jak bardzo!

Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała. Już nic nie działało się powoli, nic nie było przepojone czułością. Porwani falą namiętności tarzali się po łóżku, gorączkowo zrzucając z siebie ubranie i jednocześnie całowali się tak rozpaczliwie, jakby robili to ostatni raz w życiu. Paski, bielizna, skarpetki i pantofle fruwały w powietrzu i kolejno lądowały na podłodze, aż wreszcie oboje byli całkiem nagi. Tamara z rozkoszą przesuwiała kolanem po długim, owłosionym udzie C.J., on odchylił jej głowę do tyłu i bładził wargami po uchu, szyi, piersiach. Chwycił ustami jeden nabrzmiały sutek i zaczął go ssać tak bardzo, że prawie bolało. Tamara odruchowo się wyprężyła, otoczyła wąskie biodra C.J. udami i jęknęła, bliska szaleństwa.

- Proszę... teraz...

- Jeszcze nie. - C.J. nieoczekiwanie się uniósł i przytrzymał jej nadgarstki wysoko nad głową. Tamara wiała się bezradnie, spragniona jego bliskości, jego ciała głęboko w sobie. - Chcę cię poznać. Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Znów się pochylił, powędrował ustami po jej skórze, ociera-

jąc się gładkim policzkiem jak przymilny kociak. Potem lekko polizał ją w szyję, a Tamara zachichotała, czując rozkoszne łaskotanie. Roześmiała się w głos namyśl o tym, że nie chichotała od niepamiętnych czasów.

C.J. obsunął się niżej i po chwili odnalazł ustami długie, zygzakowate blizny. Wyczuła, że się zawahał, i odwróciła głowę, boleśnie świadoma tego, że nie jest piękna. Była kobietą poznaczoną zbyt wieloma bliznami, które swoją brzydotą wciąż od nowa przypominały o tamtej tragicznej nocy. I nawet w ciemności oraz w objęciach tego mężczyzny Tamara znów poddała się rozpaczy.

C.J. czule szepnął coś z wargami na pierwszej bliźnie, potem na drugiej. Pocałował je tak delikatnie, jakby pragnął powiedzieć, że usunąłby je, gdyby tylko mógł. Gdyby ona mu na to pozwoliła.

Znów się uniósł, a Tamara bez słowa natychmiast rozchyliła uda. Tak bardzo pragnęła C.J. Pragnęła chociaż raz przeżyć coś cudownego.

Powoli w niej zatonął i zaczął się poruszać, a tętniące w żyłach Tamary pożądanie sprawiło, że cały świat nagle odpłynął gdzieś daleko, a tutaj pozostali tylko oni - ich dwa złączone ciała, imiona wymawiane szeptem...

Czuła, jak narasta pragnienie - nieznanne i zdumiewająco słodkie. Gwałtownie wciągnęła powietrze i wypchnęła biodra w górę, usiłując osiągnąć coś, czego nie umiała nazwać.

Była blisko, niewiarygodnie blisko.

I nagle ogarnął ją strach. Przeżalenie. Chciała spełnienia tak bardzo, że to pragnienie niemal wzięło nad nią górę. Boże, jeszcze chwila, a przestałaby panować nad sobą. Nie mogła do tego dopuścić. Nie mogła dać komuś aż tyle siebie.

Chłodna fala obaw zdusiła całą namiętność, stłumiła cały dotychczasowy żar.

- Tamaro...

Odwróciła głowę i zacisnęła powieki, paląc się ze wstydu. Chwyciła biodra C.J. i przyciągnęła go do siebie.

- Już dobrze - szepnęła. - Naprawdę.

Zaklął cicho, lecz zmysłowe doznania okazały się silniejsze. Jego ciało na moment wygięło się w łuk i zawisło nad nią jak w agonii, a następnie opadło, wstrząsane dreszczami rozkoszy. A Tamara raz po raz głaskała plecy C.J., ze wszystkich sił starając się powstrzymać napływające do oczu łzy.

ROZDZIAŁ 8

C.J. słyszał, że Tamara oddycha coraz spokojniej. Bez słowa odwrócił się na bok i przysunął jej szczupłe ciało do siebie, aby leżała wtulona w niego plecami, z głową na jego ramieniu.

- W porządku? - spytał, gdy długo się nie odzywała. Czuł się trochę dziwnie. Od niepamiętnych czasów nie był zakłopotany, mając w łóżku kobietę. Ale też od niepamiętnych czasów nie zdarzyło się, aby C.J. MacNamara nie usatysfakcjonował swojej partnerki.

- Jestem zmęczona - szepnęła.

Pogłaskał ją po włosach, zastanawiając się, co robić. W końcu uznał, że najlepiej po prostu ją objąć. Przytulił ją i wyczuł, że ona powoli się odprężyła. Po kilku minutach zapadła w drzemkę.

Tamara. Delikatnie przesunął między palcami jedwabiste pasmo jej włosów, pieszczotliwie musnął gładkie smukłe ramię. Marzył o niej od tamtej nocy, gdy się poznali. Pragnął jej i wiele razy wyobrażał sobie, że się kochają. Oczywiście myślał, że skończy się to trochę inaczej niż dziś. Zamierzał pozwolić jej odpocząć, a potem porozmawiać.

Jak bardzo życie potrafi człowieka zaskoczyć. Tego ranka po telefonie od nieznanego nawet nie pomyślał o seksie. Wpadł w taki gniew, że był gotów znienawidzić Tamarę. Nawet przemocą zmusić ją do wyznania całej prawdy.

Ale na widok tej kobiety rozsypał się jak próchno. Wziął ją do łóżka i... i kolejny raz się przekonał, że Tamara jest kimś niesłychanie skomplikowanym. Że wiele przeszła i jeszcze nie powróciła z tej mrocznej otchłani, w jakiej żyje człowiek, który utracił swoich ukochanych bliskich.

C.J. bezwiednie westchnął. Powinien był zachować się mniej gwałtownie. Dać jej więcej czasu, aby mogła się bardziej zrelaksować.

Klimatyzacja zanadto wychłodziła wnętrze, więc wymacał brzeg kołdry i otulił ich oboje. Następnie znów przygarnął Tamarę, a gdy położył dłoń na jej brzuchu, trafił palcami na blizny.

Było ich tak wiele - różnego kształtu i wielkości. Na przykład ta wzdłuż biodra. Ta biegnąca w poprzek. I ta cieniutka, prawie jak pajęczynka. Wszystkie świadczyły o prawdziwości opowiedzianej historii.

Jak strasznie musiała cierpieć ta kobieta, kiedy ocknęła się w szpitalu i usłyszała, że jej bliscy zginęli! Czy miała kogoś, kto wtedy ją przytulił? Jakichś przyjaciół lub dalszych krewnych? Może chociaż serdeczną pielęgniarkę?

Gdyby coś stało się jego siostrze, on, Brandon i Lydia poruszyliby niebo i ziemię, żeby być przy Maggie. Nikt nie powinien w takich chwilach być sam. Nikt.

C.J. nagle wpadł w gniew. Tamarze zabrano coś niesłychanie cennego. A co gorsza, musiała radzić sobie ze swoim cierpieniem całkiem sama. To nie w porządku. Mocniej przytulił ją do siebie, jakby po tylu latach mógł cokolwiek zmienić. Oczywiście wiedział, że to bez sensu. Tylko Tamara wyszła żywa z tamtego wypadku, a później, dzięki kolosalnej sile woli zdołała ułożyć sobie życie. Wziąwszy pod uwagę luksusowy samochód

i wytworne ubrania, prawdopodobnie osiągnęła sukces. Po drodze musiała tylko stłumić wściekłość i ból.

Czy kiedykolwiek próbowała rozładować pourazowy stres? Czy skorzystała z usług psychoterapeuty? C.J. nie uważał się za eksperta w tej dziedzinie, lecz dostrzegł u Tamary pewne objawy, które mogły świadczyć o tym, że jeszcze nie doszła do ładu sama z sobą. Te napady złości, bezsenność, nawet picie w jego barze... Czy była w stanie przyznać, że potrzebuje fachowej pomocy?

Bardzo wątpliwe. Jeśli cokolwiek wiedział o Tamarze na pewno, to tyle, że swoim uporem biła go na głowę. Podobnie jak Brandon chyba wolałaby umrzeć, niż uznać, że sama sobie nie poradzi.

Co mam zrobić, żebyś mi zaufała, Tamaro?

I co tamten wypadek ma wspólnego z moim ojcem?

Cóż, na razie nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań, więc zamknął oczy i wkrótce usnął.

Tamara zbudziła się oszołomiona i zdezorientowana. Od dawna nie spała tak mocno i jej organizm bronił się przed pełnym przebudzeniem. Długą chwilę leżała nieruchomo, pragnąc powrócić do nie dokończonego snu, w którym czuła się taka spokojna i bezpieczna. W tym śnie ktoś ją obejmował, ona zaś już nie musiała walczyć z bólem roztrzaskanej miednicy i zgruchotanej nogi. Jej uszkodzone ciało odpłynęło gdzieś w dal, a przy niej znów był Shawn, młody i kochający. Tym razem nie pozwolił jej odejść. Tym razem nikt nie zostawił jej samej.

Raptownie otrzeźwiała. I zeszywniała.

- Nie - szepnął C.J. MacNamara z ustami na czubku jej głowy.

- Co? - Tamara była bliska paniki.

- Nie uciekaj. - Przewrócił ją na wznak i patrzył na nią uważnie. - Nie udawaj, że się nie kochaliśmy.

Nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Chciała powiedzieć C.J., że nie zna jej aż tak dobrze, ale tylko zrobiłaby z siebie idiotkę. Oczywiście, że ją znał. Lepiej niż ktokolwiek inny na całym świecie. I owszem, w tej chwili chciała znaleźć się daleko stąd.

Zamknęła oczy. Przecież nie jest dzieckiem. I nie będzie zachowywać się dziecinnie. Jest osobą dorosłą i się boi, bo... no cóż, dorosłość bywa przerażająca.

W końcu przestała wstrzymywać oddech. C.J. nadal nie miał nic na sobie. Czuła, jak włoski na jego nogach leciutko muskają jej uda. Zaraz poczuła też twardniejący dowód jego pożądania. Przez chwilę miała ochotę przerzucić nogę przez biodro C.J. i mocniej przycisnąć go do siebie.

I co dalej?

No właśnie.

Umknęła spojrzeniem w bok, zawstydzona swoją oziębłością.

- Musimy o tym porozmawiać - cicho stwierdził C.J.

- Nie ma o czym. To nie twoja wina. Po prostu... taka już jestem. Długo spałam?

- Tylko czterdzieści pięć minut. Chyba przydałoby ci się więcej snu.

- Tyle wystarczy. Czuję się dużo lepiej.

- Co za upór. - Odwrócił ją i zmusił, aby na niego popatrzyła. Miał potargane włosy, a niesforny kosmyk opadał na czoło tak jak powinien. Niebieskie oczy spoglądały poważnie, lecz w ich kącikach już pojawiły się drobnutki zmarszczki, zwiastujące uśmiech. Na policzku było widać ślady od zagniecionej

poszewki. A cały C.J. wyglądał niesamowicie seksownie, co tylko pogorszyło sytuację.

- Tamaro, chcę ci pomóc.

- Nie jestem jedną z tych twoich dam w potrzebie.

- Jasne, że nie. Kochanie, zależy mi na tobie. I Bóg mi świadkiem, że od chwili, w której pierwszy raz cię ujrzałem, pragnąłem się z tobą kochać. Chciałem, żebyśmy oboje mieli frajdę. Żebyśmy cieszyli się tym we dwoje.

- Niczemu nie jesteś winien...

- Czy ktoś kiedykolwiek mówił ci o pourazowym stresie?

- O czym?

- Spójrz na siebie, skarbie. Masz sińce pod oczami i niewątpliwie tracisz na wadze.

Bezwiednie dotknęła wystającej kości biodrowej.

- Jesteś piękna, Tamaro. - Odsunął jej dłoń z biodra. - To oczywiste, że bardzo mi się podobasz. Nie chodzi tylko o twoją urodę. Imponuje mi twoja inteligencja, wewnętrzna siła. Do licha, może zwariowałem, ale lubię nawet ten twój upór. I bardzo się o ciebie martwię.

- Niepotrzebnie.

- Opowiedz mi o wszystkim. O tym, co stało się dziesięć lat temu. Chcę o tym usłyszeć, a ty powinnaś wreszcie to z siebie wyrzucić. Naprawdę.

- Nie lubię o tym mówić.

- Wiem, ale to zrób.

Najwyraźniej się zasępiła. Gdy się kochali, jej oczy płonęły, były złociste jak u tygrysicy. Teraz straciły ten blask - ogień się wypalił, pozostawiając po sobie tylko mrok. C.J. przygarnął Tamarę do siebie, troskliwie ją otulił, aby poczuła, że jest bezpieczna. Pragnął ją skłonić do wspomnień, ponieważ musiał

poznać fakty, a ona musiała ostatecznie zmierzyć się ze swoją przeszłością.

- Wracaliśmy z kolacji - powiedziała w końcu. - Ojciec, mama, mój chłopak Shawn i ja. Świętowaliśmy dziewiętnastą rocznicę ślubu moich rodziców. Mama miała na sobie nową suknię z ciemnobrązowego jedwabiu. Wyglądała w niej tak pięknie... Auto jak zwykle prowadził ojciec. Ja siedziałam z Shawnem na tylnym siedzeniu.

- Twój ojciec dużo wypił?

- Tylko kieliszek wina do posiłku. Oboje z mamą nie przepadali za alkoholem.

- Czy tamten kierowca był pijany?

- Nie wiem. Możliwe. Jego samochód nagle zjechał na nasz pas. Nie zauważyłam tego, bo patrzyłam na wspaniałe, srebrzyste księżyc. Pamiętam, że przepełniało mnie szczęście. Trzymałam Shawna za rękę i myślałam, że pewnego dnia my także będziemy obchodzić dziewiętnastą rocznicę ślubu. I nagle usłyszałam krzyk mamy.

Tamara umilkła na moment, a C.J. mocniej ją przytulił. Wydawała się taka krucha i delikatna, lecz jej głos brzmiał silnie.

- Później wszystko stało się błyskawicznie. Gdy się ocknęłam, leżeliśmy na poboczu, a księżyc znajdował się dokładnie nade mną. Dygotałam z zimna, co mnie zdumiało, bo wieczór był bardzo ciepły. Dłoń Shawna nadał spoczywała w mojej, ale go nie widziałam. Mogłam odwrócić głowę tylko trochę i nie czułam swoich nóg. Za to biodra paliły żywym ogniem. Po chwili ktoś się nade mną pochylił. Zobaczyłam twarz - dość nalaną, z workami pod oczami, krótko przystrzyżone włosy, siwawe na skroniach. Mężczyzna patrzył na mnie z przerażeniem, a ja czekałam, aż coś zrobi, jakoś nam pomoże. Ale on

nagle się wyprostował, odwrócił i gdzieś pobiegł. Usłyszałam warkot silnika i pisk opon odjeżdżającego auta. A później jęk matki.

Ten mężczyzna nie wrócił. Nie wezwał pogotowia. Początkowo Shawn coś mówił. Powtarzał, że ktoś się zjawi, ale wyraźnie tracił siły. Słyszałam, jak się modli.

Głos jej się załamał. Wzrok miała utkwiony gdzieś w niewidzialny punkt, jakby patrzyła w inny wymiar, a na jej twarzy malował się niewyobrażalny ból.

- Mój ojciec chyba zginął na miejscu. Mama trochę jęczała i ucichła, Shawn zmarł przed wschodem słońca. Potem zostałam sama, a świerszcze cykały jak oszalałe, czekając na moją kolej.

- Och, kochanie...

- Przestań! Nie chcę, żeby cię to przerażało, nawet jeśli jest straszne. Nie chcę, żebyś patrzył na mnie ze współczuciem, nawet jeśli sądzisz, że na nie zasługuję. I żebyś patrząc na mnie, widział tylko tamten wypadek, bo wystarczy, do cholery, że ja sama codziennie mam przed oczami tamtą noc. To wreszcie musi się skończyć! Dłużej tego nie zniosę...

- Wiem. Szsz... już dobrze. - Zamknął ją w ramionach, doskonale wiedząc, że robi właśnie to, czego ona mu zabroniła: traktuje ją tak, jakby była z kruchej szkła. Musiał jednak ukoić jej ból. A gdyby kiedykolwiek spotkał człowieka, który zabił jej rodzinę, to prawdopodobnie pogruchotałby mu wszystkie kości.

Właśnie tak. Bezlitośnie.

Tamara nagle się poruszyła. Ukryła twarz na jego barku, objęła go, a jej całe ciało zaczęło dygotać. Nic nie mówiła, nie płakała, lecz trzęsła się tak gwałtownie jak rozbitek odnaleziony po wielu dniach dryfowania. C.J. przełożył kolano przez jej

biodro, jeszcze bardziej przygarnął ją do siebie i łagodnie nią kołysał, a ona w końcu pozwoliła sobie na szloch.

C.J. tylko ją tulił. Trzymałby ją w ramionach nieskończenie długo, gdyby było trzeba. Bo ktoś, u licha, powinien był to zrobić dawno temu. Powinien był sprawić, żeby się rozkleiła i zrozumiała, że nie ma w tym nic złego. Każdy czasem kompletnie się rozsypuje. A później mozolnie bierze się w garść.

Tamara stopniowo się uspokajała. C.J. delikatnie pomasaował jej plecy, następnie wziął ją pod brodę i spojrzał w wielkie, zapłakane oczy. Długie rzęsy były posklejane łzami, policzki - blade, okolone burzą ciemnych, gęstych włosów, a różowe usta - lekko rozchylone.

- Od jak dawna nie pozwoliłaś sobie na płacz?

- Na początku płakałam aż za dużo. To nic nie zmieniło.

- Więc później zaczęłaś wszystko dusić w sobie.

- A co miałam robić? Chlipać i użalać się na sobą? Leżeć na szpitalnym łóżku i oddawać się bóleści po stracie najbliższych? Przecież odeszli na zawsze, a wokół mnie bez przerwy krzątali się lekarze, mówiąc tylko o złamaniach, pęknięciach i obrażeniach wewnętrznych. Wciąż debatowali o tym, jak długo potrwa zrastanie kości, jakie są szanse na odzyskanie sprawności ruchowej, ile razy trzeba będzie mnie operować. Nie masz pojęcia, C.J., jak to wyglądało. W moim przypadku rehabilitacja polegała na uczeniu się od nowa dosłownie każdej najprostszej czynności. A kiedy wreszcie mogłam stanąć o własnych siłach, musiałam bawić się w układanki!

- Układanki?

- Owszem! Właśnie to każą ci robić, żeby czymś zająć twój umysł, gdy usiłujesz utrzymać się w pionie. Stoisz i dokładasz kolejne kawałki układanki, dopóki nie padniesz.

- Mówisz o takich puzzlach z tysiąca kolorowych kartoników?

- Z tysiąca? - Prychnęła kpiąco, a jej oczy znów zalśniły jak płynne złoto.

C.J. nie próbował stłumić jej gniewu, ponieważ dzięki niemu mogła pokonać ból i sięgnąć do rezerw wrodzonej odporności. Ta kobieta była naprawdę bardzo dzielna.

- Pierwszą układanką, jaką zdołałam ułożyć, była taka z sześciu kawałków, przeznaczona dla dwulatków! Myślałam, że wyzionę ducha, gdy ją skończyłam. Po pewnym czasie dawałam sobie radę z układankami dla ośmiolatek, a nawet dzieci trochę starszych, ale wtedy chirurdzy stwierdzili, że moja noga sama nigdy się nie zrośnie, i zrobili mi przeszczep kości. Po operacji musiałam zaczynać wszystko od nowa. Gdy już byłam na etapie puzzli dla dwunastolatek, definitywnie wysiadło mi lewe kolano. Wstawiono mi całkiem nowe. - Postukała w nie palcem. - Jest z najlepszej stali i plastiku, producent daje gwarancję na dwadzieścia pięć lat użytkowania lub dwieście dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów, w zależności od tego, co zaliczy się wcześniej.

- Masz sztuczne kolano?

- Owszem oraz tyle gwoździ i metalowych płytek, że wystarczyłoby do podtrzymania wieży Eiffla. Moje ciało to w większości tkanka bliznowata plus metal i plastik. Podróżuję z rentgenowskimi kliszami, żeby ochrona na lotniskach wiedziała, czemu urządzenia zaczynają wyć, gdy przechodzę przez bramkę. A na dodatek za pięć-dziesięć lat czeka mnie kolejna operacja. Te sztuczne kolana nie są wieczne. A wtedy... znów zacznę układać puzzle.

- Nie będzie tak źle.

- Nienawidzę ich.

- Więc znajdziemy ci inne zajęcia. Zobaczymy, jak długo możesz na stojąco dokładać mi w Monopol. Chyba tylko w pojedynku z inwalidką miałbym cię szansę wygrać w tę grę.

- Daj spokój. - Tamara posmutniała. - Nie składaj obietnic bez pokrycia.

- Dlaczego tak mówisz? Nie lubisz Monopolu? To wciąż najpopularniejsza gra na świecie.

- Nawiązałeś do przyszłości. To niebezpieczne posunięcie.

- Dlaczego? Leżymy nago pod jedną kołdrą, więc to chyba oczywiste, że myślę o wspólnej przyszłości.

- Nie pleć głupstw. Sporo o tobie słyszałam, C.J. Nie zaliczasz się do facetów typu „wspólna przyszłość”, więc mnie nie okłamuj i niczego nie sugeruj. Nie musisz obchodzić się ze mną jak z jajkiem tylko dlatego, że przeszłam to i owo. W Nowym Jorku niejeden młody kierownik działu przeze mnie płakał, gdy podliczyłam jego błędy!

- Nie twierdzę, że jesteś krucha.

- I nie musisz mnie ratować. - Raptownie zaczęła zmagać się z wielką kołdrą, usiłując zrzucić ją z siebie. - Wypadek zdarzył się dziesięć lat temu. Od tego czasu nieźle daję sobie radę!

- Nie o to mi chodzi! - Chwytał jej nadgarstki akurat wtedy, gdy wydobyła się spod przykrycia. Nie chciała, żeby traktował ją, jak byłaby ze szkła. W porządku. Przewrócił ją na plecy, siadł okrakiem na jej udach i przycisnął ją do łóżka. A jej oczy natychmiast rozjarzyły się gniewem i znów były złociste.

- Puść mnie!

— Nie. Poleżysz na wznak, skoro muszę cię unieruchomić, żebyś nie związała, zanim skończę zdanie. I chyba kupię dla ciebie kajdanki.

- To mnie nie bawi!

- Więc się uspokój i słuchaj. Właśnie oskarżyłaś mnie o manipulowanie twoimi uczuciami i kłamstwo. Bezpodstawnie. Traktuję znajomość z tobą poważnie. Żaden rozsądny facet nie zniósłby tego wszystkiego, co ja wytrzymuję z tobą, gdyby chodziło mu tylko o seks.

- Lubisz wyzwania - mruknęła.

- O, tak, trzeba przyznać, że jesteś wyzwaniem.

- I szukasz kompensacji.

- Kompensacji? O czym ty gadasz?

- Masz uraz na punkcie swojej matki! Nie zdołałeś jej pomóc i dlatego usiłujesz ratować każdą kobietę z problemami. Widzisz? Nie tylko ty możesz się bawić w psychoanalitika.

C.J. na moment oniemiał, targany wieloma emocjami. Był zły, wręcz wściekły, lecz poczuł także strach, ponieważ Tamara tak szybko go przejrzała. To prawda, rzeczywiście chciał uratować swoją matkę. Gdyby tylko był wystarczająco mądry, silny, bardziej wytrwały... Ale okazał się za słaby i nie stanął na wysokości zadania. Po prostu zawiódł. A teraz ten wstydlivy sekret został ujawniony. Tamara odkryła go z przerażającą łatwością.

- Wierzyłem, że... że dzięki mnie wyzdrowieje.

- Byłeś tylko dzieckiem.

- Mimo to do tej pory wyrzucam sobie poniesioną klęskę. Mylisz się, sądząc, że zainteresowałem się tobą, aby leczyć swoje zadawnione kompleksy. Kiedy na ciebie patrzę, wcale nie widzę mojej wycieńczonej, umierającej matki, tylko silną, odważną kobietę, która pokonała wiele przeciwności, ma swoją dumę, swój honor. Jesteś inteligentna, atrakcyjna i fa-

scynująca. Bardzo mi się podobasz i chciałbym poznać cię dużo lepiej.

- Ja...przecież ja wracam do Nowego Jorku.

- Dlaczego?

- Mam am pracę, udane życie!

- Czyżby, Tamaro? Skoro było ci tam tak dobrze, to po co w ogóle przyjechałaś do Sedony? Po tylu latach?

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Nie dysponowała przekonującym argumentem i oboje o tym wiedzieli. Równie dobrze mogłaby na głos przyznać, że jej życie wcale nie było aż takie satysfakcjonujące. Zawodowa kariera też nie.

- Rozumiem, co czujesz. Ja również straciłem rodziców. Wiem, jak to jest, gdy człowiek bezustannie jest smutny. I wściekły na cały świat. Moja babcia pomogła mi pokonać gniew. Ale ty nie miałaś nikogo, kto wsparłby cię w najtrudniejszych chwilach. Właśnie dlatego wróciłaś. Pełna nadziei, że tu wreszcie odnajdziesz spokój.

- To już przeszłość. Nie ma się czym przejmować - odrzekła buntowniczo, lecz bez przekonania.

- Akurat. A te senne koszmary? Napady gniewu? Niemożność planowania czegokolwiek? Nieuzasadniony strach, który cię paraliżuje w najdziwniejszych momentach? I oczywiście niewiarygodnie silne poczucie winy, ponieważ ty żyjesz, a twoi bliscy - nie. I złość na myśl o tym, że cię zostawili, złość, która dodatkowo to poczucie winy potęguje.

- Przestań! Nie chcę o tym rozmawiać. To niczego nie zmienia. Oni zmarli.

- Ale ty - nie i w końcu musisz nauczyć się normalnie żyć!

- Przecież żyję normalnie! Mam pracę, dobry samochód, ładne mieszkanie. Przyjaciół i rozrywki.

- Jasne. I jesteś tak cholernie spięta, że nawet nie umiesz przyjąć pomocy od obcego człowieka, gdy twoje auto zjedzie z drogi! A teraz masz w łóżku fantastycznego faceta, który zapewnia cię, że mu na tobie zależy, natomiast ty wyzywasz go od kłamców! Nie pozwalasz sobie nawet na radość z seksu, bo to byłby kawałek miłego życia, prawda? A tobie przecież nie wolno żyć aż tak przyjemnie.

- Chcę wstać. - Spróbowała się wyswobodzić i poruszyła biodrami, wbijając pięty w materac. Wygięta w łuk, przez moment wyglądała w tej pozie nadzwyczaj kusząco, lecz C.J. był zbyt sfrustrowany, aby się podniecić.

- Właśnie, uciekaj, Tamaro. Uciekaj przed swoją przeszłością, której nie umiesz zostawić za sobą, chociaż wiesz, że powinnaś.

- Gadaj sobie, co chcesz. - Szarpała się z nim, usiłując uwolnić ręce, aż ją puścił. Sądząc po jej minie, chyba nic nie osiągnął.

Wyskoczyła z łóżka, w półmroku zgarnęła z podłogi swoją garderobę i pośpiesznie się ubrała. C.J. obserwował ją spod oka.

- Prędej czy później - stwierdził - będziesz musiała komuś zaufać.

- Zamknij się! Przestań bez przerwy analizować moją osobowość i postępowanie. Na litość boską, znasz mnie zaledwie pięć dni! Wiesz o mnie dużo mniej, niż ci się zdaje.

- Wiem wystarczająco dużo. Również i to, że wpadłaś w większe tarapaty, niż sądzisz.

- Nie wpadłam w żadne tarapaty. - Zapięła spodnie i zaczęła wpychać w nie dół bluzki. - Przyjechałam do Sedony, żeby wspomóc swoimi zawodowymi umiejętnościami sztab wyborczy senatora Brennana. Koniec historii.

- Wiec naprawdę jesteś specjalistką od public relations?

- Oczywiście, że tak! - prychnęła rozjątrzona. Bezlitośnie ściągnęła do tyłu rozpuszczone włosy i zawiązała je w węzeł na karku, po czym sięgnęła po kilka szpilek leżących na nocnej szafce.

- Próbowalaś mi sprzedać kilka różnych wersji.

- A teraz mówię prawdę. Słuchaj, to nie twój interes...

- Nie obrażaj mnie.

- Rzecz w tym, że popełniłam błąd, C.J. - Zdołała zrobić ze spiętych włosów gładki kok i w niespełna pięć minut przeszła zasadniczą transformację. Naga, targana namiętnościami kobieta zmieniła się w chłodną, opanowaną dyrektorkę, która była w stanie zmierzyć się z całym światem. - Koniecznie chciałam kogoś obwinić. Naprawdę wierzyłam, że senator odpowiada za śmierć mojej rodziny. Ale okazało się, że to nie on. Nigdy nie jeździł czerwonym sportowym samochodem. A po upływie tylu lat nie ma innych wskazówek. - Umilkła na moment i westchnęła. - Prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, kto prowadził tamten pojazd.

- Cóż, kimkolwiek był, postanowił zadzwonić do mnie i zagrozić, żebym pilnował własnego nosa. A jeśli będę grzeczny, to - być może - on kiedyś zdradzi mi, co naprawdę stało się z moim ojcem. Żeby ostatecznie mnie przekonać, ten ktoś dokładnie pociął rajdowe opony mojego scirocco.

- Co takiego? - Tamara wyraźnie zbladła.

- To, co słyszysz. Nie wiem, kto to zrobił, jak i dlaczego. Ale chyba nie byłaś wystarczająco dyskretna i zbliżyłaś się do prawdy bardziej, niż sądzisz, a poszukiwany przez ciebie sprawca orientuje się, co zamierzasz i chce cię odstraszyć.

- Nie... - Zabrzmiało to jak jęk.

- A te dziury w przewodach hamulcowych? Skorpion w twoim pokoju?

- Nie, nie. Jestem tylko specjalistką z Nowego Jorku. Zwyczajnym, szarym człowiekiem, jakich wielu. Tacy jak ja nie mają nic wspólnego z teorią spisku.

- A kto do mnie dzwonił, Tamaro? Kto, u diabła, wiedziałby o moim ojcu?

- Nie wiem. C.J., daję ci słowo, że nie mam najmniejszego pojęcia, kto mógł to zrobić. Byłam pewna, że nikt mnie tutaj nie pamięta ani nie rozpoznał. Starałam się nie rzucać w oczy. Prawie cały czas spędzałam w sztabie wyborczym, a tam pracują sami ochotnicy, którzy nawet nie mieszkają w Sedonie i nigdy mnie nie znali. Wszyscy sądzą, że pochodzę z Nowego Jorku.

- Kto wie, że wróciłaś?

- Tylko Patty, moja najlepsza przyjaciółka.

- Miałaby powód, żeby komuś wspomnieć o twoim przyjeździe?

- Ona? Chyba żartujesz! Przeraziła się, że ktoś mógłby się o mnie dowiedzieć. A dzisiaj rano powiedziałam jej, że wracam na wschód, co raczej ją ucieszyło. Nawet była zdania, że powinnam wyjechać natychmiast.

- A co ze współpracownikami w sztabie?

- Właściwie ich nie znam, z nikim nie rozmawiam o sprawach prywatnych. Większość tych ludzi chyba nawet nie zna mojego imienia.

- Ktoś niewątpliwie wie o tobie całkiem dużo. A wzięwszy pod uwagę to, co mówił do mnie, chodzi o kogoś bardzo wpływowego. Może jednak nie pomyliłaś się co do senatora.

- Ale... jakim cudem... Przecież Brennan zawsze jeździ

limuzyną z szoferem. Preferuje duże, ciemne sedany amerykańskiej produkcji.

- Wiesz na pewno, że tamtego wieczoru też korzystał z takiego auta?

- Pani Winslow twierdzi, że zawsze wynajmują limuzynę z agencji.

- To ogólnikowa informacja. Stwierdziłaś, że tamtego dnia też jeździł takim autem?

- Nie. Nawet miałam zamiar zadzwonić do tej agencji, ale doszłam do wniosku, że pewnie nie przechowują dokumentów aż tak długo.

- Pewnie nie. - C.J. w końcu opuścił nogi na podłogę i sięgnął po dzinsy. - Musimy więc inaczej zbadać sprawę.

- My?

- My. Sama mnie w to wciągnęłaś. Gdyby Brandon się dowiedział, że miałem szansę zgłębić sprawę naszego ojca i z niej nie skorzystałem, osobiście obdarłby mnie ze skóry.

- C.J., zrozum wreszcie... nie musisz mi pomagać.

- Przestań. Ani ty, ani Brandon nie nadajecie się do racjonalnego działania, bo oboje jesteście zanadto pogrążeni w bólu. Ja patrzę na wszystko inaczej. Mój ojciec nie żyje i guzik mnie obchodzi, co zrobił lub czego nie zrobił. Dla mnie liczy się teraźniejszość. I ty, do cholery! Możesz mi wierzyć lub nie, ale moim zdaniem wpakowałaś się w poważne tarapaty. Ktoś wie o tym, że węszysz, chcąc odkryć prawdę. Te hamulce i skorpion to nie przypadek. Chodź, pojedziemy po twój samochód.

W drodze do baru oboje milczeli. C.J. był zbyt sfrustrowany i zamyślony, żeby cokolwiek mówić. Nie cierpiał sytuacji, w których pojawiało się tyle niewiadomych. Telefoniczna roz-

mowa z nieznanym dodatkowo wyprowadziła C.J. z równowagi. Wkurzyła go. A co gorsza, także przestraszyła.

Do licha, nie znosił tego uczucia.

Zajeżdżał przed bar, zaparkował obok lexusa Tamary i zgasił silnik. Ona zaś natychmiast wysiadła, jak zwykle skora do ucieczki. Lecz gdy wyjęła kluczyki, ręce jej drżały.

- To jeszcze nie koniec.

- Wiem, ale... muszę wszystko przemyśleć.

- Dobrze. Daję ci godzinę. O pierwszej zabiorę cię na lunch, a przedtem zadzwonię tu i ówdzie.

- C.J....

- Do pierwszej, Tamaro.

Zacisnęła wargi i zrobiła taką minę, jakby zamierzała się kłócić. Niechcący upuszczyła kluczyki i zaklęła. Schyliła się po nie, a gdy po długiej chwili się wyprostowała, była szara na twarzy.

- C.J. - szepnęła, a jemu krew zastygła w żyłach.

- Co?

- Tam chyba jest bomba. Przyczepiona do podwozia.

ROZDZIAŁ 9

Spokojnie, kochanie. Powolutku się cofnij.

- Masz komórkowy telefon? - Tamara nawet nie drgnęła.

- Wezwij policję.

- Chwileczkę. - C.J. wysiadł z samochodu i podszedł do lexusa.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła i natychmiast przygryzła wargi, jakby ze strachu, że siłą głosu spowoduje wybuch.

- Trochę się znam na takich rzeczach. - C.J. na czworakach zajrzał pod auto. I rzeczywiście zobaczył owiniętą w szary papier paczkę z wystającymi drutami, umocowaną do amortyzatorów przedniego koła.

- Co mogę zrobić? - Tamara zbliżyła się o krok.

- Do licha, schowaj się za moim samochodem. Chcesz zgiąć czy co?

- Nie, ale... - Kucnęła obok niego. - Pomogę ci. Proszę...

- Ty uparta kretynko. - Zmierzył ją groźnym spojrzeniem, lecz najwyraźniej jej nie wystraszył. Była zbyt podobna do niego: musiała osobiście stoczyć swoje walki, aby samej sobie udowodnić, że potrafi. - No dobrze, przynieś z mojego bagażnika latarkę.

- Uważaj, Ci. Zabiję cię, jeśli się wysadzisz w powietrze.

- Będę o tym pamiętał. - Przez chwilę przyglądał się bombie. - Mamy tutaj spory kawałek C-4.

- C-4? - Tamara wiedziała, co to jest. - Błagam cię, wezwijmy policję.

- Nie panikuj. C-4 samo nie wybucha. Jak mawiał mój sierżant, można podpalić to świństwo, tylko lepiej nie deptać płomieni. - C.J. rozdzielił czarne i czerwone druty. Tamara natychmiast też wsunęła się pod samochód.

- Powiedz mi jak to działa.

Spojrzał na nią uważnie. Nie okłamał jej - dopóki auto stało w miejscu i nie było trzęsienia ziemi, nic im nie groziło. Sądząc z miny Tamary, nie uda się jej spławić. Była człowiekiem inteligentnym, a swój strach starała się zracjonalizować.

- Więc słuchaj. - Przejechał palcem po kostce wielkości cegły. - To C-4, materiał wybuchowy, który sam nie eksploduje. Tutaj ktoś połączył go drutami z silnikiem. Gdy przekręcisz kluczyk w stacyjce, iskry polecą w dół i zapalą ten papier. Jest pokryty jakimś płynem, który przyspieszy cały proces. To prosta bomba, w stylu Myszki Miki. Nawet doszkolony na materiałach z Internetu dwunastolatek mógłby wykonać coś takiego.

- Mówiłeś jednak, że w tym przypadku ogień nie jest niebezpieczny.

- Nie, ale spójrz, gdzie umieszczono ładunek, i na tę oponę.

- Spuszczono trochę powietrza.

- Właśnie. Gdy auto podskoczy na pierwszym wyboju, amortyzatory ścisną płonąca bombę i...

- Bum-bum.

- Owszem.

Tamara na moment zamknęła oczy i przełknęła ślinę.

- Co zrobimy?

- Wyjmiemy ją.

- Tak po prostu?

- Jasne. Najpierw przetnę druty, a potem delikatnie wyciągniemy tę cegłę. Nie bój się, nawet upadek z małej wysokości nie spowoduje wybuchu. - C.J. przeciął druty i leżąc na plecach, ostrożnie wyciągnął pakunek. - Wyjdź spod samochodu - polecił spokojnym tonem - a ja ci to podam, dobrze?

- Tylko nie upuść.

- Postaram się.

Oblizała wargi i przeniosła wzrok z bomby na C.J., po czym wysunęła brodę, a w ciemnych oczach pojawił się stallowy błysk.

- W porządku. Dam sobie radę.

- No to do dzieła.

Tamara wysunęła się spod auta, a C.J. poczekał, aż wstanie, i wręczył jej ładunek. Wzięła pakunek tak samo ostrożnie, jak ludzie biorą na ręce noworodka. C.J.. był pełen podziwu dla jej opanowania. Nie znał zbyt wielu osób, zwłaszcza kobiet, które po odkryciu bomby pod swoim samochodem wczołgałyby się pod niego, żeby pomóc ją usunąć.

- No dobrze. - C.J. wygramolił się spod auta i stanął obok Tamary. - Chodźmy na skraj parkingu i połóżmy ją na trawie. Chcesz, żebym ją wziął?

- Lepiej nie przekładajmy tego z rąk do rąk.

- Bez obaw. Musiałabyś rzucić to na ziemię i po tym deptać, żeby wybuchło. Byłoby groźne, gdyby samochód podskoczył na wyboju, ale teraz nic się nie stanie.

- Dobrze, ale wolę spokojnie odłożyć to świństwo. - Z wolna ruszyła przez parking, stawiając nogi tak ostrożnie, jakby szła po linie. Chwilę później powoli się schyliła i umieściła paczkę za

krawężnikiem. Gdy się wyprostowała, jej dłonie lśniły od płynu, którym był nasączony szary papier.

- Wejźmy do środka. Trzeba umyć ręce i wezwać szeryfa Brody'ego.

- Nie.

- Ta lepka maź nie jest obojętna dla skóry.

Porządnie opłukali dłonie nad metalowym zlewem, a Tamara zaczęła szorować swoje z zjadłością godną lady Makbet. Gdy zrobiły się czerwone, C.J. wyciągnął je spod strumienia gorącej wody.

- Wystarczy. - Widział, że Tamara usiłuje zachowywać się dzielnie, lecz jest przestraszona. - Wyprowadzisz się z hotelu. Zamieszkas u mnie.

- Nie. Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo.

- Oboje jedziemy na tym samym wózku.

- Wrócę do Nowego Jorku - oświadczyła, wycierając dłonie w papierowy ręcznik. - Natychmiast. Jestem prawie spakowana.

- Naprawdę sądzisz, że to coś zmieni?

- Powiem pani Winslow, że wezwano mnie do firmy i muszę zająć się ważnym klientem.

- Nie oszukuj się. Dziesięć lat temu kogoś zobaczyłaś i zaczęłaś badać przeszłość. Stanowisz dla tej osoby zagrożenie niezależnie od tego, gdzie przebywasz - tutaj, w Nowym Jorku czy w Timbuktu.

- Naprawdę niewiele wtedy widziałam.

- Ale ten ktoś boi się, że go rozpoznasz.

- Cholera, nawet nie wiem, kto to! - Wściekle zabębniła pięściami w kant zlewu. - Jakim cudem mógłby to być senator?

- spytała po chwili. - Nie doszukałam się żadnego czerwonego auta. Żadnego obciążającego dowodu.
 - Ale widziałaś twarz Brennana.
 - Byłam półżywa i oszołomiona.
 - On tego nie wie.
 - Już chciałam zrezygnować... rzucić to wszystko...
 - Tego też nie wie. - C.J. położył dłonie na jej ramionach.
 - Tylko pomyśl. Dziesięć lat temu jakiś facet spowodował wypadek. Zatarł po sobie ślady i zrobił to tak dobrze, że poniekąd zawęził krąg potencjalnych sprawców. Tylko ktoś bardzo ustosunkowany, dysponujący dużymi możliwościami w razie potrzeby znika bez śladu, tak jak ów kierowca czerwonego auta. Ten człowiek przez całe lata pewnie się zastanawiał, czy kiedykolwiek powrócisz do sprawy tamtej tragedii. Może nawet miał cię na oku, ale ty byłaś przez cały czas w Nowym Jorku, prawda?
- Skinęła głową.
- No właśnie. Przeszłaś kilka operacji, odzyskałaś sprawność, skończyłaś studia, zrobiłaś karierę zawodową. Wyglądało na to, że zostawiłaś przeszłość za sobą i może już nawet nie myślisz o wypadku w dalekiej Sedonie.
 - Musiałam zacząć normalnie żyć.
 - Oczywiście. I zaczęłaś, a ten ktoś uznał, że chyba nic mu nie grozi. Doszedł do wniosku, że go nie zapamiętałaś, więc się uspokoił i też zajął się swoim życiem.
 - I nagle ja wracam do Sedony.
 - A on - kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych - z przerażeniem stwierdza, że nie tylko znów tu jesteś, lecz na dodatek prowadzisz prywatne śledztwo. Po tylu latach zadajesz te wszystkie pytania, które sprawcy wypadku spędzały sen z powiek.

- Teraz wpada w panikę.
- Niewątpliwie. Facet ma wiele do stracenia, a nie może po prostu cię spytać, ile pamiętasz.

- Ale C.J., ja nie dysponuję żadnymi dowodami! Nawet gdybym z kościelnej wieży wrzeszczała na całe gardło, że jest winien, uznano by mnie za wariatkę! Nie da się w żaden sposób powiązać tamtego wypadku z osobą Brennana.

- Nie wiadomo.

Tamara pokręciła głową. Uwolniła dłonie z uścisku C.J., odeszła kilka kroków i pomasaowała skronie. Była blada, miała podkrążone oczy i wyglądała bardzo mizernie. Miniony tydzień wiele ją kosztował.

- Muszę już jechać.

- Do licha, nie powinnaś być sama. To zbyt niebezpieczne. Zostań u mnie, odpocznij. Pozbędę się tego C-4, zawiadomię szeryfa, a jutro rano opracujemy jakiś plan działania.

- Nie chcę cię w to mieszać ani mieć do czynienia z policją. To wszystko brzmi zbyt niewiarygodnie.

- Ale to prawda.

- Kto w nią uwierzy? Sama zaczynam wątpić, czy to ma sens. Chryste Panie, przecież jestem pracownikiem znanej firmy! Kreuję wizerunki ludzi, którzy dzięki temu stają się znani. Piszę teksty reklamowe, komunikaty dla prasy, chwytliwe hasła, żeby moi klienci sprzedali więcej swoich wyrobów. Nie pasuję do jakiegoś koszmarnego spisku z politykiem w roli czarnego charakteru! Muszę się z tego wyplątać. Samodzielnie. Nie potrzebuję cię! I nie zamierzam cię w to wciągać!

- Co cię bardziej przeraża - fakt, że jesteś w centrum „koszmarnego spisku”, czy to, że mogłabyś wesprzeć się na mnie?

- Tylko pomyśl, C.J. - wycelowała w niego palec - mówisz szeryfowi, że ktoś umieścił pod moim samochodem bombę i naszym zdaniem zrobił to nikt inny, tylko powszechnie szanowany senator George Brennan. Ani się obejrzę, jak wsadzą mnie do wyściełanego pokoju w domu wariatów.

- Przecież mamy tę bombę. Kawał C-4 nadal leży przy parkingu. A moje opony są pocięte. To przekonujące dowody, że ktoś robi coś bardzo złego.

- Nikt nie uwierzy w naszą wersję. Dziesięć lat temu senator nie był nawet w połowie taki wpływowy jak teraz, a jednak się wywinął. Teraz policja oskarży mnie o to, że sama podłożyłam ładunek wybuchowy i pokroiłam opony. Na pewno!

- Daj spokój, szeryf Brody mnie zna. Pracowaliśmy razem. ..

- Możesz przysiąc, że to nie ja wsadziłam bombę pod swoje auto? Byłeś ze mną przez całą noc? I przysięgniesz, że nie uszkodziłam tych opon?

- Dlaczego uważasz, że skupiliby uwagę na tobie?

- Bo blada, niewyspana kobieta, która przebywa w Sedonie pod fałszywym nazwiskiem, jest dużo lepszym kandydatem na osobę podejrzaną niż amerykański senator. Przecież to oczywiste! Nie jestem idiotką!

- Tamaro...

Ale ona już go nie słuchała. Była przerażona, zagubiona i przytłoczona sytuacją. A co gorsza, wmówiła sobie, że nikt jej nie uwierzy, nikt nie zechce pomóc. A przecież on jej wierzył. I chciał pomóc.

- Nie możesz zostać sama! - krzyknął, gdy ruszyła do drzwi.
- To zbyt niebezpieczne.

- Przeciwnie - rzuciła przez ramię. - Tylko sama mogę być bezpieczna.

Bez słowa przeprosin lub pożegnania poszła prosto na parking, dokładnie obejrzała swój samochód i po chwili odjechała, pozostawiając za sobą chmurę czerwonego pyłu.

C.J. dał upust bezradności, której nienawidził najbardziej ze wszystkich uczuć. Z całej siły wałnął pięścią w blat baru, rozciął skórę na trzech kłykciach, ubrudził go krwią... i absolutnie niczego nie zmienił.

Tamara nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Jechała za szybko, przerażona swoją słabością, pełna obaw, że tutaj, pod bezkresnym niebem Arizony, jest łatwym celem. Mogłaby przysiąc, że ktoś ją śledzi, że cały wrogi świat nie spuszcza jej z oka. Wielkie, skalne ściany już nie wydawały się jej piękne i majestatyczne. Teraz były czerwone jak krew, a ogromne głazy tylko czekały, żeby stoczyć się na nią i ją zmiażdżyć. A ona znów będzie całkiem sama na zakurczonym poboczu i tylko świerszcze usłyszą jej rozpaczliwy krzyk.

Zajechała przed hotel, błyskawicznie zabrała swoje rzeczy i się wymeldowała, po czym znów wskoczyła do samochodu i ruszyła w drogę. Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd się udała. Ani Patty, ani C.J. Nikt. Musiała sama rozegrać tę partię. Tylko w ten sposób mogła być bezpieczna.

Ręce jej drżały, gdy wpisywała fałszywe nazwisko na druczku w recepcji motelu. Cztery razy się pomyliła, odliczając pieniądze. Miała wrażenie, że nie jest sobą, że zaraz się rozsypie. Może właśnie tak wygląda załamanie nerwowe?

O trzeciej po południu weszła do wynajętego pokoju, starannie zamknęła drzwi na klucz i łańcuch, szczelnie zasunęła

zasłony. Zostawiła walizkę na środku, a sama usiadła w stojącym w kącie fotelu, trzymając w dłoni naładowany pistolet. Beżowy dywan otaczał ją jak morze piasku. Granatowo-zielony szlaczek na ścianach był wściekle kolorowy, jak z kreskówki, a na widok kapy w różowo-rude zawijasy robiło się niedobrze.

Tamara przymknęła powieki i przycisnęła dwudziestkę dwójkę do piersi, ale dotyk broni tym razem nie przyniósł ukojenia. Pistolet wydawał się lżejszy niż zwykle. Nie taki jak trzeba. Wszystko było nie takie jak trzeba.

A zdradliwe emocje nagle zaatakowały jak burza.

Tamara kiwała się w przód i w tył, spragniona bliskości matki. Chciała znów znaleźć się w jej objęciach - tak jak wtedy, gdy była dzieckiem. Chciała zarzucić matce ręce na szyję, poczuć kojący zapach gardenii i wypłakać wszystkie swoje żale. Chciała znów poczuć się kochana. I bezpieczna.

Ale ty mnie zostawiłaś. Zostawiłaś. Potrzebowałam cię, powtarzałam twoje imię, a ty tam umarłaś, do cholery. Dlaczego nie postarałaś się przetrwać? Dlaczego nie wczepiłaś się w życie pazurami tak mocno jak ja? Jak mogłaś tak po prostu odejść? Dlaczego to zrobiłaś?

Przycisnęła dłonie do skroni, usiłując odepchnąć te myśli. Była wzburzona. Lub raczej przerażona. Nie, całkiem spokojna. Była znów małą dziewczynką, zagubioną i straszliwie samotną. Tęskniła za swoimi bliskimi.

O Boże, jak bardzo jej ich brakowało. Jak mogli tak po prostu przy niej umrzeć? Odejść na zawsze?

Czemu Bóg do tego dopuścił? Czemu ich zabrał, a jej - nie? Czemu nie mogła odejść razem z nimi?

Nienawidzę was. Nienawidzę. Nienawidzę was wszystkich.

Nie, to nieprawda. Tylko jej ramiona dygotały, gdy zaczęła szlochać. Dlaczego płakała? Przecież to nie w jej stylu. Łzy to żadne rozwiązanie. Niczego nie są w stanie zmienić.

Musisz mocno trzymać się równoległych poręczy i znieść ból, jeśli chcesz nauczyć się chodzić.

Wbrew sobie znów się rozszlochała. Zwinięta w kłębek, z czołem opartym o leżący na kolanach pistolet, płakała tak długo, aż zabrakło jej łez. Później zapadła w niespokojny sen.

Znalazła się na poboczu drogi. Unosiła się nad rozbitym samochodem, patrząc na wszystko z dziwną obojętnością. Widziała tylko głowę zwiotczałego na kierownicy ojca. Matkę, do połowy wyrzuconą na maskę. Tammy i Shawna, też prawie na zewnątrz, lecz przygniecionych powyginaną karoserią. Shawn trzyma Tammy za rękę, a matka usiłuje przysunąć się do nich, choć przy każdym ruchu jęczy z bólu.

Palce matki... coraz bliżej, ale wciąż za daleko.

I nagle scena po wypadku znika. Znów jadą we czworo autem. Szczęśliwi, roześmiani.

„Spójrz, tato. Czyż to nie jest najpiękniejszy księżyc?”

„Robert, uważaj!”

Koszmar przesłoniła czerń, wokoło cykały świerszcze i przytłaczał ciężar poczucia winy.

Tak mi przykro. Przepraszam. Przepraszam.

„Nie musisz”. Nagle pojawił się senator Brennan - w swoim konserwatywnym, granatowym garniturze, z krawatem ubrudzonym krwią.

„To była moja wina, dziewczynko. Właśnie ta chciałaś usłyszeć, prawda?”

Senator miło się uśmiechnął. Potem nagle uniośł rękę i cisnął wielki kawałek C-4.

Tamara raptownie się zbudziła i spojrzała na zegarek. Spała zaledwie dwadzieścia minut. Oczy ją piekły, w gardle drapało, a dłonie drżały.

Bez zastanowienia zerwała się z fotela i sięgnęła po telefon. Zaczęła wystukiwać numer C.J.

I zaraz się zmytygowała. Cofnęła dłoń jak oparzona.

Zadzwoń do niego. Potrzebujesz pomocy. On ci jej nie odmówi. Jemu możesz zaufać.

I co dalej? Wciagniesz go w swoje problemy, zaczniesz na nim polegać, a twój prześladowca jego też dostanie? Nie możesz martwić się o jeszcze jedną osobę. Ani jeszcze jednej utracić. Nie. Zostaw C.J. w spokoju.

Postanowiła sama zająć się swoimi sprawami. Dosyć tego płakania i użalania się nad sobą. Była wystarczająco silna, aby więcej tego nie robić.

Wstała i pomaszerowała do łazienki. Wzięła długi, gorący prysznic, potem zamówiła wielką pizzę ze świeżymi warzywami oraz porcję sałaty i zmusiła się do jedzenia. Wypiła całą szklanekę soku pomarańczowego. Dostarczyła organizmowi niezbędnych kalorii i witamin. Później wyszła na zewnątrz i energicznie przepłynęła pięćdziesiąt długości basenu, żeby zmusić ciało do posłuszeństwa.

W pokoju padła na łóżko i natychmiast usnęła. Obudziła się o piątę rano, opanowana i wypoczęta.

Może to jednak był senator. Któż inny mógłby tak skutecznie ją obserwować? I dotrzeć do sprawy ojca C.J.? Kto miałby aż tyle do stracenia, żeby zdecydować się na popełnienie morderstwa?

Jeśli rzeczywiście to on, była na straconej pozycji. Nie mogła ukrywać się przez resztę życia i nie mogła też oskarżyć Brenana. Nie dysponowała żadnymi dowodami. Miała tylko swoje mgliste wspomnienia, lecz gdyby coś jej się stało...

Podjęła decyzję. W przyćmionym świetle nocnej lampki opisała wszystko, co zapamiętała z tamtej nocy dziesięć lat temu. Dokładnie wyjaśniła, dlaczego podejrzewa senatora. Dodała rzeczowe informacje na temat uszkodzonych hamulców, skorpionia i bomby pod samochodem.

Nie były to materiały wystarczające do wszczęcia postępowania sądowego, lecz gdyby spotkało ją coś złego, to może wzbudziłyby czyjeś wątpliwości. Może sprowokowałyby do działania jakiegoś ambitnego dziennikarza lub prokuratora okręgowego.

Może stanowiłyby wskazówkę dla C.J., aby raz na zawsze mógł rozprawić się z senatorem.

Siedząc na skłębionej pościeli, Tamara starannie złożyła dwustronicowy list i włożyła go do koperty.

Ale do kogo go wysłać?

C.J. będzie wiedział, co robić. Już zna sprawę. Na pewno zdoła doprowadzić ją do końca.

Nie potrzebujesz C.J. MacNamary.

Pośpiesznie napisała nazwisko i adres Patty i wezwała kuriera. Trzydzieści minut później, biedniejsza o pięćdziesiąt dolarów, odetchnęła z ulgą. Za godzinę Patty otrzyma przesyłkę.

Ze świadomością, że zadbała o siebie, Tamara zwinęła się pod kołdrą i spróbowała usnąć.

O siódmej rano obudziło ją pukanie. Czyżby Patty? A może C.J.? Ale na parkingu małego motelu ujrzała przez wizjer dwa

policyjne auta ze złotymi gwiazdami na drzwiczkach. Przez chwilę stała nieruchomo, usiłując opanować atak paniki. Coś złego stało się C.J. Albo Patty.

Wiedziała, po co zazwyczaj przychodzą policjanci. Zatrzymują się przy twoim łóżku i z ponurymi minami informują, że ktoś, kogo kochasz, niedawno zginął.

Pukanie powtórzyło się.

Otworzyła drzwi, mając wrażenie, że śni. Czuła, że jest strasznie blada i ma obłąd w oczach.

Szeryf Brody zmierzył ją zimnym spojrzeniem, trzymając dłoń na kolbie spoczywającego w kaburze pistoletu. Dwaj zastępcy stali po obu bokach swego przełożonego.

Wszyscy trzej sprawiali niemiłe wrażenie.

- Tamara Allistair?
- Tak - odparła, słysząc narastający szum w uszach.
- Jest pani aresztowana pod zarzutem zamordowania Pająka Wallace'a. Ma pani prawo zachować milczenie...

ROZDZIAŁ 10

Oedona nie szczyliła się imponującym komisariatem policji. W tym niewielkim mieście, żyjącym głównie z turystyki, przedstawiciele prawa mieli zazwyczaj do czynienia tylko ze sprawcami i ofiarami drobnych kradzieży, samochodowych stłuczek oraz z pijanymi chuliganami. Szeryf Brody po raz pierwszy od pięciu lat aresztował osobę podejrzaną o morderstwo i nie zamierzał ryzykować.

Przeczytał Tamarze jej prawa i skuł ręce na plecach. Teraz, już bez kajdanek, siedziała w pokoju przesłuchań, a dwaj zastępcy czujnie stali przy drzwiach. Szeryf podał jej kubek kawy, której nie tknęła, choć jej organizm domagał się kofeiny. Tamara oglądała telewizję i wiedziała, jak to działa. Najpierw policjant wprowadza człowieka, później pompuje w niego kawę i otumania papierosami, a pęcherz i napięte nerwy robią swoje. Wtedy delikwent tak bardzo marzy o pójściu do toalety, że zgodzi się ze wszystkim. Nawet papieża uzna za protestanta i ochoczo podpisze zeznanie.

Tamara nie była taka głupia. Zamierzała zachować zdrowy rozsądek, chociaż siedzenie na metalowym krześle przy odrapanym, drewnianym stole nie było przyjemne. Wiedziała jednak, że znalazła się tu przez pomyłkę i wkrótce zostanie zwolniona.

Szeryf poinformował ją o prawie do jednej rozmowy tele-

fonicznej, lecz jeszcze z niego nie skorzystała. Ale do kogo powinna zadzwonić? Nie miała swojego prawnika, a w Sedonie żadnego nie znała. Oczywiście mogłaby zawiadomić pana Lombardiego w Nowym Jorku. Jako starszy wspólnik z pewnością poleciliby jakiegoś znanego adwokata, ale sprowadzenie go tutaj zajęłoby przynajmniej dwanaście godzin.

Sądziła, że problem przestanie istnieć dużo wcześniej. Przecież nie zabiła żadnego Pajaka Wallace'a. Pierwszy raz usłyszała to nazwisko dopiero dzisiaj od szeryfa.

Z korytarza dobiegły jakieś odgłosy i dwaj zastępcy wyprężyli się jak struny, co chyba oznaczało, że wraca szef. Nie było go prawie trzy kwadranse, a Tamara przypuszczała, że zostawił ją samą w tym paskudnym pomieszczeniu, aby ją zmiękczyć.

Po chwili do wnętrza rzeczywiście wszedł szeryf Brody. Usiadł naprzeciw zatrzymanej, położył na blacie kołonoatnik, potem z kieszeni koszuli wyjął długopis i zdjął nakrętkę. Wykonywał wszystkie czynności niemal z namaszczeniem. Tamara już znała zasady tej gry. Szeryf poruszał się powoli, mówił, cedząc słowa, jakby zaraz miał usnąć. Dzięki temu często zapadało milczenie, które dawało aresztantowi czas na przyznanie się do winy.

Tamara dyskretnie obserwowała Brody'ego, a on mierzył ją spojrzeniem myśliwego. Niewątpliwie uważał ją za upolowaną zwierzynę.

- Proszę mi powiedzieć o Pajaku Wallacie.
- Nie wiem, kto to jest.
- Zastrzeliła go pani.
- Nie.
- Znaleźliśmy jego ciało na cmentarzu, przy grobie pani rodziców. Z butelką koniaku u stóp.
- Nie zabiłam tego człowieka.

- Ale była pani na cmentarzu tamtej nocy.
- Tak! - Szeryf chyba czwarty lub piąty raz powtarzał te same pytania, lecz ona naprawdę nikogo nie zabiła. Nawet nowojorczyki nie strzelają do Bogu ducha winnych grabarzy.
- Więc była pani na cmentarzu, ale nie zastrzeliła pani Pajaka Wallace'a?
- Nie. Poszłam na grób rodziców i w rocznicę wypadku zostawiłam tam butelkę ulubionego koniaku mojego ojca.
- I zastrzeliła pani Pajaka Wallace'a.
- Nie. Po prostu stamtąd odeszłam.
- Kopnąwszy na bok ciało Pajaka.
- Nie zastrzeliłam go! Nawet go nie widziałam! Byłam tam sama, nikogo nie zauważyłam, z nikim nie rozmawiałam. Dlaczego pan to robi, szeryfie? Fakt, że przy grobie moich rodziców znaleziono zastrzelonego mężczyznę, nie czyni ze mnie jego zabójcy!
- Mamy zeznanie świadka, który widział kobietę odchodzącą z miejsca zbrodni. Kobietę w drogim, czarnym stroju i pantoflach na szpilkach.
- Nigdy nie noszę szpilek. Nie zauważył pan, jak chodzę? Osoba po przeszczepie kości i ze sztucznym kolaniem nawet nie próbuje przymierzyć butów na wysokich obcasach.
- Może świadek pomylił się co do tego szczegółu.
- Może pan chwyta się brzytwy!
- Pajaka zastrzelono z dwudziestki dwójki.
- Nie ja jedna mam taką broń.
- Jasne. - Szeryf rzucił na blat plastikową teczkę. - Lecz analiza balistyczna wykazała, że kula wyjęta z ciała Pajaka pochodziła z pani pistoletu.
- C... co? - Tamara poczuła, że blednie.

- Mamy wyniki badania, świadka, ciało ofiary znalezione przy grobie pani rodziców i butelkę koniaku z pani odciskami palców. Słyszałem też, że przepytuje pani ludzi na temat tamtego wypadku sprzed dziesięciu lat. I trochę za bardzo interesuje się pani osobą senatora. Był kolejną ofiarą na pani liście? Jego też chciała pani zastrzelić?

- Nie! Oczywiście, że nie! - Zdumiona wpatrywała się w szeryfa.

Do licha, weź się w garść, Tamaro. On usiłuje zrobić ci wodę /, mózgu i zaczyna mu się to udawać.

- Dlaczego zabiła pani Pajaka? To okrucieństwo. Ten biedak nigdy nikogo nie skrzywdził. Był tylko miejscowym grabarzem.

- Nie zabiłam go - szepnęła.

- A nasz senator... cóż, narobił sobie wrogów. Czasem słyżę o nim to i owo. Politycy to ludzie potężni, bardzo wpływowi. Może miała mu pani coś do zarzucenia... nie akceptowała jego poglądów politycznych. Byłbym w stanie zrozumieć, że chciała pani się go pozbyć.

- Nie polowałam na senatora.

- Ma opinię kobieciarza. Romansowaliście ze sobą? Zerwał z panią?

- Nawet nie znam go osobiście!

- Ale przyjechała pani aż z Nowego Jorku, aby pracować w sztabie wyborczym senatora. Wypytywała pani o niego. Podobno nawet sprawdzała pani rozkład jego zajęć...

- Chcę zatelefonować.

- Miała pani obsesję na punkcie senatora? Może przy grobie swoich rodziców powiedziała im pani o zamiarze zabicia senatora. Ludzie robią takie głupoty. Potem stwierdziła pani, że

Pająk podsłuchiwał. Mógł pójść z tym na policję, więc go pani zastrzeliła.

- Chcę zatelefonować.

- Pająk usłyszał zbyt wiele? Dlatego go pani zabiła?

Tamara mocno zacisnęła usta i spiorunowała szeryfa wzrokiem. Nie zamierzała powiedzieć nic więcej. Znalazła się w nie lada tarapatkach. Nie wiedziała, co się stało, ale już nie chodziło o omyłkowe aresztowanie. W ogóle nie powinna była odpowiadać na żadne pytania. Cóż, popełniła błąd, ale przecież aresztowano ją pierwszy raz w życiu. Niech to będzie nauka na przyszłość.

- Dlaczego zastrzeliła pani Pajaka Wallace'a?

Tamara w milczeniu patrzyła na szeryfa.

- Dlaczego tak interesuje się pani senatorem Brennanem?

Przeniosła spojrzenie na ścianę.

- Czy senator przyczynił się do śmierci pani rodziny? Dlatego chciała pani dobrać się do niego? - Szeryf umilkł na chwilę.

- Ale czemu zabiła pani Pajaka? Do licha, ten chłopina nigdy nikomu nie zrobił nic złego.

Tamara nie odezwała się ani słowem.

W końcu szeryf ciężko podniósł się z krzesła. Przyglądał się jej z oczywistą dezaprobatą jak ojciec, który ma coś za złe zbuntowanej córce. Podniósł rękę i przyglądał bujne wąsy.

- Ułatwiłaby pani sytuację nam wszystkim, po prostu mówiąc, czemu pani to zrobiła.

- Proszę o telefon, szeryfie.

- Cóż... skoro się pani upiera...

Brody wzruszył potężnymi ramionami i zaczął zbierać się do wyjścia. Nieskończenie długo zamykał notatnik i zakładał nakrętkę na długopis. Tamara siedziała na niewygodnym krześle,

wyprostowana i milcząca. Coraz bardziej piekły ją oczy. Raz czy dwa łakomie zerknęła na kubek z kawą.

Szeryf ruszył do drzwi - tak powoli, jakby miał czas do końca świata. Cisza błagała o to, aby ją przerwać. Tamara nie zamierzała tego zrobić.

Po pięciu minutach szeryf przyniósł wiekowy aparat telefoniczny z obrotową tarczą. Zatrzymał się przy stole i zmierzył zatrzymaną ostrym spojrzeniem, jakby dawał do zrozumienia, że to jej ostatnia szansa na wyznanie prawdy i prośbę o miłosierdzie. Tamara zastanawiała się, ile nastolatków musiał wychować, żeby doprowadzić sztukę takiego przesłuchiwania do perfekcji.

Telefon wreszcie znalazł się na stole. I zaprotestował jękliwym brzęknięciem.

- Zaraz wracam. Proszę zawołać Dennisa albo Roda, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Tamara omal nie powiedziała „dziękuję”. Uznała jednak, że byłaby to przesada, zważywszy na okoliczności.

Przez trzydzieści sekund nie mogła się zdecydować na podniesienie słuchawki. Zastanawiała się też, do kogo zadzwonić. Tylko jedna osoba znała całą prawdę. Ta osoba mogła za nią poręczyć. Kiedyś przysięgała, że pozostaną przyjaciółkami na zawsze.

Tamara wykręciła numer Patty. Zabrzmiał sygnał. Jeden. Drugi. Trzeci.

- Błagam cię, Patty, bądź w domu - szepnęła Tamara. I nagle ktoś odebrał. - Patty! Och, Patty, jak dobrze, że cię zastałam!

- Tamara wiedziała, że papple. Była zbyt zrozpaczona, aby się tym przejmować. - Dostałaś mój list? Boże, powiedz, że tak.

Milczenie w słuchawce się przedłużało, a Tamara poczuła, że zaczyna się pocić.

- Patty? - szepnęła.

- Posunęłaś się za daleko - raptownie oświadczyła Patty.
- Co innego zadawać pytania, Tamaro, a co innego... Słyszałam o twoim aresztowaniu.

- Nie zabiłam tego człowieka!

- Pająk Wallace nie zrobił ci nic złego. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Był tylko poczciwym staruszkiem, który opiekuje się grobami. Jak mogłaś?

- Nie zabiłam go! Nie czytałaś mojego listu? Patty, proszę cię... - Tamara wiedziała, że błaga... i że mówi jak do ściany. Ścisnęła słuchawkę tak kurczowo, że zbieleły jej kłykcie.

- Zmieniłaś się o wiele bardziej, niż sądziłam. Żałuję, że w ogóle ci pomagałam.

- Patty...

- Tylko ktoś całkiem bez serca mógł strzelić do biednego Pajaka Wallace'a. Jak można upaść tak nisko? - Głos Patty się załamał. Brzmiał teraz tak, jakby płakała. - Nie dzwoń do mnie więcej.

Połączenie zostało przerwane. W słuchawce było słychać tylko dźwięczny, ciągły sygnał. Tamara usiłowała zapanować nad nerwami. Najwyraźniej nie miała dzisiaj szczęścia.

Przecież tego nie zrobiłam, do cholery! Jak możesz oskarżać mnie o coś takiego, Patty? Dlaczego przestałaś mi ufać?

Wbiła otępiałe spojrzenie w porysowany, drewniany blat. Jej ręce zachowywały się tak, jakby już do niej nie należały. A ten pokój był taki przeraźliwie jasny w świetle wielkiej jarzeniówki...

I co teraz?

- Tamara?

Podniosła głowę i ujrzała C.J. Patrzył na nią zaszępiiony.

Wygląda okropnie, pomyślał. Już nie przypominała tej chłodnej, opanowanej kobiety w codziennie innym markowym ubra-

niu. Teraz miała na sobie te same spodnie i bluzkę co wczoraj, jedno i drugie takie pogniecione, jakby spała w tym stroju. Była blada jak upiór i chyba ledwie żywa ze zmęczenia. Siedząc na brzeżku krzesła, sprawiała przykre wrażenie kogoś, kto nie ma ani jednej przyjaznej duszy na całym świecie,

C.J. niemile się zdziwił, gdy dziś rano zjawił się u niego Brody, szukając Tamary. Oczywiście szeryf odmówił jakichkolwiek wyjaśnień, lecz fakt, że przyjechał z dwoma zastępcami, był wystarczająco wymowny. Chodziło o coś poważnego. C.J. przez całe przedpołudnie usiłował wydobyć jakieś informacje z sekretarki szeryfa i oniemiał z wrażenia, gdy Yvonne w końcu wyznała, że Tamara Allistair jest podejrzana o dokonanie morderstwa.

Tamara zabójczynią? Wykluczone. Owszem, skrywała wiele sekretów, ale z pewnością nikogo nie zabiła.

- Nie mamy dużo czasu. - C.J. przysunął sobie wolne krzesło.
- Nawet nie powinno mnie tu być, ale Dennis jest moim dłużnikiem. Wolałbym jednak nie wpaść na szeryfa, bo wygarbowałby mi skórę, a może nawet wlepiłby karę za utrudnianie śledztwa.

Tamara bez słowa obserwowała go wielkimi, ciemnymi oczami, w których czaił się strach. C.J. sięgnął nad blatem stołu, wziął ją za rękę i zaczął rozcierać lodowate palce.

- Zabiłaś Pajaka Wallace'a?
- Nie - szepnęła.
- Wiesz, kto to zrobił?
- Nie.
- Rozumiesz, dlaczego cię aresztowano?
- Podobno analiza balistyczna potwierdziła, że kula pochodzi z mojego pistoletu.
- To twoja broń czy ktoś ci ją dał?

- Kupiłam ją w Nowym Jorku.
- Podczas pobytu w Sedonie miałaś pistolet zawsze przy sobie?

- Nigdy nie zabierałam go do sztabu wyborczego, tylko zostawiałam w hotelu.

- Wzięłaś broń, jadąc tamtej nocy na cmentarz?

- Chyba tak.

- Jesteś pewna, że to był twój pistolet? Sprawdziłaś numer fabryczny na lufie?

- Nie, skądże. Nie miałam powodu.

- Cóż, istnieje możliwość, że ktoś podmienił broń, z twojej zabił Pajaka, a potem ją podrzucił na miejsce.

Tamara zamruła, oszołomiona jego sugestią, on zaś nie udawał, że jego teoria nie jest naciągana.

- Tamaro, wiesz, jak cię znaleźli? I czemu w ogóle stałaś się osobą podejrzaną?

Zaprzeciła ruchem głowy.

- Dowiedziałem się od Yvonne, że z butelki koniaku zdjęto odciski palców Tamary Allistair. A później anonimowy informator zdradził, że Tamara Allistair to nikt inny tylko Tamara Thompson. Poszukiwano cię od wczorajszego wieczoru. Mała rada na przyszłość - nie zamawiaj pizzy ani nie wzywaj kuriera, gdy się ukrywasz.

- Och. - Zgięła palce i jakby z wahaniem zacisnęła je na dłoni C.J.

- Kochanie, domyślasz się, kto mógłby dać policji taki cynk o tobie?

- Nie.

- Moim zdaniem to ta sama osoba, która zastrzeliła Pajaka Wallace'a.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje. - Mocno uściśnęła jego rękę. - Przysięgam, że nie zabiłam tego człowieka. Nie zamierałam też zabić senatora, nawet gdyby się okazało, że to on spowodował tamten wypadek. Pragnęłam tylko, żeby sprawiedliwości stało się zadość, żeby wymierzył ją sąd. Ja nawet nie umiem użyć broni! Wzięłam tylko parę lekcji na strzelnicy w Nowym Jorku!

- Szsz... Już dobrze, skarbie. Wszystko wskazuje na to, że ktoś perfidnie cię wrobił. Ten ktoś od początku miał cię na oku i usiłował się ciebie pozbyć, a gdy zacząłem ci pomagać, spróbował zniechęcić mnie do tego. Ale ja tak łatwo nie rezygnuję i nie mam zwyczaju chować się po kątach. Niech mnie szlag, jeśli pozwolę, żebyś odpowiadała za coś, czego nie popełniłaś. Wyznaczono już termin rozprawy wstępnej?

- Tak. Odbędzie się dzisiaj o drugiej.

- Przyjdę. Niezależnie od wysokości kaucji Brandon ją wpłaci.

- Stawię się w sądzie - pośpiesznie zapewniła Tamara. - Nie stracie tych pieniędzy.

- Jeśli odpowiednio rozegramy tę partię, może nawet nie dojdzie do procesu.

- C.J.... - powiedziała niepewnie, patrząc mu w oczy - ...dziękuję. Za wszystko. Wczoraj miałeś rację. Powinna... powinna być cię posłuchać. Przepraszam.

C.J. znieruchomiał. Rzeczywiście było mu przykro, gdy Tamara wczoraj uciekła. Cholera, nawet go to zniechęciło. Ale już wiedział, że nie jest w stanie długo się na nią gniewać. Zazwyczaj dobrze rozumiał jej postępowanie. Teraz serdecznie ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się krzepiąco.

- Ach, kochanie... każdy facet uwielbia słuchać takich oświadczeń.

Tamara chyba nieco się odprężyła. Już nie siedziała tak sztywno, i nawet zdobyła się na błady uśmiech.

- Do drugiej - szepnął C.J., gdy w sąsiednim pomieszczeniu zabrzmiały czyjeś głosy. Mrugnął do niej porozumiewawczo i wymknął się równie cicho, jak wszedł.

Tamara oparła łokcie na stole i w myśli analizowała słowa C.J., nadal czując na dłoni dotyk jego palców. Ze wszystkich sił pragnęła wierzyć C.J., chociaż już prawie zapomniała, co to znaczyć ufać ludziom.

Ale chciała znów się tego nauczyć. Dla C.J.

Punktualnie o drugiej Tamarę przywieziono do sądu, gdzie przepracowany i źle wynagradzany obrońca z urzędu zapytał ją tylko o pisownię jej nazwiska. Następnie znalazła się przed obliczem sędziego. Prokurator okręgowy zaznaczył, że Tamara nie mieszka w Arizonie i zarzuca się jej popełnienie z zimną krwią morderstwa, więc jest wysoce prawdopodobne, że zechce uciec. Obrońca, co prawda, wymruczał, że dziesięć lat temu była obywatelką Sedony, lecz sędzia nie wziął tego pod uwagę. Ustalił kaucję w wysokości pięciuset tysięcy dolarów i przypieczętował decyzję stuknięciem młotka. Tamara doszła do wniosku, że jej oszczędności wkrótce mogą stopnieć do zera, jeśli będzie musiała opłacić dobrego adwokata.

Gdy dwaj woźni sądowi wyprowadzali ją z sali, dostrzegła C.J. Znacząco uniósł kciuk i uśmiechnął się krzepiaćco.

Godzinę później była wolna i oboje szli do samochodu C.J.

- Przepraszam za zwłokę. Brandon musiał sprzedać trochę akcji, a tutaj kazali mi wypełnić masę dokumentów.

- Twój brat wpłacił całe pół miliona, żeby mnie zwolniono?
- Przekazał sumę telegraficznie pół godziny temu.
- To... to niesamowicie hojnie z jego strony,
- Po to jest rodzina.
- Dostanie te pieniądze z powrotem, C.J. Obiecuję.
- Cóż, może nie powinienem tego mówić, ale Brandon nie przejąłby się ich stratą. On... jakby to ująć... raczej usilnie stara się tracić swoją forszę. Kłopot w tym, że ostatnio biedaczek Brandon jest jak król Midas - zmienia w złoto wszystko, czego się dotknie. Wszelkie w założeniu poronione inwestycje okazują się niezwykle dochodowe.

- Twierdzisz, że usiłuje zbiednieć? - Tamara uznała, że z jej myśleniem chyba jest coś nie tak.

- Brandon przez całe lata był zapracowanym bankierem, a żona bezustannie go błagała, żeby zwolnił tempo i spędzał z nią więcej czasu. On wciąż obiecywał, że tak będzie, gdy coś niecoś zaoszczędzą. I zanim się obejrzał, ona już nie żyła, a on z dnia na dzień stał się człowiekiem bogatym, bo Julia miała ubezpieczenie na życie. Po jej śmierci dostał milion.

Tamara skinęła głową, zbyt oszołomiona wydarzeniami ostatniej doby, żeby w pełni pojąć sens działań zamożnego wdowca, któremu nie zależy na pieniądzach.

- C.J., chcę cię zapewnić, że jestem niewinna - powiedziała, przywołując na pomoc całą swoją godność. - Nie zamierzam narażać twojego brata na stratę ani uciekać przed wymiarem sprawiedliwości. Jeśli dojdzie do procesu, to wynajmę najlepszego adwokata, jakiego znajdzie Lombardi, żeby mnie wybronił.

- Kto to jest Lombardi? - C.J. otworzył jej drzwiczki swojego mustanga.

- Założyciel firmy, w której pracuję.

- Może się w tobie kocha? - C.J. wsunął się za kierownicę.
- Ma siedemdziesiąt lat.
- To dobrze. Już go lubię.
- Zna wielu prawników.
- Zadzwońmy do niego jutro rano. W Nowym Jorku jest już po piątej, a ty wyglądasz tak, jakbyś' zaraz miała zemdleć. Zapnij pasy, skarbie. Zabieram cię do siebie i pakuję do łóżka.

Tamara nigdy specjalnie się nie zastanawiała nad tym, gdzie mieszka C.J., lecz gdy zajechali przed nieduży, drewniany dom na peryferiach Sedony, uznała to miejsce za właśnie w stylu C.J. Na podwórzu stał biały volkswagen scirocco z otwartą maską, a obok leżały cztery poprzecinane opony. C.J. minął je z obojętną miną, lecz Tamara zauważyła, że zadrgał mu mięsień na szczęce.

- Jesteśmy na miejscu. Nic szczególnego, ale zawsze to własny ką - stwierdził, a Tamara skonstatowała, że chyba po raz pierwszy jest jakby trochę skrępowany.

Wnętrze było przestronne, jasne i pełne złocistego drewna. Przez kilka okien o różnym kształcie i wielkości wpadało mnóstwo światła, odsłonięte belki sufitowe znajdowały się przynajmniej sześć metrów nad głową, podłoga z szerokich, sosnowych desek lśniła jak lustro. Całość była jednym, wielkim pomieszczeniem bez ścianek działowych. Stara kanapa i zdumiewająca kolekcja najróżniejszych krzeseł razem tworzyły coś w rodzaju salonu. W głębi była kuchnia z najwyraźniej nowym, niebieskim blatem i kilkoma barowymi stołkami. Z lewej strony stał chiński parawan, oddzielając prawdopodobnie sypialnię, a obok Tamara zobaczyła jedyny pokój z drzwiami - chyba łazienkę.

- Przepraszam za ten bałagan. Rzadko miewam gości.

C.J. bez wątpienia nie przepadał za sprząaniem. Teraz z zawstydzoną miną pośpiesznie zgarnął z podłogi granatowy ręcznik, przerzucony przez parawan biały podkoszulek, leżące w kącie dżinsy oraz parę różnych drobiazgów i wrzucił wszystko za parawan. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń.

C.J. się krzątał, a Tamara z zaciekawieniem rozglądała się wokoło. Mieszkania zazwyczaj wiele mówią o swoich właścicielach. Odzwierciedlają ich gust, ujawniają ich zwyczaje, czasem nawet opowiadają historię życia. Tamara dobrze o tym wiedziała, ponieważ jej apartament nie zdradzał niczego na jej temat. Był całkiem pozbawiony zbieranych przez lata ozdobnych drobiazgów i wszelkich przedmiotów natury osobistej. Królowało tam szkło, chrom i wyrafinowane dzieła sztuki, czyli takie rzeczy, które powinien posiadać człowiek na wysokim stanowisku. Nie było natomiast rodzinnych fotografii, kryształów dawno temu podarowanych przez babcię ani pięknej lalki od mamy i baseballowej rękawicy od taty. Te pamiątki leżały schowane w kartonowych pudłach, które Tamara wyciągała ze schowka tylko raz na rok, rano w Boże Narodzenie, gdy zaczynały ją dławić wspomnienia.

Natomiast C.J. posiadał rzeczy z przeszłości. Na gzymsie kominka Tamara ujrzała mnóstwo nie oprawionych w ramki fotografii. Był wśród nich duży, czarno-biały portret starszej kobiety w ludowym stroju, małe, kolorowe zdjęcie trójki dzieciaków na drewnianym pomoście, odzianych w niebieskie dżinsy i w słomkowych kapeluszach. Każde trzymało w ręce bambusową wędkę, a siedząca w środku urocza dziewczynka miała rade warkoczyki i uśmiechniętą, rozpromienioną buzię. Tamara wzięła do ręki małe zdjęcie młodego C.J. w mundurze żołnierza piechoty morskiej, z poważną miną patrzącego prosto w obiek-

tyw, potem sięgnęła po fotografię C.J. na tropikalnej plaży, wpychającego do wody dziewczynę w bikini. Na odwrocie widniał napis „Maui na zawsze pozostanie w naszej pamięci”. Tamera pośpiesznie odłożyła tę fotkę. Jednak przeważająca większość zdjęć przedstawiała albo C.J. w wojskowych drelichach, pozującego obok kolegów z wojska, albo C.J. w dżinsach, z jego rodzeństwem. Z wyjątkiem małego zdjęcia na wszystkich innych C.J. był uśmiechnięty i wyglądał na człowieka szczęśliwego.

Na gzymsie stała również lalka *kachina*, a nad nim wisiał prawdziwy samurajski miecz w bogato zdobionej pochwie. Tamera obejrzała szachy rozstawione na stoliku przy oknie. Drewniane, ręcznie wystrugane figurki przypominały rzeźby wykonywane przez wieśniaków z Ameryki Południowej, a plecionki z bambusa, porozwieszane na jednej ścianie, sprawiały wrażenie wyrobów afrykańskich.

- Proszę. - C.J. w obu rękach trzymał szare dresy i niebieską koszulę. - Przebierz się w te ubrania.

- Masz śliczny dom.

- Lubię go - odparł, wzruszając ramionami. Chyba nadal był trochę spięty.

- Te wszystkie drobiazgi to pamiątki z podróży?

- Piechota morska to szczególnie turyści. Bezustannie wólczy się po świecie. - C.J. nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko. - Czasem brak mi tej służby.

- Dlaczego oszedłeś z wojska?

- Nadeszła pora na coś innego. Wykonywanie rozkazów i biurokracja w końcu staje się nie do wytrzymania. Życie w Sedonie przypadło mi do gustu. Prowadzenie baru daje mi satysfakcję, a warunki do szybkiej jazdy są fantastyczne. A ty... - Popatrzył na

nią w zamyśleniu. - Nie zdarza ci się tęsknić za Arizoną? Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby wrócić tutaj na stałe?

- Nie. Krajobrazy rzeczywiście są przepiękne... jak nigdzie indziej na świecie, ale... te tereny budzą zbyt wiele przykrych wspomnień. Nawet cykanie świerszczy zawsze kojarzy mi się z umieraniem moich rodziców.

Wydawało się, że C.J. podejmie ten temat i zacznie ją przekonywać, bo już otworzył usta, lecz najwyraźniej zmienił zamiar i podał jej odzież.

- Pomyślałem, że może zechcesz się odświeżyć i przebrać. W łazience są czyste ręczniki, a sypialnia jest za parawanem. Obiecuję, że nie będę podglądał... chyba.

Tamara z niedowierzaniem uniosła brwi.

- Kiepski ze mnie kucharz - dodał C.J. - Za najlepszy wynalazek dwudziestego wieku uważam chińszczyznę na wynos. Ale gotuję wspaniałą rosół z makaronem...

- Z puszczonek firmy Campbell?

- Och, wzbogacam go zgodnie z własną inwencją. - C.J. zrobił wyniosłą minę prawdziwego konesera. - Sama się przekonasz. W życiu nie jadłaś nic pyszniejszego od rosółku mojej roboty.

- Trzymam cię za słowo.

- Chcę, żebyś zaczęła porządnie się odżywiać. - C.J. musnął palcami jej policzków. - Żebyś się odprężyła i wyspała. Tutaj, w moim domu, naprawdę będziesz bezpieczna. Wierzysz mi, gdy to mówię?

- Tak - odparła zgodnie z prawdą i sama się zdziwiła.

- Niczego od ciebie nie oczekuję. Nie zamierzam się na ciebie rzucić, gdy tylko przymkniesz powieki.

- Wiem.

- Wiele przeszłaś, a ja rozumiem, że pewnie potrzebujesz trochę samotności, żeby w spokoju wszystko przemyśleć. Postarzę się zachowywać jak wrażliwy facet z końca drugiego tysiąclecia. Tylko nie rozpaplaj, że umiem taki być.

- Jesteś... bardzo dobry.

- Jasne. - Skrzywił się pociesznie i wzruszył ramionami.

- Ale niech to się nie rozniesie.

Uśmiechnęła się, wzruszona jego troskliwością. Lubiła to urocze wcielenie C.J. MacNamary. Patrzyli sobie w oczy, a chwila milczenia się przeciągała, lecz nie było w nim napięcia. Przeciwnie, oboje czuli się ze sobą naprawdę dobrze. Jakby znali się od niepamiętnych czasów.

- Chyba... wezmę teraz prysznic.

- A ja ugotuję rosół.

- Dobrze.

Tamara wreszcie oderwała wzrok od wygiętych w ciepłym półuśmiechu warg C.J. Spojrzała jeszcze na jasny kosmyk na jego czole i pomaszzerowała do łazienki. Wykąpała się i sięgnęła po dres. Miękki dżersej pachniał jak C.J. Zmarszczyła ciepłą tkaninę między palcami i wyobraziła ją sobie na jego skórze.

Boso podreptała po gładkiej podłodze do kuchni, podwijając rękawy koszuli sięgającej jej prawie do kolan. C.J. siedział przy małym, okrągłym stole i miał minę człowieka niesamowicie z siebie zadowolonego. Na specjalnej podstawie stał wielki garnek, a obok - koszyk z właśnie podgrzаныmi bułeczkami. Dwa nakrycia składały się z niebieskich, porcelanowych misek i plastikowych łyżek, ale największe wrażenie robiła piękna czerwona róża leżąca na jednej z misek.

- Kupiłem ją wczoraj - wyjaśnił C.J. - Zamierzałem ci ją

dać, gdy tylko cię znajdę. Miałem nadzieję, że się uśmiechniesz. O, właśnie. Już się uśmiechasz.

- Wcale nie. Wargi mnie swędzą.

- Poważnie? - C.J. uniósł brew i zabawnie nią poruszył. Kąciki ust Tamary leciutko się uniosły, a on parsknął śmiechem i wskazał jej krzesło.

Tamara w duchu musiała przyznać, że czuje się dużo lepiej. Od dawna nie była taka odprężona, taka... na luzie.

Z wilczym apetytem zabrała się do zupy - gęstej od klusek oraz plasterków świeżej marchewki i selera naciowego, które wkroił C.J. Później obficie posmarowała miodem bułeczki i zjadła dwie, popijając je mrożoną herbatą i pieszczotliwie gładząc aksamitne płatki róży.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, nadając panoramie gór czerwoną, liliową i bursztynową barwę. Natomiast prawie poziome promienie wpadające do wnętrza kapały wszystko w złocistym blasku.

Gdy Tamara połknęła ostatni okruszek, C.J. odsunął się od stołu i otworzył ramiona. Wtedy wstała, podeszła do niego i usiadła mu na kolanach, a on zamknął ją w objęciach. Przytknęła powieki, słyszała regularne bicie serca C.J., wdychała jego zapach i czuła, jak stopniowo ogarniają ciepło.

- Odpręż się, Tamaro. - Dłonie C.J. spoczęły na jej karku. - I pozwól, że się tobą zajmę.

ROZDZIAŁ 11

Miał takie cudowne dłonie.

Jego długie, silne palce zagłębiły się w napiętych mięśniach szyi i zaczęły lekko ją ugniatać. Po chwili wsunęły się we włosy i długo masowały jej skórę małymi, kolistymi ruchami, wywołując przyjemne dreszczyki. Później powędrowały niżej, cudownie rozluźniły mięśnie barków i te wzdłuż kręgosłupa, a Tamara opuściła głowę i przymknęła powieki.

C.J. odgarnął jej gęste włosy za uszy, następnie kilka razy pogłaskał czubkami palców jedwabisty policzek, jakby Tamara była małym kociakiem, który zaraz zacznie mruczeć.

Gdy C.J. powoli zatoczył kilka kółeczek wzdłuż jej ramion i delikatnie je ucisnął, po czym puścił, Tamarze zrobiło się cudownie ciepło. Zaczęła oddychać szybciej i płycej, gdy palce C.J. parokrotnie musnęły jej pierś.

Dłonie C.J. nie przestawały się poruszać. Teraz zajęły się lewą nogą - pomasaowały palce, roztarty skórę stopy, pougniatały mięśnie łydki, zagłębiły się w udzie tuż nad kolaniem.

Sprawały Tamarze coraz więcej rozkoszy - i jednocześnie budziły jej sprzeciw. Przecież była kobietą oziębłą, a C.J. zasługiwał na kogoś dużo lepszego.

Bezwiednie wtuliła policzek w zagłębienie jego barku, ode-

tchnęła znajomym zapachem. Tak bardzo żałowała, że nie może C.J. nic ofiarować.

Jego ręce wciąż błędziły po jej ciele, ona zaś najchętniej podciągnęłaby podkoszulek C.J., dotknęłaby ustami jego nagiej skóry, sprawdziłaby jej smak.

- Odpreż się. Tylko o to mi chodzi.

Poruszyła się i nagle poczuła na biodrze oczywisty dowód jego pożądania.

Zaprzęgnęła chociaż przez chwilę udawać, że jest stuprocentową kobietą - zmysłową i namiętną. Gdyby nią była, mogłaby zrewanżować się C.J. za te wszystkie cudowne doznania, którymi on tak hojnie ją obdarowywał.

Jej palce same drgnęły, same zawędrowały pod bawełniany podkoszulek, niepewnie spoczęły na skórze C.J. Była taka ciepła. Gładka. Jak rozgrzany atłas.

Tamara przycisnęła usta do szyi C.J.

Znieruchomiał, a Tamara usłyszała jego chrapliwy oddech. A więc C.J. także myślał o tym, co jej chodziło po głowie.

- Jesteś pewna?

- Nie - szepnęła.

- Chcę się z tobą kochać. - Objął ją mocniej i odruchowo wypchnął biodra, przyciskając ją do siebie, a jej sprawiło to przyjemność. - Bardzo. Ale tylko wtedy, jeśli ty też tego zechcesz.

Zacisnęła powieki. Nie wiedziała, co robić, targana pragnieniami i obawami. Trochę się odsunęła, spojrzała na C.J. Oby wyczytał wszystko z jej oczu i wykonał pierwszy ruch, bo ona nie była w stanie tego uczynić.

Wziął ją na ręce i zaraz znaleźli się w sypialni.

- Musisz mi powiedzieć, jeśli się rozmyślisz. Potrafię być cierpliwy - zapewnił z żarem w głosie.

Położył ją na środku łóżka i ściągnął przez głowę podkoszułek, a mięśnie wyraziście zagrały pod złocistą skórą. Tamara z zachwytem patrzyła na szeroką pierś pokrytą delikatnym, jasnym owłosieniem i na imponującą muskulaturę powyżej pasa.

Powoli rozpiął guzik dżinsów, pośpiesznie je zdjął i w samych kraciastych bokserkach usiadł na łóżku.

Materac ugiął się pod jego ciężarem i Tamara przesunęła się w stronę C.J. Spodziewała się, że weźmie ją w ramiona, lecz on przewrócił ją na brzuch.

- Spokojnie - szepnął. - Zaufaj mi.

Wsunął pod nią ręce, ona zaś uniosła się na tyle, aby mógł sięgnąć do guzików jej koszuli. Jego palce zatrzymały się na wypukłości piersi, odnalazły stwardniały sutek i lekko go ścisnęły, a Tamara zamknęła oczy, rozkoszując się silnym doznanem. Guziki zostały rozpięte i C.J. powoli obnażył ją powyżej talii.

Tamara najpierw poczuła na plecach powiew chłodnego powietrza, a zaraz potem dotyk ciepłego ciała C.J. Nie widziała go, przyciśnięta do materaca, niezdolna do zrobienia najmniejszego ruchu. C.J. wtulił twarz w jej włosy, po czym nagle zacisnął wargi na uchu i mocno je wessał.

Tamarą wstrząsnął rozkoszny dreszcz, a usta C.J. powoli powędrowały po jej szyi, zabłądziły na ramię i w końcu zaczęły przesuwac się wzdłuż kręgosłupa, pokrywając skórę drobnymi, ekscytującymi pocałunkami.

Jego wargi były gorące, a jej ciało coraz bardziej domagało się większej intymności, gotowe się poddać. Umysł Tamary wciąż się bronił, wciąż przypominał jej, że powinna nad sobą panować.

Poczuła usta C.J. ma swojej talii, czubek języka zataczał

kregi, a dłonie ujęły gumkę dresowych spodni i zgrabnie je ściągnęły. Ten sam los spotkał figi Tamary oraz kraciaste bokserki.

Ona zaś nadal usiłowała trzymać swoje pożądanie w ryzach, choć pieśszoty zręcznych palców sprawiały, że miała ochotę jęczeć z rozkoszy. Zacisnęła dłonie na kretonowej kapie i przygryzła wargi.

- Nie broń się, Tamaro - szepnął C.J. - Zaufaj mi. I sobie samej.

Obrócił ją na wznak, mocno ujął jej biodra i zanim się spostrzegła, odnalazł najbardziej wrażliwe miejsce.

Krzyknęła i zaszokowało ją chrapliwe brzmienie własnego głosu. Doznania były takie cudowne i takie silne, że niemal sprawiały ból. Bezwiednie wplotła palce we włosy C.J. i bezwstydnie przyciągnęła jego głowę. Chciała... pragnęła... Była pewna, że zaraz umrze.

Czuła jego gorący język, wiła się z rozkoszy, jęczała, powtarzając imię C.J., świadoma tylko tego, że narasta w niej niesłychany żar.

Bezradnie wysunęła biodra, utraciła zdrowe zmysły, była pewna, że zaraz rozsypie się na tysiąc kawałków. Była też przeżazona. Chciała się wycofać. Albo iść na całość. Otworzyła oczy i z rozpaczą spozjrzała na C.J.

Uniósł się i nagle w niej zatonął. Jęknęła, nie przygotowana na ten gwałtowny atak.

- Poddaj się - poprosił C.J. - Jesteś moja. Mam cię.

Nie zdążyła zaprotestować. Zatopiła palce w ciele C.J. i wykrzyczała jego imię, raz po raz wstrząsana kolejnymi falami takich cudownych doznań, jakich nigdy przedtem nie doświadczyła.

Jakąś małą częścią świadomości zarejestrowała, że C.J.

wydał triumfalny okrzyk i wygiął się w łuk, aby zaraz bezwładnie na nią opaść.

Oboje leżeli spleceni uściskiem, ciało Tamary było wilgotne od potu, a twarz - mokra od łez. Zaś umysł - w stanie szoku przegrywającego z zachwytem.

- Widzisz? Już wszystko dobrze, wspaniale - szepnął C.J., gdy objęła go jeszcze mocniej.

Nie mogła pozwolić mu odejść. Rozpaczliwie przylgnęła do niego, oplótła ramionami i ciężko dyszała. Jej oddech w końcu się uspokoił, serce trochę zwolniło tempo, a ją nagle ogarnęło przemożne znużenie. Przymknęła powieki, a przeciążone zmysły zwyczajnie się wyłączyły.

C.J. wyczuł, że Tamara usypia. Powoli się odsunął, najdelikatniej jak potrafił, ułożył ją w wygodnej pozycji i przytulił.

- Kocham cię - szepnął i pocałował gładkie czoło. - Opo-
wiem ci o tym, gdy będziesz gotowa. Po troszeczkę, żebyś nie
wpadła w popłoch.

Wkrótce sam *też pogrążył się we śnie.*

- Mamy bułeczki, sok pomarańczowy i płatki. Co wybierasz?

Tamara niechętnie uchyliła powieki. Przy łóżku stał C.J. tylko w kraciastych bokserkach i trzymał tacę ze śniadaniem. Tamarze wydawało się, że chyba powinien być późny wieczór, ale przez okna wpadało jasne, poranne słońce. Ziewnęła, całkiem zdezorientowana.

- Przyniosłem ci wszystko. - Postawił tacę na dębowej nocnej szafce.

- Która godzina?

- Dziesiąta.

- Dziesiąta? To znaczy, że jest jutro?
- Właśnie.
- Spałam szesnaście godzin?!

- Siedemnaście. Naprawdę potrzebowałam wypoczynku.

Raptownie usiadła, a prześcieradło zsunęło się z jej nagiego ciała, więc C.J. natychmiast wlepił wzrok w jej piersi. Błyskawicznie się zasłoniła, a C.J. powędrował spojrzeniem po jej ramionach. Zarumieniła się, co było raczej głupią reakcją po tym, jak C.J. widział ją całą... dotykał... pieścił. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, świadoma tego, że z braku doświadczenia nie umie się zachować nazajutrz po upojnej nocy.

- Chętnie bym cię znów uwiódł - rzekł C.J. - ale niestety musimy zabrać się do innej roboty.

Energicznie skinęła głową i wpatrzona w szeroki tors usiłowała stłumić rozczarowanie. Doskonale pamiętała, jak cudownie było przesunąć czubkami palców po tych jedwabistych, złotawych włoskach.

- Zabierajmy się do jedzenia, a potem opracujemy jakąś strategię.

Po śniadaniu C.J. pozmywał naczynia, a Tamara wzięła prysznic i włożyła pożyczony dres oraz koszulę. Gdy wyszła z łazienki, już czekał, siedząc przy kuchennym stole. Miał na sobie czyste dżinsy i postukiwał ołówkiem w otwarty notatnik.

- Musimy stworzyć sensowny plan działania - oświadczył bez żadnych wstępów.

- Nie mam żadnych genialnych pomysłów. - Tamara zajęła drewniane krzesło.

- Na kiedy wyznaczono rozprawę?

- Od dzisiaj za trzy tygodnie, chociaż może udałoby się

trochę przesunąć termin. Ale nie jestem pewna. Powinnam zatrudnić adwokata.

- Owszem. Zadzwoni do tego Lombardiego i niech prawnik zajmie się stroną formalną. A my w tym czasie zbierzemy dowody przemawiające na twoją korzyść.

- Niby jakie? C.J., z całym szacunkiem, ale twój optymizm jest bezpodstawny. Jeśli nawet senator Brennan spowodował ów wypadek, to doskonale zatarł wszelkie ślady.

- Nie powiedziałem, że pójdzie nam jak po maśle. Zaczniemy od tego, co wiemy na pewno. Jakiej marki było tamto auto?

- Na podstawie zawieszenia i śladów opon policja stwierdziła, że był to stary, czerwony firebird. Nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale mam w motelu kopię oficjalnego raportu.

- Świetnie. Później wpadniemy tam po twoje rzeczy. Co zrobiła policja?

- Cóż, wykonali rutynowe czynności. Sprawdzili złomowiska, warsztaty naprawcze, agencje wynajmu samochodów. Generalnie szukali pojazdu poważnie uszkodzonego. Zebrali też informacje w okolicznych szpitalach, ponieważ kierowca mógł odnieść jakieś obrażenia.

- I co?

- Nic.

- Musimy więc poszerzyć zasięg poszukiwań. Możliwe, że senator pojechał aż do Scottsdale lub do Phoenix, a nawet gdzieś nad samą granicę z Meksykiem, na przykład do Nogales. Tam znika bez śladu mnóstwo rzeczy. Poszukamy w książce telefonicznej adresów, podzwoimy w różne miejsca.

- Pamiętaj, że minęło dziesięć lat. Wiele warsztatów, których numery są w książce, wtedy mogło jeszcze nie istnieć, a niektóre z tamtych czasów pewnie już dawno nie działają.

Chyba warto wziąć listę ze Zrzeszenia Rzemiosła czy czegoś takiego, choć nie ma żadnej gwarancji, że będzie zawierać adresy sprzed tylu lat. Poza tym wątpię, czy ktoś będzie pamiętał jedno auto. Do warsztatów i na złomowiska codziennie trafia sporo pojazdów.

- To prawda. - C.J. trochę się zasepił. - No dobrze, spójrzmy na tę sprawę z innej strony. Co jeszcze wiemy na pewno?

- Nie rozumiem.

- To, że ktoś cię obserwuje, prawda? Mnie też ma na oku. Nie ulega wątpliwości, że ten ktoś ma sporo informacji o tobie, Tamaro. Orientuje się, że obecnie od pewnego czasu jesteś w Siedonie i rokrocznie przyjeżdżasz na grób rodziców. Ile osób zna ten twój zwyczaj?

- Nie przypuszczałam, że w ogóle ktoś o nim wie. Zawsze przylatywałam samolotem w przeddzień rocznicy, szłam na cmentarz i wracałam do Nowego Jorku. Nigdy nie zostawałam na dłużej.

- A ten koniak... Zawsze był tej samej marki?

- Tak, ulubiony trunek mojego ojca.

- Kupowałaś butelkę tutaj czy w Nowym Jorku?

- Tutaj, przed pójściem na groby. W sklepie, gdzie nabywał go tata. Na cmentarzu wypijałam jeden kieliszek, a resztę zostawiałam.

- Więc właściciel sklepu widywał cię każdego roku?

- Sprzedawcy się zmieniali, a ja nigdy z nikim nie rozmawiałam. Brałam butelkę z półki, płaciłam i wychodziłam.

- A ta twoja przyjaciółka, Patty?

- Ona? Wie od niedawna. Zadzwoiłam do niej pół roku temu. Pierwszy raz od dziesięciu lat. Rozmawiałyśmy o moich rodzicach, o Shawnie. Chyba wtedy wspomniałam jej o... o swoich przyjazdach.

- Ano właśnie. - C.J. pokiwał głową.

- C.J., ona odpada. Patty na pewno nie jest tym słabym ogniwiem. Tak samo bardzo jak ja chciała się dowiedzieć", kto ponosi winę za śmierć moich rodziców. Dla niej też byli jak najbliższa rodzina.

- Dlaczego więc natychmiast nie zjawiła się przy tobie? Czemu nie przyszła do biura szeryfa, gdy cię aresztowano? Ani nawet nie pokazała się na rozprawie? Nie zainteresowała twoim losem?

- Bo taka jest Patty. - Tamara ciężko westchnęła, zastanawiając się, jak wyjaśnić postawę przyjaciółki. - Kiedyś, jako nastolatki, byłyśmy sobie bardzo bliskie, chociaż miałyśmy zupełnie inne charaktery. Patty lubiła szaleć, buntowała się przeciwko wszystkiemu. Później jej matka zachorowała na raka piersi, poddała się mastektomii, przeszła naświetlania. Ale po kolejnej operacji i terapii nastąpiły przerzuty do kości, a wkrótce potem śmierć. Patty w wieku dwunastu lat nagle została bez matki, jej ojciec całkiem się załamał, ona zaś czuła się zagubiona. Coraz częściej przychodziła do nas, czasem siedziała w kuchni przy stole i płakała. Kiedyś wpadła w szal i wytłukła połowę naszych talerzy. Raz była naprawdę słodka i kochana, kiedy indziej zachowywała się jak diabeł wcielony. Moi rodzice nie mieli jej tego za złe. Rozumieliśmy ją - i kochaliśmy ją wraz z jej wadami i zaletami. A ona właśnie tego potrzebowała... świadomości, że nadał ktoś ją kocha. Po paru latach, gdy już się trochę wyszumiiała i zaczęła jakoś panować nad swoim życiem, zdarzyło się nieszczęście. Jego sprawcą był kierowca czerwonego sportowego samochodu. Ja ocknęłam się sama w szpitalu. Patty dowiedziała się o wszystkim od swojego ojca, który zbudził ją ze smacznego snu i powiedział, co się stało.

Tamara umilkła na długą chwilę, wpatrzona w swoje splecione dłonie.

- Sam straciłeś matkę, C.J., więc wiesz, jak trudno jest się tym pogodzić. Zdołałeś pokonać ból dzięki miłości swojej babci i rodzicielstwa. A gdyby kilka lat później zginęli? Jak byś się czuł?

- Wiem, co chcesz powiedzieć.

- Patty dwa razy utraciła swoich najbliższych i to ją zmieniło. Nie nawiązuje z ludźmi bliskich kontaktów, nawet mnie traktuje jak kogoś obcego. Nigdy mnie nie odwiedziła w szpitalu, nigdy nie szukała w Nowym Jorku. Szczerze mówiąc, nawet odniosłam wrażenie, że nie była zachwycona, gdy w końcu to ja się do niej odezwałam. Może gdzieś w głębi serca trochę się ucieszyła z uwagi na dawne, dobre czasy. Jednak spotkanie po latach wcale nas do siebie nie zbliżyło. Przeciwnie, raczej sprawiło nam przykrość. Wydaje mi się, że Patty musi zdystansować się ode mnie... od przeszłości, żeby zachować zdrowe zmysły. Nie jest złym człowiekiem, tylko inaczej nie umie zapanować nad destrukcyjną siłą złych wspomnień. To takie... ludzkie.

- Owszem. Ale fakt pozostaje faktem: ktoś cię rozpracował, Tamaro.

- Jeśli to senator, mógł wynająć prywatnego detektywa i kazać mnie śledzić. Miałby środki na finansowanie takiego zlecenia.

- To prawdopodobne. Pojawia się więc pytanie, jak znaleźć tego detektywa.

- Zawsze są jakieś ślady działania. - Tamara myślała na głos. - Wypłacane honoraria. Może czekiwystawione na nazwisko zleceniobiorcy?

- Nie, senator to spryciarz. Na pewno płaciłby gotówką, żeby uniknąć pozostawiania jakichkolwiek dowodów.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia.

- Niekoniecznie. Co powiesz na to, żebyśmy zastawili pułapkę?

- Jaka? Nawet nie wiemy, na kogo polujemy.

- Och, nie oszukujmy się. To Brennan. Wszystko wskazuje właśnie na niego. Po pierwsze, widziałas jego twarz. Po drugie, któż inny mógłby tak skutecznie pozacierać ślady? To musiało sporo kosztować i na pewno nie było łatwe. A po trzecie, kogo tak bardzo zaniepokoiłby fakt, że wróciłaś do Sedony i wypytujesz o George'a Brennana?

- Tak, masz rację. - W skupieniu przeczesła włosy palcami. - Już o tym rozmawialiśmy i mnie przekonałeś, ale to było, zanim zastrzelono Pajaka Wallace'a. C.J., mogę uwierzyć w to, że senator spowodował wypadek, ale dlaczego miałby zabijać grabarza?

- Żeby cię zrobić.

- Świadek widział na cmentarzu kobietę.

- Może senator kogoś wynajął.

- Skoro wynajął kogoś do zabicia Pajaka, to czemu po prostu nie kazał zabić mnie?

- Ktoś próbował to zrobić.

- Ale dlaczego zastrzelił Pajaka? To przecież nie ma sensu! O co senatorowi chodziło - chciał mnie zabić czy wplątać w morderstwo? Nie było powodu, żeby zlecić i jedno, i drugie. Zwłaszcza że dodatkowe zabójstwo to poważna sprawa. Mogę pojąć, że ktoś powoduje wypadek i spanikowany ucieka. Ale wynajmowanie zabójcy, żeby zlikwidować biednego, bezbronnego grabarza, to ohydne działanie z premedytacją. I rzecz szalenie ryzykowna.

C.J. otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i zaraz je zamknął.

- No dobrze, tego jeszcze nie umiemy wyjaśnić - stwierdził po chwili milczenia. - Nie można wykluczyć, że jednak ktoś planował dwa zabójstwa. Wtedy na cmentarzu nie zauważyłaś nikogo?

- Nie.

- Otworzyłaś butelkę, uczciłaś pamięć swoich bliskich, zostawiłaś koniak przy grobach i poszłaś?

- Tak.

- Więc albo Pająk postanowił zbadać sprawę tej butelki i wtedy go zastrzelono, albo już nie żył i wszystko było zaaranżowane, żeby ciebie obarczyć winą za jego śmierć. Tak czy owak, ktoś chciał, aby znaleziono butelkę z twoimi odciskami palców. To niezbity dowód. Następny - to twoja broń. Policja łączy jedno z drugim i żeby nie działała zbyt opieszale, anonimowy informator naprowadza ją na twój ślad. Szeryf zaczyna cię szukać. Jeśli żyjesz, to oczywiście nie przyznajesz się do niczego i wynajmujesz adwokata. Lecz gdybyś przedtem zginęła na szosie, bo wysiadły hamulce lub w wyniku ugryzienia przez skorpiona? Sprawa zabójstwa Pajaka Wallace'a zostaje zamknięta. I oczywiście już nikt nie interesuje się tamtym tragicznym wypadkiem sprzed dziesięciu lat. Jego sprawca może spać spokojnie, a nawet zostać prezydentem.

- To wydaje się takie niedorzeczne - stwierdziła bez przekonania. - Czynimy te wszystkie założenia bez cienia przekonującego dowodu.

- Spróbujemy przetestować naszą teorię, Tamaro. - C.J. poweselał i pochylił się w jej stronę. - Zaczniemy udawać, że dysponujemy dowodami.

- Zamieniam się w słuch.

- Przepytowałaś ludzi, szukając świadka, prawda?

- Tak, byłam u pani Toketee. Ona nic nie widziała.

- A gdybyśmy stworzyli wrażenie, że jednak ktoś coś widział? Zrobmy tak. Weźmiemy ze Zrzeszenia Rzemiosła listę warsztatów samochodowych, narobimy hałasu, obdzwanając wszystkie z nich oraz agencje wynajmu, szpitale, ambulatoria i prywatne gabinety lekarskie. Wiemy, że ktoś nas obserwuje, więc stworzymy dla niego efektowny spektakl. A potem... - C.J. zniżył głos do konspiracyjnego szeptu - z dnia na dzień nagle ucichniemy. Zaszycemy się tutaj, szczelnie pozastłaniamy okna i zaaranżujemy przyjazd jakiegoś auta. Ja wymknę się na zewnątrz i pośpiesznie wprowadzę do domu osobnika w długim płaszczu i z zasłoniętą twarzą. Potem go gdzieś wywieziemy. A nazajutrz rozpuścimy wieść, że mamy kogoś, kto tamtej nocy dziesięć lat temu widział jadącego czerwonym autem George'a Brennana. Jeśli senator jest winny, da się sprowokować.

Oczy Tamary rozbłysły. Pomysł C.J., aczkolwiek ryzykowny, rzeczywiście mógł przynieść pożądane skutki.

- Ale kto zagrałby rolę rzekomego świadka? Narazilibyśmy go na niebezpieczeństwo.

- Gus na pewno się zgodzi. Wierz mi, skarbie, ona umie zadbać o swoją skórę.

- Może warto spróbować - po namyśle stwierdziła Tamara.

- Dopadniemy go, kochanie. - C.J. uśmiechnął się, lecz inaczej niż zwykle. Tym razem miał minę drapieżcy, który osacza ofiarę. - Zobaczysz.

Powoli zapadła noc. Słońce schowało się za krwistoczerwonymi skałami, na niebie pojawił się srebrzysty księżyc. Świerszcze znów rozpoczęły swoje żałobne cykanie. W małym,

drewnianym domu C.J. paliły się wszystkie światła. Dwie osoby starały się zrobić jak najwięcej.

Tamara prawie przez całe popołudnie wisała na telefonie. Musiała wyjaśnić swoją sytuację panu Lombardiemu, poprosić go o urlop i listę dobrych adwokatów. Lombardi podobno wykazał duże zrozumienie, lecz C.J. stwierdził, że ta rozmowa wiele Tamare kosztowała. Należała do ludzi, którzy cenią sobie prywatność i dobrą opinię w kręgach zawodowych. A oskarżenie o morderstwo zawsze psuje reputację- nawet jeśli człowiek jest niewinny.

Tamara z pasją zabrała się do listy ze zrzeczenia, a C.J. zadzwonił z telefonu komórkowego do Gus i uzyskał jej zgodę na udział w mistyfikacji. Później pogadał z szeryfem. Brody był zadowolony z faktu aresztowania podejrzanej, lecz jako człowiek uczciwy i dobry znajomy C.J. chętnie wysłuchał jego informacji. Na wieść o uszkodzonych przewodach hamulcowych, skorpionie i bombie domowego wyrobu zgodził się wysłać swoich zastępców w teren, aby rozejrzeli się tu i ówdzie. Mieli między innymi zebrać zeznania pracowników hotelu, w którym zatrzymała się Tamara. Może któryś z nich zauważył, jak do jej pokoju wchodziła inna osoba lub ktoś majstrował przy lexusie. W świecie idealnym zapewne znaleziono by świadka, który widział kobietę w czerni zamieniającą broń Tamary na inny egzemplarz tego samego kalibru.

C.J. szczerze wątpił w idealność świata, ale wciąż miał nadzieję.

Po drugiej przygotował kanapki z tuńczykiem i podgrzał resztę zupy. Tamara zjadła dwa kęsy, rosółu nie tknęła i o piątej C.J. zabrał miskę, a na jej miejscu położył rumiane jabłko. Tamara nawet go nie zauważyła. Siedziała po turecku na podłodze,

otoczona papierami. Zabrali z motelu jej rzeczy, lecz nadal nosiła dresowe spodnie C.J. i jego koszulę. W za dużych, workowatych ubraniach sprawiała wrażenie jeszcze drobniejszej i bardziej kruchej.

Pod oczami znów miała sińce i wyglądała jak ktoś cierpiący na piekielną migrenę.

- Jak ci idzie? - spytał C.J., gdy Tamara kolejny raz przecesała włosy palcami i pomasowała krzyż.

- Nikt nic nie pamięta - stwierdziła beznamiętnym tonem.

- Cały świat ma Alzheimera.

- Już siódma. O tej porze wszystko pozamykane. Może dajesz sobie na dzisiaj?

- Mogę jeszcze podzwonić do różnych placówek służby zdrowia. Są czynne całą dobę.

- Cały dzień nic nie jadłaś, a ja mam dosyć tej zupy. Chodźmy gdzieś na kolację. Potem sprawdzimy szpitale. Przecież nie znikną.

- Daj mi jeszcze zadzwonić w parę miejsc.

- Tamara... - Szybko podszedł do niej i wziął z jej ręki listę, po którą właśnie sięgnęła. Podniosła głowę i przez chwilę miała taką minę, jakby zamierzała stanowczo zaprotestować. Zaraz jednak sięzmiętygowała.

- Muszę to zrobić, C.J. - powiedziała błagalnym tonem.

- Bo inaczej zwariuję od tego siedzenia i bezczynności.

- Wiem, kochanie, wiem, ale nie możesz tak się zamęczać. Ludzki organizm nie jest niezniszczalny.

- Sądzisz, że przesadzam? - szepnęła bezradnie. - Że jestem okropna?

Usiadł przy niej i położył dłonie na jej ramionach, myśląc o tym, co mu niedawno powiedziała - że po stracie matki czło-

wiek zawsze się zastanawia, czy nie ponosi za to winy, i rozpaczliwie pragnie, aby znów go kochano i akceptowano.

- Moim zdaniem jesteś wcieleniem doskonałości. Dlatego postaram się, żebyś dobrze się odżywiła, wysypiała i żyła nieskończenie długo.

- No dobrze. - Wreszcie się uśmiechnęła. - Zrozumiałam aluzję.

- Kochanie, zależy mi na tobie.

Najchętniej powiedziałyby dużo więcej. Słowa same cisnęły mu się na usta, lecz malująca się na twarzy Tamary niepewność kazała mu na razie powstrzymać się od wyznań. Nie było to łatwe, ponieważ jego serce przepełniały uczucia, jakich nigdy przedtem nie doświadczył. Pragnął mocno objąć Tamarę i zawsze chronić przed każdym zagrożeniem, lecz kochał ją właśnie dlatego, że ona nigdy by mu na to nie pozwoliła. Wiedział, że zawsze będzie samodzielna, niezależna, gotowa zmierzyć się z każdym wyzwaniem. Powinna czuć, że on jest przy niej i zawsze zrobi dla niej wszystko. Potrzebowała tej świadomości i potrzebowała jego, chociaż nie chciała tego przyznać nawet sama przed sobą. I wcale nie był jej obojętny.

- Może pojedę teraz po jakiś obiad, a ty jeszcze sobie podzwonisz? Ale gdy wrócę, porządnie się najesz.

- Sądysz, że... że nikt mnie nie napadnie, jeśli się rozstanemy?

- W obecnej sytuacji nic ci nie grozi. Aresztowano cię jako osobę podejrzaną o dokonanie morderstwa, a wszelkie dowody na razie przemawiają przeciwko tobie. Twój przedwczesny zgon tylko wzbudziłby niepotrzebne wątpliwości, a to pewnie zaszkodziłoby senatorowi. Skoro i tak wyładujesz w więzieniu jako zabójczym, to... owszem, na razie jesteś bezpieczna.

- Szczęściara ze mnie.
- Dowiedziemy tego.
- Więc dobrze, jedź po jedzenie. Jak wrócisz, zrobię sobie przerwę. Zresztą te telefony i tak na razie nie przynoszą żadnych rezultatów.
- Tak myślisz? Poczekaj, aż przyjdzie rachunek.
- Oddam ci pieniądze - zapewniła natychmiast.
- Kochanie, poradzę sobie. - Sięgnął po kurtkę wiszącą na oparciu krzesła. - Masz jakieś dwadzieścia minut. Odpowiednio je wykorzystaj. Na razie. - C.J. odwrócił się i wyszedł.

Nic nie działała w czasie jego nieobecności. Po kolacji długo siedzieli w milczeniu na kanapie. C.J. czuł, że Tamara nadal jest spięta. Niewątpliwie błędziła myślami gdzieś daleko, lecz gdy ją o to spytał, tylko wzruszyła ramionami.

O dziewiątej pogasili światła i poszli do łóżka. C.J. nie próbował kochać się z Tamarą, tylko wziął ją w ramiona, aby się odprężyła. Usnęła dopiero po kilku godzinach i spała bardzo niespokojnie, co chwilę wołając swoich rodziców.

Potem cicho szlochała przez sen, a C.J. wciąż tulił ją do siebie, gdy wyszeptwała „Przykro mi, Donaldzie”.

A kiedy wkrótce potem wstała i już się nie położyła, pozostała w mroku sypialni, aby Tamara mogła sama zmierzyć się z cieniami swojej przeszłości.

ROZDZIAŁ 12

Dzwonił szeryf Brody.

C.J. odwiesił słuchawkę, a Tamara popatrzyła na niego pytająco. Chyba nie spała od trzeciej rano, gdy wstała z łóżka. Teraz wciąż miała na sobie tylko biały podkoszulek, między jej długimi, smukłymi nogami leżała na podłodze mapa. Blizny na lewej kostce i kolanie były bardzo widoczne, zaś gęste, ciemne włosy tworzyły na plecach i ramionach splątana masę.

- Dowiedział się czegoś? - Ręka Tamary znieruchomiała nad mapą, w którą były powbijane malutkie, niebieskie chorągiewki.

- Podobno jego zastępcy sprawdzili to i owo. Hotelowa służba nie zauważyła nikogo podejrzanego.

- Jak to możliwe, do cholery. - Tamara z niepoohamowaną gwałtownością dziabnęła mapę szpilką kolejnej chorągiewki.

- Przecież żyjemy w czasach, gdy Wielki Brat bezustannie nas obserwuje. Niby wszyscy usiłujemy być grzeczni dla swoich sąsiadów, bez przerwy przyswajamy sobie zasady współżycia społecznego, natomiast komputery stałe zbierają wszelkie dane na nasz temat. Wystarczy przepuścić zakupy przez czytnik kodów paskowych, żeby jakiś statystyk już wiedział, jakie kupuję podpaski higieniczne. Tymczasem gdy człowiek potrzebuje pomocy, to nikt nic nie wie i niczego nie widział. To idiotyczne!

C.J. kucnął przy niej i napotkał spojrzenie ciemnych oczu, które teraz gniewnie lśniły. Ale z bliska było też widać, że Tamara jest wykończona.

- Co robisz?

- Zawęzam pole naszych poszukiwań. - Uderzyła pięścią w listę ze Zrzeszenia Rzemiosła. - Miejsca, gdzie nikt o niczym nie ma pojęcia, zaznaczam na niebiesko. - Trzepnęła otwartą dłonią w mapę Arizony. - Tylko popatrz. Scottsdale już prawie znikło pod błękitną chmurą, całe wielkie Phoenix też. Może miałeś rację co do Nogales. Facet mógł wywieźć auto do Meksyku i tam je zostawić. A jakieś nastolatki rzuciły się na nie jak stado wygłodniałych wilków i błyskawicznie rozłożyły je na części. To lepsze w skutkach niż wsadzenie trupa do maszyny na tartaku.

- Wystarczy, Tamaro. - C.J. chwycił ją za ramię i postawił na podłodze. - Zbieraj się. Jedziesz ze mną.

- Muszę odwalić tę robotę!

- Nie, kotku. Jesteś zmęczona, burkliwa i równie zabawna jak Kuba Rozpruwacz. Jeszcze trochę tego gadania, a każdy lekarz bez wahania wyśle cię do czubków.

- Podejrzewa się mnie o zabicie człowieka. Mam być wesoła jak skowronek?

- Ubieraj się. - Rzucił jej parę czystych, czarnych dresów.

- Wychodzimy na dwór i nie życzę sobie, żeby nasz cień gapił się na twoje gołe nogi. Musiałbym zaraz mu dołożyć, bo jestem osobnikiem zazdrosnym - oświadczył z żartobliwym uśmiechem, chociaż też był spięty.

- Chcę zadzwonić! - Tamara wciągnęła spodnie.

- Za chwilę, skarbie. - Pociągnął ją na zewnątrz, ignorując jej niechętnie spojrzenie. Nie bardzo wiedział, co robi. Kiedyś

służył w piechocie morskiej i do tej pory lepiej sobie radził w akcji niż w pojedynku na słowa. Czytywał głównie czasopisma o tematyce motoryzacyjnej oraz materiały o nowych rodzajach broni, prawie wcale nie oglądał telewizji. Ale był właścicielem popularnego baru i już dawno doszedł do wniosku, że wszyscy barmani są lepszymi fachowcami od większości psychoterapeutów. Oby rzeczywiście tak było.

Zatrzymał się przed zawieszonym na gałęzi sosny wielkim workiem treningowym. Starym, w paru miejscach poklejonym srebrną taśmą i czerwonym od wieloletniego wchłaniania pyłu Arizony.

- No dalej! Ulżyj sobie.

- Chcesz, żebym walnęła ten worek? - Tamara ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

- Właśnie. Ja go przytrzymam, a ty zdzielisz go z całej siły.

- C.J., mam ważniejsze rzeczy do...

- Tamaro, uderz ten cholerny worek. - C.J. stanął za nim i podparł go barkiem. - Do roboty, młoda damo. Jesteś w parzywym nastroju. Zawsze pragnęłaś panować nad swoim losem, trzymać w garści wszystkie sznurki, a tu nagle ten sukinsyn senator znów rujnuje ci życie. Nie dość, że zabił twoich bliskich, to jeszcze zrobił cię w morderstwo, chociaż byłaś taka sprytna, dobra i piekielnie ostrożna. Ten łobuz wpakował cię tam, gdzie chciał, więc jesteś wściekła!

- Tak!

- Uderz!

Zmarszczyła brwi i trzepnęła w worek, lecz ważył pięćdziesiąt kilo, więc ani drgnął.

- Taki z ciebie twardziel, malutka? Senator pozbawia cię

rodziny, a ty nie masz ochoty porządnie mu przyłożyć? Na razie tylko go klepnęłaś.

- Niech go szlag! - Uderzyła mocniej, worek nadal wisiał nieruchomo, ona zaś miała zdartą skórę z trzech kostek. Ale już się zarumieniła, jej oczy zaślniły złocistym blaskiem, a na czole pojawiły się kropelki potu. C.J. wiedział, że szybko narasta w niej agresja.

- Zwiń pięść, cofnij się i zaatakuj.

- Nie będę tłuc głupiego worka.

- Senator zabił niewinnego człowieka. Wplątał cię w morderstwo. Zrujnował twoją reputację.

Zamachnęła się i zafundowała workowi silny prawy prosty. Nawet C.J. poczuł ten cios i chrząknął.

- Nareszcie. Doskonale. Teraz lekko, jak motylek, potańcz na paluszkach, lecz atakuj jak rozjuszona osa.

- Nie, to nie ma sensu - mruknęła, ale zaczęła okładać worek pięściami tak zaciekle, jakby zamierzała zabić.

- Otóż to - mruknął C.J. - Idź na całość, zbij tego łobuza tak, żeby cię popamiętał. Niech wie, jak cierpiełaś po stracie rodziny, jak było ci źle, gdy nikt nie odwiedził cię w szpitalu.

Uderzyła worek mocniej, niż C.J. się spodziewał. Bardzo skutecznie.

- Jesteś wściekła, ale zawsze tłumisz swój gniew.

- Nieprawda!

- Udusiłabyś faceta, który zabił twoich bliskich.

- Tak! - Łup.

- Masz sobie za złe, że przeżyłaś, a swojej rodzinie to, że umarła.

Nie odpowiedziała, tylko znów zaatakowała worek.

- Jesteś zła także na mnie, prawda, Tamaro?

- Nie - szepnęła, ale workowi się dostało.

- Tak, kochanie, jesteś. Bo cię kocham, ty o tym wiesz i to cię przeraża. A na dodatek zwiększa twoje poczucie winy, bo przy mnie czujesz, że żyjesz, na co do tej pory skutecznie sobie nie pozwalałaś.

Milczała, ale głośno wciągnęła powietrze i z twarzą wykrzywioną gniewem rzuciła się na worek jak furia.

- Tamaro, powiedz mi coś o Donaldzie.

- Nie! - Tym razem kopnęła worek, po czym rzuciła się na niego z furją.

Zachowywała się jak nieznośny, rozwyrzony bachor, a C.J. jeszcze bardziej ją podjudzał. Nie miał pojęcia, czy to zdrowe lub sensowne, wiedział jednak, że kiedy sam był w fatalnym nastroju, okładanie worka pięściami naprawdę pomagało. W każdą kolejną rocznicę śmierci matki z samego rana przychodził tutaj i tak długo boksował, aż ramiona i płuca odmawiały mu posłuszeństwa. Czasem budził się też w środku nocy, przypominał sobie, że śnił o Islandii, i o drugiej lub trzeciej nad ranem znącał się nad workiem.

Tamara jeszcze łomotała pięściami, ale ciężko dyszała, a jej ruchy stawały się coraz bardziej niezgrabne. W końcu padła na worek i go objęła, kompletnie wykończona. C.J. wziął ją w ramiona, ona zaś wsparła się o niego całym ciałem, drżąc, spocona i czerwona na twarzy.

- Usiądźmy - szepnął. - Pogadamy.

Ciężko przysiadła obok niego na ziemi. Czuła się jak bezradne, małe dziecko, które najchętniej zaszyłoby się w jakimś bezpiecznym miejscu i udawało, że świat nie istnieje. C.J. ją przytulił, a ona chciała odsunąć się od tego wielkiego, pyskatego gbura, ale nie miała siły się ruszyć.

- Jak się czujesz, kochanie?
- Jestem zmęczona.
- Nie wątpię. Skarbie, od jak dawna śnią ci się koszmary?
- Od zawsze.
- Ale po przyjeździe do Sedony jest gorzej, prawda?
- W Nowym Jorku dużo pracuję. Nie zostaje mi wiele czasu na spanie.

- A więc tak to robisz.
- Co?
- Udajesz, że problem nie istnieje. Klasyczna negacja. Lekarze nie wysłali cię na terapię do psychologa?

Była ledwie żywa. Ramiona ją piekielnie bolały. Nie zamierzała znów rozmawiać o przeszłości. Czemu wszyscy bezustannie do niej powracają?

- Sugerowali coś takiego. - Usiłowała wstać, ale mięśnie nóg się zbuntowały. Zdołała tylko odsunąć się od CJ, a on nie zareagował. Dlaczego ją to rozczarowało?

- Uznałaś, że nie potrzebujesz żadnych porad?
- Do licha, chciałam zacząć normalnie żyć. Operacje i zabiegi fizykoterapeutyczne trwały całymi miesiącami. Gdy w końcu definitywnie poprawiono mi kolano, marzyłam tylko o wyjściu ze szpitala. O jakiejś zwyczajnej egzystencji.

- Skończyłaś studia, zrobiłaś karierę - i nagle doszłaś do wniosku, że to za mało.

- Naprawdę dobrze sobie radziłam - odparła z naciskiem. Rzeczywiście potrafiła ułożyć sobie życie i nie chciała, aby pamięć o tym przysłoniły całkiem nowe, silne emocje, które ostatnio odkrywała. Na przykład chęć złomotania treningowego worka. W głębi duszy musiała przyznać, że tego potrzebowała.

- Odniosłaś sukces, Tamaro. Może aż za duży.

- Nie mów tak. To nie fair. Ciężko na wszystko pracowałam. Nie mogłam iść na kompromis, gdy stawką było moje życie.

C.J. milczał, a ona dopiero po chwili zauważyła, że chyba jest speszony. Zdumiało ją to, ponieważ zawsze sprawiał wrażenie kogoś, kto doskonale wie, co robi, i zawsze panuje nad sytuacją.

- Wiesz, wczoraj kupiłem dwie książki - oznajmił niespodziewanie.

- Książki?

- Tak, a możesz mi wierzyć, że rzadko je czytuję. Zostawiam to Brandonowi. Ale obok chińskiej restauracji jest księgarnia, więc wpadłem tam, czekając na przygotowanie jedzenia. I... eee... wybrałem jedną o sztuce przetrwania, a drugą o porażającym stresie.

Słuchała ze wzrokiem wbitym w ziemię, zawstydzona, jakby ktoś właśnie odkrył, że uczyniła coś złego. C.J. wiedział o niej zbyt dużo. Za bardzo ją przejrzał, dotarł nawet do tego, co tak usilnie starała się ukrywać.

- Dla... dlaczego to zrobiłeś?

- Bo cię kocham.

Odwrociła się. Miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

- Tamaro... - C.J. dotknął jej policzka i odwrócił jej twarz ku sobie. - Nie jestem w tym dobry. Wiem, że wiele wycierpiałeś, i trochę cię rozumiem, ponieważ sam straciłem rodziców. Ale ty przechodzisz przez coś bardziej skomplikowanego. Widzę, jak się zadręczasz, jak doprowadzasz swój organizm do granic wytrzymałości, jak się sama unicestwiasz, i chcę ci pomóc, ale daleko mi do eksperta w tej dziedzinie. Pomyślałem więc, że... że moglibyśmy razem poczytać te książki. Co ty na to?

Czuła, że zaraz zaleje się łzami. Takimi, których źródłem są pozytywne wzruszenia, Kiedy ostatnio płakała ze szczęścia?

- Tamaro, kocham cię. Błagam, powiedz coś.

- Dobrze, przejrzeje - zapewniła pośpiesznie, jakby w głębi duszy się obawiała, że on się wycofa. Przytrzymała jego rękę.
- C.J.... C.J.... - Miała zbyt ściśnięte gardło, aby wydusić z niego coś więcej.

- Zależy ci na mnie choć trochę? - Ujął w dłonie jej twarz.

- Tak.

- Chcesz być ze mną?

- Tak - szepnęła.

- Na początek wystarczy.

- Posłuchaj, C.J. Moje życie jest w rozsypce. Śnią mi się koszmary. Czasem bez powodu wpadam w gniew. Prawdopodobnie pójdę do więzienia za morderstwo, którego nie popełniłam, a pracę mam w Nowym Jorku. To czyste szaleństwo i...

- Szsz... - Przygarnął ją, lekko huśtając i przytulił jej policzek do swojej szyi. - Zajmiemy się wszystkim po kolei. Wiem, na co się decyduję. I mimo to pragnę podjąć ryzyko.

- Dajesz mi zbyt wiele.

- To tylko miłość, kochanie. Taka już jest.

Zamknęła oczy i zarzuciła mu ręce na szyję. Długo stali objęci pod bezkresnym niebem Arizony, ciesząc się tym, co było im dane.

Tamara wzięła prysznic i włożyła flanelową koszulę C.J., aby czuć jego zapach, a potem snuła się po domu, dotykając różnych rzeczy należących do C.J., jakby stanowiły one przedłużenie jego osoby. Musnęła palcami chiński parawan i niebieski kuchenny blat, na chwilę przysiadła na kanapie i pogłaskała wy-

świechtane obicie. Później ugotowała garnek makaronu, a C.J. przez telefon omawiał z Gus kolejne posunięcia. Nakryła do stołu, coraz częściej zerkając na C.J.

Z przyjemnością obserwowała jego długie, szczupłe palce stukające w słuchawkę, podziwiała kocią grację w ruchach, gdy podczas rozmowy chodził po wzorzystym, indiańskim dywaniku. I cieszyła się, gdy czasem napotykał jej spojrzenie i natychmiast się uśmiechał, a w kącikach jego oczu pojawiały się drobne zmarszczki.

Zjedli kolację w przyjacielskim milczeniu, podziwiając zachód słońca oraz ignorując mapę Arizony, prawie całą pokrytą niebieskimi chorągiewkami. Później oboje usadowili się na kanapie i patrzyli na ciemniejące niebo, coraz gęściej usiane mrugającymi gwiazdami. Tamara w końcu się przemogła i opowiedziała o Donaldzie, o przyjaciółach, których nie ma, i o świętach, których nadal nie umiała przetrwać.

A C.J. mocno ją obejmował i pieszczotliwie kreślił kciukiem małe kółeczka na jej dłoni.

- Nie myślałaś o tym, żeby chodzić na spotkania grupy ludzi borykających się z podobnymi problemami? - spytał cicho, gdy skończyła mówić.

- Nigdy się tym nie interesowałam.

- Są takie kluby. Moja babcia usiłowała przekonać do nich Brandona, gdy zginęła jego żona, ale on był zbyt uparty, żeby wziąć udział w zajęciach terapeutycznych.

- Nie jestem pewna, czy roztrząsanie własnych kłopotów w gronie obcych ludzi naprawdę może pomóc. To, co się stało, było tragiczne. Smutne. Każdy się z tym zgodzi. I co z tego?

- Nie chodzi tylko o to, żeby się wygadać, chociaż to ma swoje dobre strony. Można też się dowiedzieć, jak inni radzą

sobie w podobnych sytuacjach. Mnie pomaga boksowanie worka treningowego, ale są tacy, którzy na przykład zakładają fundację na cześć utraconej osoby lub robią coś w tym stylu. Pójdę z tobą, jeśli chcesz.

Tego wieczora obdzwonili kolejne szpitale z listy, lecz niczego się nie dowiedzieli. O jedenastej C.J. zaprowadził Tamarę do łóżka. Była zmęczona, obolała po boksowaniu worka i podpierała się nosem.

C.J. powoli rozebrał ją w świetle księżycy, ale powstrzymał się od jakichkolwiek pieszczot. Potem ubrał ją w wielki podkoszulek i położył obok siebie, przytuloną plecami do jego nagiej piersi. Tamara czuła jego nabrzmiałą męskość i wiedziała, że on jej pragnie, ale niczego nie zainicjuje.

Długo leżała przy nim w ciemności, wsłuchana w otaczającą ich ciszę.

Nagle się odwróciła i ogarnęła jego usta swoimi. Natychmiast odpowiedział na jej pocałunek, a ona nie czekała, nie była bierna. Otrzymała od C.J. tak dużo, a sama prawie niczym się nie zrewanżowała. Dlatego teraz dała mu wszystko, co mogła ofiarować - otworzyła się przed nim i z całą namiętnością, na jaką było ją stać, okazała, jak bardzo chce się z nim kochać.

Pchnęła go na materac, jednym ruchem ściągnęła z C.J. kraціaste bokserki, a z siebie - podkoszulek. Następnie usiadła okrakiem na udach C.J. i powoli się na niego opuściła. Zacisnął zęby i mocno ujął jej biodra. Czuła go coraz głębiej i samym spojrzeniem powiedziała mu, jak bardzo jej się to podoba, jaką niewyobrażalną sprawia rozkosz.

Zaczęła się poruszać, odnalazła odpowiedni rytm i patrząc w ciemnoniebieskie oczy, dotarła aż na sam szczyt. Usłyszała

zdławiony okrzyk C.J., bezwładnie opadła na niego, a jego ramiona już ją chwyciły i zamykały w bezpiecznym uścisku.

Usnęła, obejmując nogami biodra C.J., z twarzą przytuloną do jego spoconej piersi, wsłuchana w miarowe bicie jego serca.

Nazajutrz rano przystąpili do realizacji planu. Po wykonaniu kilku telefonów pojechali do baru Ancient Mariner, gdzie na parkingu już stał samochód Gus.

Wewnątrz była także Sheila, aby pomóc w przygotowaniach. Na polecenie C.J. powiesiła na drzwiach plakietkę informującą klientów, że bar będzie nieczynny do odwołania.

- Nie martw się, to tylko na dzień lub dwa - zapewnił C.J.
- Wypłacę ci pensję.

- Już wystarczająco mi pomogłeś'. Cieszę się, że teraz ja mogę coś zrobić dla was.

- Starannie pozamykaj drzwi i okna. Nie ryzykuj.

- Może powinna jechać z nami - zasugerowała Tamara. Wciąż pamiętała przerażoną minę Sheili tamtego wieczoru, gdy dziewczyna pozbawiła przytomności swojego męża.

- Nie, dam sobie radę. - Młoda kelnerka uśmiechnęła się blado. - Mnie przecież nic nie grozi. To Gus gra rolę świadka. Poza tym uczę się dbać o własne bezpieczeństwo. Powinniście zobaczyć, ile lamp trzymam w swoim pokoju.

- Dzięki. - Tamara wzięła ją za rękę. - Za pomoc... i za to, że mi wierzysz. Przecież prawie mnie nie znasz.

- Och, nie mogłabyś nikogo zabić. Na pewno. Kobiety wiedzą takie rzeczy lepiej niż mężczyźni. Jesteście gotowi?

- Czuję się jak udekorowany indyk - burknęła Gus, którą opatulono w wielki prochowiec z postawionym kołnierzem. - W

przeddzień Święta Dziękczynienia. - Gus skrzywiła się, ale jej czarne oczy lśniły. Najwyraźniej doskonale się bawiła.

- No to jazda - oznajmił C.J. - Zaczynamy drugą fazę operacji „Burza w Sedonie”.

Powolutku uchylił drzwi, dał ręką znak, a Tamara i Gus popisowo przekradły się do samochodu. C.J. ostentacyjnie sprawdził, czy nigdzie nie ma bomby, i usiadł za kierownicą.

- Mamy „ogon” - oświadczyła Gus, gdy przejechali kilka kilometrów.

- Doskonale.

Wieczorem C.J. zadzwonił do paru reporterów z miejscowej prasy. Opowiedział o wypadku sprzed dziesięciu lat, o kierowcy, którego nigdy nie zidentyfikowano, oraz o nowym świadku, który potwierdzi, że był nim senator George Brennan.

We troje znajdowali się w domu C.J. Pogasili wszystkie światła, pozaciągali zasłony, aby nie stać się łatwym celem, gdyby ktoś spróbował ich napaść. Gus ze stoickim spokojem ostrzyła swój imponujący nóż, C.J. co godzinę wymykał się na zewnątrz, aby sprawdzić, czy nikt się nie zbliża, a Tamara wpatrywała się w zegar i myślała o tym, co w tej chwili może robić senator.

Przedstawiciele prasy niewątpliwie się z nim skontaktowali i poprosili o wypowiedź. Jego sekretarze i doradcy zapewne już się głowili, jak ograniczyć straty, i układali stosowny komunikat. Czy senator poweźmie również inne, bardziej drastyczne kroki?

Każę zastosować większą porcję C-4? Wyśle podpalacza i snajpera, który wystrzela ich jak kaczki, gdy będą uciekać z płonącego domu? Wyobraźnia podsuwała coraz to nowe wizje

jak z sensacyjnego filmu. Tamara przycisnęła palce do czoła, usiłując zachować spokój.

Czas płynął.

Gus snuła się po mieszkaniu, wzięła sprzed kominka kawałek drewna i zaczęła go strugać. Odziany od stóp do głów w czerni C.J. zrobił kolejną rundę w terenie.

O drugiej nad ranem Tamara zaparzyła świeżą kawę. Kolejną podała o czwartej. I ochlapała twarz zimną wodą.

O szóstej nad Sedoną znów weszło słońce. C.J. poczekał do siódmej i zadzwonił do znajomego z gazety „Sedona Sun”.

Zamienił z nim tylko parę słów i odłożył słuchawkę.

- Już mamy naszą odpowiedź - oznajmił zasepiony. - Biuro prasowe senatora wydało oświadczenie, że tamtego wieczoru odbierał nagrodę Legionu Amerykańskiego i ten fakt potwierdzi wielu naocznych świadków. A jeśli jakiś nieodpowiedzialny dziennikarz opublikuje artykuł, podając wysrane z palca informacje, to redakcja może się spodziewać procesu o zniesławienie. Żadna gazeta nie pójdzie na takie ryzyko. Ponieśliśmy fiasko.

- Facet nie ma się czego obawiać - szepnęła Tamara. - Jest zbyt potężny.

- Gra o wszystko, więc nie popuści.

- I co teraz?

- Nie mam pojęcia.

Gus zdrzemnęła się na kanapie i w południe oświadczyła, że idzie do domu. Nie dała się przekonać, aby została. Zamierzała pospać we własnym łóżku.

- Trzeba dzisiaj otworzyć budę-dodała.

- Bar wytrzyma jeszcze jeden dzień - zaprotestował C.J.

- Odpocznij.

- Odpocznę w grobie. Sheiła potrzebuje napiwków.
 - Racja, ale wolałbym nie czytać twojego nekrologu, ty wiedzmo - burknął C.J., a Gus uśmiechnęła się od ucha do ucha, zadowolona z tyłu wyrazów czułości.
 - Jest piątek - przypomniała szefowi. - Dzień najlepszych utargów. - Gus uznała, że to stwierdzenie zamyka sprawę, i bawiąc się swoim nożem, zniknęła za drzwiami.
 - Uparta baba. - C.J. pokręcił głową. - To wszystko wina tego podwójnego chromosomu X.
 - Co robimy? - spytała Tamara.
 - Obdzwonimy resztę miejsc z twojej listy. Może w końcu dopisze nam szczęście.
- Nie dopisało.

O dziesiątej wieczorem C.J. poszedł do sypialni. Pewnie szykuje się do snu, pomyślała Tamara i znów pochyliła się nad mapą. Większość dużych miejscowości była zaznaczona niebieskimi chorągiewkami. Poszukiwania nie przyniosły pożądanych rezultatów. W warsztatach naprawczych po dziesięciu latach nikt niczego nie pamiętał, nikt nie przechowywał tak długo żadnych dokumentów, a udzielanie informacji o klientach i tak nie wchodziło w grę. Natomiast szpitalne karty pacjentów znajdowały się w archiwach - równie dostępnych jak szczyt Everestu.

Tamara westchnęła ciężko. Była głupia, wracając do Sedony. Zapłaci wysoką cenę za swoją głupotę.

C.J. wyłonił się z sypialni ubrany w czarne dżinsy, czarny podkoszulek i czarne, wojskowe trzewiki. Twarz miał wysmarowaną czymś ciemnym. Otworzył szafkę i wyjął pistolet oraz zapas amunicji.

- Co ty wyprawiasz?
- Idę na rekonesans.
- Po moim trupie!
- Tamaro, wysłuchaj mnie.
- Wykluczone, żebyś pakował się w kłopoty. Wiadomo, co planujesz, skoro tak się ubrałeś!

- Nikt mnie nie zobaczy. Właśnie o to chodzi.
- Mów.
- Senator ma przyjechać do miasta dopiero jutro, prawda?
- C.J. założył pas z różnymi przyborami i starannie go zapiął.
- Dzisiaj więc jego dom w Sedonie stoi pusty. Pomyszkuję trochę, może coś znajdę... jakąś prywatną korespondencję. Sam nie wiem. Ta bezczynność mnie dobija.

- Idę z tobą.
- Nie.
- Tak.

- Tamaro. - Obrócił ją twarzą do siebie. - Znam się na takich wypadach. Rekonesans, infiltracja, ewakuacja i powrót - to moja specjalność. Rezydencja senatora na pewno ma system alarmowy. To żaden problem. Wślizgnę się do środka, rozejrzę i wrócę. Wierz mi, najlepiej to zrealizować w pojedynkę.

- Boję się o ciebie. Nie chcę, żeby coś ci się stało.
- Wiem. - Wziął ją w ramiona. - Nie będę niepotrzebnie ryzykował ani nie zrobię nic głupiego. Zaufaj mi, nie jestem twoją rodziną. Nie zamierzam umrzeć. Daj mi tylko dwie godziny. Nie jestem pewien, co z tego wyniknie, więc podczas mojej nieobecności opracuj plan C.

Włożył czarną wiatrówkę, ciemną włóczkową czapkę, która zasłoniła jasne włosy, i sięgnął po latarkę.

- Uważaj na siebie. - Tamara odruchowo wygładziła zagniecenia na jego wiatrówce.

- Będę. Niebawem wrócę.

Musnął ustami jej wargi. Ona przylgnęła do niego i dopiero po długiej chwili pozwoliła mu się odsunąć.

C.J. otworzył drzwi i zniknął w ciemnościach.

Wszystko będzie dobrze. Na pewno, powiedziała sobie.

Cholera, już za nim tęskniła. Chociaż nie powinna. Usiadła przy kuchennym stole i zaczęła się zastanawiać nad planem C. Robiło się późno, a ona była coraz bardziej zdenerwowana.

ROZDZIAŁ 13

O jedenastej Tamara zaczęła niespokojnie chodzić po domu. Zasłoniła okna i zgasiła lampy, oświetlając wnętrze tylko jedną świecą, którą postawiła na gzymsie kominka. Nawet w mroku czuła się bezbronna, mając nad głową wysoko sklepiony sufit i słysząc pojękiwania wiatru za ścianą. Migotliwy płomień świecy sprawiał, że na podłodze tańczyły wykrzywione cienie. Wyglądały jak duchy.

Tamara z trudem usiłowała zebrać myśli. Jak udowodnić winę senatora? I jak przekonać prokuratora o własnej niewinności? Nie miała alibi ani żadnego świadka. Strzelano z *jej* pistoletu. Pająka zabiła kobieta. Kto to zrobił? Wynajęta zabójczym? Ktoś inny?

Jak można zlecić zabójstwo? Czy zostają jakieś ślady takiej decyzji? Tamara nie miała pojęcia o sprawach tego rodzaju.

Czy C.J. nic się nie stało?

Zadzzwonił telefon. Drgnęła, słysząc ostry dźwięk, i skarciła się w duchu za tę reakcję. To tylko telefon, Tamaro. Weź się w *garsć*. Popatrzyła na *czarny* aparat, poczekała na trzeci sygnał i z wahaniem podniosła słuchawkę.

- Halo?
- Tamara? - po chwili milczenia spytał męski głos.
- T... tak. - Ledwie zdołała odpowiedzieć i bezwiednie podniosła dłoń do gardła.

- Mówi Peter Foster. Ojciec Patty.
- Och, to pan... - Nie rozmawiała z nim od ponad dziesięciu lat.

- Nie wiedziałem, że jesteś w Sedonie, dopóki" nie przeczytałem artykułu o twoim aresztowaniu. Napisano też, że C.J. MacNamara wpłacił za ciebie kaucję. Chyba nie masz mi za złe, że dzwonię.

- Nie, skądże. Dawno się nie widzieliśmy. Jak pan się miewa? - Skonstatowała, że zachowuje się jak nastolatka przyłapaną na plotkowaniu późnym wieczorem z Patty. Tak na człowieka działają głosy z przeszłości...

- Dobrze, a ty? - Pan Foster zaśmiał się niewesoło. - Wybacz to było głupie pytanie. Czuję się trochę niezręcznie.

- Ja też. - Tamara wreszcie się odprężyła. - Minęło tyle czasu... Szczerze mówiąc, trochę się dziwię, że pan dzwoni. Chodzi o Pajaka Wallace'a? Nie zabiłam go, panie Foster.

- Och, nie o to chciałem spytać. Naprawdę. Rzecz w tym, że... od dawna chodziło mi po głowie, aby się z tobą skontaktować. Jestem ci winien przeprosiny, Tammy. Za długo z nimi zwlekałem, ale... lepiej późno niż wcale.

Tamara niemal słyszała, jak ojciec Patty w myśli starannie dobiera kolejne słowa. Nie znała go zbyt dobrze. Był poważnym profesorem w okularach z grubymi szklami, chodził w sztruksowych spodniach i szarych, wełnianych swetrach. Niewiele się odzywał, ponieważ mówieniem zajmowała się jego żona. Po jej śmierci pan Foster większość czasu spędzał w domowej bibliotece. Gdy Tamara czasem wpadała do przyjaciółki, prawie nigdy nie wychodził ze swojego ustronia. Ale najczęściej to Patty przesiadywała u Tamary.

- Twoi rodzice byli wspianiałymi ludźmi, - nieoczekiwanie

stwierdził pan Foster. - Chcę, żebyś to wiedziała. Zrobili dla Patty tak wiele w tym okresie, gdy ja do niczego się nie nadawałem. Pomogli jej, okazali tyle serca... Chyba nie dalibyśmy sobie rady tylko we dwoje. Zawsze pragnąłem im podziękować, ale... ale wtedy nie umiałem tego wyrazić. A potem... było już za późno. Kiedy usłyszałem, że zabrano cię do szpitala, wiedziałem, że wraz z Patty powinniśmy znaleźć się u twego boku, wesprzeć cię tak, jak twoja rodzina wspierała nas. Ale tak długo znajdowałaś się w stanie krytycznym, więc... uznałem, że chyba musimy trochę poczekać. Patty bardzo źle zniosła wiadomość o waszym wypadku. Przez tydzień była w stanie katatonii, miała straszne koszmary. Przez... przez pewien czas wykazywała skłonności samobójcze.

- Nie... nie miałam o tym pojęcia.

- Okazało się, że pozostaniesz w szpitalu przynajmniej przez pół roku, więc odbył się pogrzeb twoich rodziców. Byli powszechnie lubiani, toteż do kościoła i na cmentarz przyszedli prawie wszyscy mieszkańcy Sedony. Zrobiłem wtedy trochę zdjęć, żebyś sama się przekonała, jak wielką sympatią cieszyli się państwo Allistair.

- Chętnie zobaczyłabym te fotografie.

- Powinienem był ci je wysłać, ale wciąż myślałem, że Patty i ja cię odwiedzimy. Tyle tylko że... Wybacz, Tamaro. Nam też było ciężko. Patty już straciła matkę i traktowała was jak drugą rodzinę. Była kompletnie załamana... ilekroć wspomniałem, że pojedziemy do ciebie, wpadała w popłoch, przerażała ją sama myśl o twoim stanie, operacjach, pobycie w szpitalu.

Tamara nadal stała pośrodku salonu. Dopiero teraz, rozmawiając z panem Fosterem, zdała sobie sprawę z tego, że przez te wszystkie lata budził jej gniew. Tak, rzeczywiście pragnęła, aby

wraz z Patty przyjechał do szpitala. Tak, miała mu za złe, że nigdy nawet do niej nie napisał. Ale w tej chwili słyszała w jego głosie autentyczne emocje, prawdziwy żal i nagle skonstatowała, że jej gniew słabnie. W tragicznej sytuacji pan Foster radził sobie tak, jak potrafił. Patty również. Czegóż więcej można wymagać od życia?

- Proszę się tym nie zadrećzać - powiedziała cicho. - Ja naprawdę rozumiem. Wpadłam w szok, gdy ocknąłam się w szpitalu. Mogę sobie wyobrazić, co poczuła Patty, gdy wieczorem spokojnie poszła spać, a rano dowiedziała się, że bliscy jej ludzie nie żyją.

- Było jeszcze gorzej. - Pan Foster westchnął ciężko. - Tamtego wieczoru Patty nie było w domu. Wiesz, jak się wtedy zachowywała: buntowała się, usiłowała za wszelką cenę zwrócić na siebie moją uwagę. Dobrze pamiętam, że wróciła do domu dopiero dwa dni później. Spodziewała się awantury, a doczekała się czegoś dużo gorszego. Oczywiście nawrzeszczałem na nią, w najgorszy z możliwych sposobów poinformowałem ją o tym, co się stało. A ona straszliwie zbladła i spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby to wszystko była jej wina. Jakby chciała powiedzieć „Boże, ja zabalowałam i proszę, jaka spotkała mnie kara - oni nie żyją”. Tammy, ona wtedy zemdlała. Często tak sobie myślę... że śmierć twojej rodziny chyba była dla Patty bardziej bolesnym przeżyciem niż strata matki. Gdy zmarła moja żona, Patty weszła w okres buntu, natomiast po tamtym wypadku całkiem się załamała. Już nigdy nie wracała do domu później niż powinna. Wyrzuciła wszystkie swoje minispódniczki, przestała się malować, niemal z dnia na dzień stała się cichą, poważną dziewczyną. Czasem nawet bym chciał, żeby znów

poszła gdzieś poszaleć - na jakimś koncercie czy na imprezie. Zabawne, jak życie potrafi zaskakiwać...

Tamara nie wiedziała, co powiedzieć. W milczeniu skinęła głową.

- Przepraszam cię. Nie zamierzałem... obciążać cię tą historią. Chciałem tylko... chciałem prosić cię o wybaczenie. Patty i ja powinniśmy byli ulżyć ci w cierpieniu. Żałuję, że tego nie zrobiliśmy. Twoi rodzice byli wspaniałymi ludźmi, dobrymi sąsiadami. Bardzo mi ich brakuje.

- Dziękuję - mruknęła. W gardle ją dławiło, ale nie zbierało się jej na płacz. - Miło, że pan zadzwonił, panie Foster...

- Proszę, mów mi Peter.

- A więc Peter... chętnie kiedyś obejrzę te zdjęcia.

- Podrzucę je do baru Ancient Mariner i zostawię dla C.J.

- Dzięki.

- I Tamaro... co do tej drugiej sprawy... z całego serca życzę ci powodzenia. Nie widziałem cię od lat, ale dziewczyna, którą znałem, nigdy nie popełniłaby morderstwa. Mam nadzieję, że... że wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję. - Znów poczuła się niezręcznie. Widocznie nie sposób swobodnie rozmawiać o swoim nadchodzącym procesie. Po wymianie zwyczajowych grzeczności Tamara z ulgą odłożyła słuchawkę.

Podeszła do kominka i w zamyśleniu obserwowała migotliwy płomień. Była smutna, lecz jednocześnie doznała ukojenia. Pan Foster pamiętał jej rodziców, dobrze ich wspominał i szczerze żałował, że odeszli. Oraz rozumiał, jak było jej ciężko.

Już nie cierpiała w samotności. Inni ludzie tutaj, w Sedonie, też boleli po stracie Allistairów.

Może więc jednak było warto tu powrócić.

Ruszyła w stronę stołu, aby podjąć przerwane zajęcia i nagle stanęła jak wryta na środku wzorzystego chodnika. Pan Foster wspomniał, że Patty zjawiła się w domu dopiero dwa dni po wypadku. Ona zaś mówiła, że ojciec wszedł do jej pokoju, zbudził ją i powiedział, co się stało. Dlaczego miałyby kłamać, gdy chodziło o taki głupi szczegół? Naprawdę sądziła, że balując po nocy, sprowadziła na kogoś nieszczęście? Cóż za nedorzecznosc...

Nieoczekiwana myśl ścieła Tamarę z nóg.

Och, Patty, jak mogłaś?

C.J. prawie nie oddychał. Powoli przesuwiał się wzdłuż ściany domu, wciągając brzuch i przyciskając plecy do drewnianej elewacji. Przedostał się na patio i przez noktowizor ujrzał trudną przeszkodę - kilka czerwonych promieni w poprzek korytarza. Pod jednym musiał się przeczołgać, dwa kolejne przeszedł górą, omal nie trafiając na ostatni pasem z przyborami. Senator niewątpliwie był zwolennikiem dobrych systemów alarmowych.

Potem C.J. zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami. Przykleił obok klamki pasek przezroczystej taśmy, taką samą taśmą przymocował specjalny uchwyt, delikatnie stłukł małą szybkę i wyjął popękany kawałek. Następnie wsunął dłoń w otwór i bez problemu przekreślił blokadę. Włamanie do zabezpieczonego domu nie jest aż takie trudne, jak niektórym ludziom się wydaje.

Wewnątrz było całkiem ciemno i duszno. Wąski promień latarki wydobył z mroku wielkie łóżko oraz przykryty prześcieradłem fotel i komodę.

C.J. wyszedł z sypialni do holu z wysoko sklepionym sufitem i kryształowym żyrandolem. Spod płóciennych ochraniaczy wystawały wygięte nóżki staroświeckich mebli w stylu królowej Anny, na podłodze leżał puszysty, perski dywan. I właśnie na

nim C.J. dostrzegł najwyraźniej niedawno odgniezione ślady stóp, a na eleganckim, mosiężnym stojaku leżała teczka z lśniącej skóry.

A więc senator przyjechał nieco wcześniej lub miał gościa. C.J. przystanął i nadstawił ucha. W domu panowała niczym niezmacona cisza, ale ktoś mógł zjawić się w każdej chwili. Należało więc się pośpieszyć.

C.J. znalazł gabinet i pośpiesznie rozejrzał się wokoło. Wysokie aż pod sufit, mahoniowe regały z książkami wyglądały jak czające się do skoku bestie, ciężkie, aksamitne zasłony były starannie zaciągnięte, a w powietrzu dało się wyczuć zapach skórzanej tapicerki i papieru.

C.J. bez wahania podszedł do biurka z wiśniowego drewna. Ktoś już zdążył je odkryć i niedbale rzucona jasna płachta leżała na podłodze. Na dużym blacie stał komputer i faks.

Solidny, stalowy zamek trochę się opierał, lecz po dziesięciu minutach dał za wygraną. C.J. otworzył szufladę i ujrzał w niej plik papierów oraz kilka dużych paczek banknotów.

- Gotóweczka na nieprzewidziane wydatki - mruknął, przeglądając dokumenty. Dotarł do połowy i znieruchomiał.

- O, Tamaro - szepnął. - Cholernie mi przykro.

Nie zastanawiała się, tylko zrobiła to, co przyszło jej do głowy. Włożyła czarne dresowe spodnie C.J. i swój czarny, jedwabny golf. Wezwała taksówkę i wysiadła pół kilometra od domu Patty.

Powinna iść do frontowego wejścia. Zadzwoić do drzwi i zażądać wyjaśnień od swojej najlepszej przyjaciółki.

Ale przekradała się jak złodziej, przyciskając dłońi do żołądka, żeby powstrzymać mdłości.

To nie może być Patty. Wykluczone.

Idiotka z ciebie, Tamaro.

W salonie paliło się światło. Mimo późnej pory Patty jeszcze nie spała.

Tamara zatrzymała się przy ogrodzeniu z kutego żelaza. Co teraz? Co chcesz udowodnić? Spojrzała w okna sypialni. Były ciemne.

W dzieciństwie Patty prowadziła dziennik. Każdego wieczoru opisywała wydarzenia minionego dnia. Później wsuwała pamiętnik pod materac.

Wystarczy pięć minut. Trzeba tylko po cichu wejść, wziąć pamiętnik i zmykać. Łatwizna. Patty nie spodziewała się włamania. Po tylu latach na pewno czuła się całkiem bezpieczna.

Tamara zatrzęsała się z gniewu. Ostrożnie uchyliła bramę i przemknęła się na tyły domu. Przyłożyła ucho do szklanych, zasuwanych drzwi i usłyszała szmer głosów. Nie tędy droga. Stąd wchodziło się prosto do kuchni, którą było dobrze widać z salonu. Tamara przygięła się i szybko dotarła do balkonowych drzwi sypialni.

Nie były zamknięte na klucz. Mieszkańcy Sedony czuli się bezpiecznie, rozpieszczeni niskim wskaźnikiem przestępczości.

Tamara wślizgnęła się do wnętrza. Przestronny pokój zalewało światło księżyca, wpadające przez świetlik w suficie. Na dużym, przykrytym różową kapą łóżku leżało sześć poduszek w jedwabnych poszewkach, a na ścianie wisiało ogromne malowidło przedstawiające postaci Indian. Niewątpliwie pochodziło z galerii Patty i wyglądało na bardzo drogie.

Patty żyła na wysokiej stopie. Wyposażenie tego domu sugerowało, że jest wręcz bogata. Tamara poczuła, że drżą jej ręce.

Była coraz bardziej wściekła. W tej chwili nie miała w sercu ani odrobiny zrozumienia.

Kucnęła przy łóżku i wsunęła rękę pod materac. Teraz lepiej słyszała głosy rozmawiających ludzi. Patty sprawiała wrażenie zdenerwowanej, mężczyzna mówił wolniej, uspokajającym tonem. Tamara usiłowała wymacać pamiętnik. Weź go i znikaj. Musisz zdobyć dowód. Spisane czarno na białym przyznanie się do winy. Opis tego, co ci zrobiła twoja najlepsza przyjaciółka.

Tamara usłyszała zbliżające się kroki, stukot obcasów na parkiecie. Błyskawicznie ukryła się za łóżkiem i wstrzymała oddech. Ktoś otworzył szufladę w holu. Czegoś w niej szukał. Potem ją zamknął i odszedł. Tamara ostrożnie wychyliła się zza łóżka. W holu paliło się światło.

Czuła, że się poci, a serce wali jej jak oszalałe. Idź stąd, daj sobie spokój! Nie mogła iść. Musiała poznać prawdę. Musiała znaleźć ten cholerny dziennik.

Przecież i tak niczym nie ryzykowała. Już aresztowano ją za morderstwo. Nie miała nic do stracenia.

Znów zagłębiła rękę pod materac. I nic. Nic, do cholery.

Spojrzała na nocną szafkę. Odsunęła szufladę, przeszukała ją. Nic. Może w szafie?

Uciekaj z tego domu, Tamaro! To zbyt ryzykowne. Jesteś głupia.

Nie zważając na głos rozsądku, ruszyła do garderoby. Po obu stronach wisały konserwatywne kostiumy i eleganckie suknie. Na półkach stały niezliczone pary pantofli. Na jednej leżały też jakieś książki, więc zaczęła je przeglądać.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy?

Rozbłysło światło. Tamara zamarła. To nie był głos Patty.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z senatorem George'em Brennanem.

C.J. opuścił dom senatora frontowymi drzwiami, nie przejmując się systemem alarmowym. W samochodzie natychmiast zadzwonił z telefonu komórkowego do domu. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

- No dalej, Tamaro! Zbudź się. Podnieś słuchawkę.

Nie podniosła również za drugim razem. C.J. zaklął. Już wiedział, co się stało. Nacisnął pedał gazu i wystukał numer szeryfa Brody'ego.

- O... ona? - Siedząca na brzegu pięknej skórzanej kanapy Patty ścisnęła w dłoniach szklaneczkę whisky, gdy George przywłókł Tamarę do salonu.

- Mówiłem ci, że słyszę jakieś szmery. - Popchnął Tamarę do przodu, a ona się potknęła. - Przynajmniej odpowiednio ubrana. Patty, weź broń. Będzie wyglądało na to, że zastrzeliłaś włamywacza.

- Patty... - Tamara spojrzała na przyjaciółkę, która nawet nie drgnęła, zielone oczy były całkiem bez wyrazu. Tylko rude, opadające na plecy loki lśniły. Tamara pamiętała, że dawniej wiele razy zaplatała je w gruby, francuski warkocz.

- Przynieś broń - polecił senator, a Patty zadrżały ręce.

- Nie! - Tamara utkwiała spojrzenie w twarzy przyjaciółki, usiłując napotkać jej wzrok. - Patty, nie słuchaj go.

- Ja... nie... - W głosie Patty zabrzmiała błagalna nuta.

- Jeden strzał - powiedział senator - i wreszcie będzie po wszystkim.

- Patty, nie! Zabicie mnie niczego nie zakończy! Już nigdy

nie będziesz mogła popatrzeć sobie w oczy! Będzie cię prześladować widok mojego ciała na tej podłodze. Dobrze wiesz, że nie ma czegoś takiego jak koniec, prawda? Czy przez te dziesięć lat bez przerwy nie towarzyszyło ci wspomnienie o moich rodzicach zmiążdżonych w samochodzie?

- Zamknij się! - warknął Brennan. Uderzył ją otwartą dłońią w twarz i Tamara upadła.

Poczuła w ustach smak krwi, wargi jej pulsowały. Podniosła się i na czworakach spojrzała na Patty.

- Opowiedz mi o tym - szepnęła. - O tym wszystkim, co zrobiłaś tamtej nocy, o tym, jak bardzo chciałaś się przyznać, ale zanadto się wstydziłaś. Zrozumiem cię. Jestem twoją najlepszą przyjaciółką.

- Nie zasługuję na przyjaciółkę.

Za nimi senator zaczął otwierać szuflady. Szukał broni. Tamara nie miała co do tego wątpliwości. Przysunęła się bliżej Patty.

- Byłaś z nim tamtej nocy, prawda? Pewnie ci mówił, że jesteś taka młoda, piękna, wyrafinowana. Powiedział ci, że cię kocha?

- Nie jestem taka głupia - beznamiętnym tonem odparła Patty. - Mielśmy romans. Dziki, namiętny, niebezpieczny. To było zaprzeczenie miłości.

- Ty wynajęłaś czerwony samochód?

- Tylko go odebrałam. Umówiliśmy się dopiero po gali Legionu Amerykańskiego, żeby nikt nas nie widział.

- Ty prowadziłaś?

- Nie! - Zielone oczy przelotnie rozblęły. Patty wycelowała palec w senatora. - On siedział za kierownicą. On nie uważał. O mój Boże, Tamaro... Nie chcieliśmy... To był tylko wypadek. Straszny, tragiczny wypadek.

Tamara słyszała, że Brennan coraz bardziej gorączkowo grzebie w kolejnych szufladach. Ona zaś powoli przesuwiała się w stronę drzwi. Nadal patrzyła Patty w oczy, zastanawiając się, kiedy przyjaciółka coś powie, kiedy spróbuje ją zatrzymać. Należało wciąż do niej mówić, rozproszyć jej uwagę.

- Senator zabronił ci wezwać pomoc, prawda? Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby przyłapano go z osiemnastoletką. Na pewno kazał ci zachować milczenie. Gdybyś komuś się zwierzyła, on by się wyparł i ty poniosłaś odpowiedzialność za ten wypadek.

- Wzięliśmy auto do Meksyku. George znał odpowiednich ludzi, lekarza. Nie wiem, co stało się z wozem. George powiedział, że wszystkim się zajmie, żebym mu zaufała. Miałam tylko siedzieć cicho. Wtedy jeszcze nie wiedziałam... kogo zabiliśmy.

- Patty głos się załamał.

- Stul pysk - syknął senator. - Ona może mieć magnetofon. - Szybko przeszedł przez pokój, chwycił Tamarę za ramię i szarpnął w górę. - Gdzieś się wybierasz, skarbie? - Znów ją uderzył, tym razem tak mocno, że głowa jej odskoczyła, policzek i oczodół niemal eksplodowały z bólu. Tamara zachwiała się, a senator cisnął ją jak worek ze śmieciami na dywan. Leżała oszołomiona silnym ciosem, prawie nic nie widziała, w uszach jej dzwoniło.

Weź się w garść, Tamaro. Nie rozklejaj się.

- Trzymaj. - Senator wyjął z ręki Patty szklanekę i w jej *miejsce* wsunął rewolwer. Patty lekko się wzdrygnęła i bez słowa patrzyła na Brennana.

- Nie rób tego! Nie pozwól mu tak się wykorzystać. Przecież chodzi o wypadek. Ty nic nie zawniłaś. Byłaś tylko zbuntowanym dzieciakiem. Senator jest odpowiedzialny za to, co się stało. Uwiódł cię, a potem kazał milczeć i zrecznie zatuszował sprawę.

- Daruj sobie te gadki, Patty dobrze wie, dlaczego dręczy ją poczucie winy. Gdyby była taką grzeczną dziewczynką, to nie szalałaby z twarzą w moim rozporoku, gdy prowadziłem auto. Opowiedz o tym swojej przyjaciółce. Powiedz jej, jak zyskałaś opinię panienki, która umie wyssać golfową piłkę z gumowego węża. - Senator mocniej wepchnął broń w rękę Patty. - Załatw ją. Tak jak Pajaka.

Tamarze zrobiło się niedobrze. Patty wyszeptała:

- Musiałam go zabić. Usłyszał, co mówiłam na grobie mojej mamy...

- Wiem, kochanie. - Głos senatora zabrzmiał kojąco. - Postąpiłaś słusznie, malutka. Zrobiłaś dokładnie to, o co cię prosiłem. Dobrze się tobą zająłem, prawda? Dostałaś dom, samochód, galerię. Kto się tobą opiekował przez te wszystkie lata? Kto nigdy cię nie zawiódł?

- Ty.

- Właśnie, malutka. Ja. A teraz sprawa zaraz zostanie zakończona. Świetnie się spisałaś, kochana Patty, podmieniając rewolwery. Szkoda tylko, że nie udało ci się z tymi hamulcami i skorpionem.

- Wychowałam się z Tamarą -jęknęła Patty. Zamknęła oczy i z wyraźnym trudem przełknęła ślinę. - Powiedziała mi, że jestem jak jej siostra.

- Ale później cię zostawiła i nigdy się nie odezwała. Przypomniała sobie o siostrze dopiero po dziewięciu latach, i to tylko dlatego, że chciała dobrać się do mnie. Nie widzisz, jak bezwzględnie tobą manipuluje? Nie pozwól jej na to. Weź tę broń. Naciśnij spust. Jeden strzał i koniec kłopotów. Znow będziesz sypiać po nocach. Znow będziesz bezpieczna. Nikt nigdy nie odkryje prawdy.

Senator wcisnął broń w dłoń Patty, a jej palce zamknęły się na kolbie.

Tamara usiłowała się podnieść, lecz Brennan znów zdzielił ją tak mocno, że poleciała na drugi koniec dywanu. Uderzyła łokciem o szklany stolik, ramię jej zdrętwiało, wzrok się zaćmił. Miała wrażenie, że patrzy przez długi tunel i na jego końcu ujrzła Patty unoszącą pistolet.

- On cię zabije! - krzyknęła rozpaczliwie. - Nie rozumiesz, Patty? Po mojej śmierci będziesz jedyną osobą, która zna prawdę! Jedynym świadkiem! Staniesz się zagrożeniem, więc ciebie też usunie!

- Powinnaś była zostać w Nowym Jorku - szepnęła Patty.
- Usiłowałam cię do tego skłonić. Dlaczego nie posłuchałaś? Dlaczego po tylu latach wróciłaś?

Dłoń Patty już nie drżała. Na bladej twarzy malowało się zdecydowanie.

- Moi rodzice cię kochali. Na miłość boską, wierzyli w ciebie, tak samo jak ja. Gdybyś wtedy wyznała prawdę, przebaczyłabym ci. Przecież wiedziałam, że nigdy celowo byś ich nie skrzywdziła.

- Ale ich zabiłam...

- Nie ty - senator!

- Ale...

- Dosyć! - ryknął Brennan. - Strzelaj!

- Niemo...

Brennan wyrwał broń z ręki Patty. Z wykrzywioną gniewem, zaczerwienioną twarzą odwrócił się do Tamary. Z całej siły kopnęła go w kolano.

- Uciekaj, Patty! - krzyknęła, gdy się przewrócił. Jakimś cudem wreszcie zdołała wstać, zawadziła stopą o stolik i z tru-

dem złapała równowagę. Ramię jej zdrętwiało, policzek palił żywym ogniem, a za nią rozwścieczony senator zaklął, podnosząc się z dywanu.

Odruchowo rzuciła się za boczne oparcie kanapy, rozległ się huk wystrzału, kula trafiła w skórzaną poduszkę. Patty krzyknęła histerycznie.

- Zamknij się! - huknął senator.

Tamara pognała do wyjścia. Kolejny pocisk rozorał tynk nad jej głową, zapylił oczy.

Patty znów krzyknęła. Tamara kątem oka zauważyła, że Patty zamachnęła się i dzieliła Brennana w czoło szklanką z whisky. Zawył, gdy alkohol zalał mu oczy, kolbą uderzył Patty, ona zaś padła na plecy. Senator uniósł pistolet i strzelił do leżącej kobiety.

- Nie! - krzyknęła Tamara, a kremowe poduszki zrobiły się czerwone. Zobaczyła, że Brennan już się odwraca i celuje do niej. Dała susa do holu, ukryła się za cienką działową ścianką, świadoma tego, że to żadne schronienie. Myślała tylko o tym, że Brennan zaraz ją zabije, słyszała dochodzące z salonu ciche pojękiwania Patty.

Nie! Nie będzie znów czekać, aż ktoś ją uratuje. Miała dosyć swojej bezradności. Chciała walczyć i zwyciężyć.

Ze zdławionym okrzykiem skoczyła do drzwi, obróciła mośięzną gałkę, usłyszała huk i wypadła na zewnątrz prosto w cudowne objęcia świateł radiowozu szeryfa. Wokół niej rozpętało się piekło strzałów, lecz ona już spadała gdzieś w dół, coraz niżej i niżej. Wołały ją świerszcze.

Oraz C.J.

Cały świat pochłonęła czerni.

EPILOG

Iamara nie ocknęła się w szpitalu. Nie ujrzała wokół siebie pielęgniarek podłączających jej kroplówkę ani policjantów z ponurymi minami, ani lekarzy pytających, czy może poruszyć palcami nóg. Tym razem otworzyła oczy i ujrzała zatroskaną twarz C.J. oraz usłyszała wycie syreny. Na policzkach C.J. tańczyły czerwone światła nadjeżdżającej karetki. Z oddali dochodziły głosy wołających coś mężczyźn.

- Nie wstawaj - polecił C.J., tuląc ją do siebie. Siedziała mu na kolanach i była taka odrętwiała, że i tak nigdzie by nie poszła.

- Senator...?

- Brody go aresztował.

- Patty...

- Lekarze są przy niej. Jesteś ranna? Możesz się ruszać?
- Wypuścił ją z objęć tylko na moment, żeby przesunąć rękami po jej ciele i sprawdzić, czy jest cała. Zadowolony z rezultatów, znów zamknął ją w ramionach i zaczął lekko kołysać. Było jej od tego trochę niedobrze, ale nie chciała powiedzieć mu, aby przestał.

Z głową na jego piersi wreszcie czuła się bezpieczna.

W uszach nadal dzwoniło jej od huku strzałów, żebra ją bolały od upadku na podłogę. Przypomniała sobie wyznanie

Patty i zrozumiała, że została ugodzona w samo serce. Do tej pory cierpiała tylko z powodu śmierci swoich najbliższych, natomiast teraz utraciła najlepszą przyjaciółkę. Cóż, będzie musiała jakoś pogodzić się z kolejną stratą. Zaleczyć rany. Trochę to potrwa, a pomocny może czasem się okazać worek treningowy...

- Patty zastrzeliła Pajaka, ponieważ usłyszał, co mówiła na grobie matki.

- Wiem, kochanie. Byłem w domu senatora. Znalazłem list, który Patty wysłała zaledwie kilka dni temu. Napisała, że już dłużej nie wytrzyma. Zamierzała iść na policję i wszystko wyznać. Wygląda na to, że senator wpadł w popłoch i natychmiast tu przyleciał.

- Była moją najlepszą przyjaciółką.
- Wiem - szepnął ze współczuciem.
- C.J., nigdy mnie nie opuszczaj.
- Załatwione.

Wypuścił ją z objęć dopiero wtedy, gdy sanitariusze musieli położyć ją na noszach i zabrać do szpitala.

Lekarze dokładnie ją zbadali, stwierdzili, że jest w szoku, sprawdzili, czy ma objawy wstrząśnienia mózgu, i mocno zbandażowali klatkę piersiową. Patty miała mniej szczęścia. Odbijając się od żeber, pocisk spowodował poważne wewnętrzne obrażenia i utkwiał w kręgosłupie. Stan pacjentki określono jako krytyczny, a szanse przeżycia - uznano za znikome. Dwie godziny później Patty zmarła, trzymana za rękę przez swojego ojca.

Podczas wymiany strzałów senator został trafiony w ramię. Rana była powierzchowna, lecz skutki wydarzenia oka-

zały się katastrofalne dla kandydata na prezydenta. Z samego rana szeryf Brody zwołał konferencję prasową i oznajmił, że wszczyna oficjalne śledztwo w sprawie roli, jaką senator Brennan odegrał w tragicznym wypadku drogowym. Natomiast C.J. dyskretnie przekazał dziennikarzom kopię listu Patty do senatora.

Po apelu prokuratora okręgowego na policję zgłosił się prywatny detektyw, który oświadczył, że dziesięć lat temu senator George Brennan zlecił mu śledzenie Tamary Allistair. Przez dziewięć i pół roku detektyw co sześć miesięcy sporządzał krótki raport i inkasował gotówkę. Później obiekt zainteresowania przyjechał do Sedony i detektyw musiał zdawać sprawę co-dziennie wieczorem. Podkreślił z naciskiem, że jego obowiązki ograniczały się wyłącznie do obserwacji Tamary Allistair. Senator życzył sobie tylko tego.

Najbardziej obciążającym dowodem był list Patty oraz jej śmierć. Prokurator zapowiedział, że osobiście dopilnuje, aby senatora oskarżono o popełnienie morderstwa pierwszego stopnia.

C.J. i Tamara zostawili tę sprawę w rękach urzędników. Oboje mieli za sobą ciężkie chwile. Nadeszła pora, aby zaleczyć rany i zająć się sobą.

Tuż przed piątą Tamarę wypisano ze szpitala. Pielęgniarka wywozła ją na wózku do holu, gdzie już czekał C.J. Z rękami w tylnych kieszeniach dżinsów stał oparty plecami o ścianę, a jego jasne, falujące włosy opadały na czoło dokładnie tak jak trzeba. Na widok Tamary uśmiechnął się radośnie, a w kącikach niebieskich oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- O rany - z rozmarzeniem westchnęła pielęgniarka. - Cóż za wspaniały egzemplarz.

Tamara zgodziła się z nią całym sercem. Bez słowa wyciągnęła ręce, a on zabrał ją do domu.

Na tydzień kompletnie odcięli się od świata. Spali, jedli i się kochali. Opowiadali sobie głupawe dowcipy oraz zarywali noce, oglądając wypożyczone filmy i opychając się prażoną kukurydzą. Raz zaprosili Gus i Sheilę na kolację. Szczęśliwi jak para dzieciaków bawili się w dom.

C.J. nigdy nie napomykał o przyszłości. Tamara czasem łapała go na tym, jak obserwował ją z przeciwległego końca pokoju. Bywał wtedy poważny i zamyślony. Kilka razy zdarzyło się Tamarze zbudzić w środku nocy i zobaczyć, że C.J. leży podparty na łokciu i się jej przygląda.

Nigdy nie zadał wprost pytań, które subtelnie przewijały się we wszystkim, co robili i mówili. Zostaniesz w Sedonie czy wrócisz do Nowego Jorku? Będiesz zawsze mnie kochać?

Tamara nie знаła odpowiedzi. Aż do tej nocy, gdy sama oparła się na łokciu, aby popatrzeć na śpiącego C.J. Aż do tego popołudnia, gdy przyłapała się na tym, że z drugiego końca pokoju w zamyśleniu obserwuje krzątającego się mężczyznę. Aż do tej chwili, gdy pochyliła się nad nim i go pocałowała, bo po prostu musiała.

W poniedziałek przed godziną otwarcia baru podała C.J. jego kurtkę i wzięła kluczyki do jego auta. Potem w milczeniu zawiozła go do kaplicy Świętego Krzyża. I po raz pierwszy od dziesięciu lat weszła do domu bożego.

Usiedli w pierwszej ławce. Za łukowatym oknem niebo miało szary odcień. Dzisiaj słońce nie wyszło zza chmur. Nawet w Arizonie nie każdy z trzystu sześćdziesięciu dni w roku bywa piękny.

Po chwili oparła głowę na ramieniu C.J. Wokoło panowała niczym niezmacona cisza.

Tamara w dzieciństwie chodziła do tego kościoła. Siedziała obok swoich rodziców, wstawała razem z nimi, modliła się tak jak oni. A teraz niemal widziała zamglony wizerunek matki śpiewającej alleluja i ojca, który tylko porusza wargami. Oboje odwrócili się do niej i uśmiechnęli.

A w głębi jej duszy nagle coś się otworzyło, pozwoliło wrócić wspomnieniom - zarówno dobrym, jak i złym. Tamara odniosła wrażenie, że tu, w tym kościele, są teraz jej utraceni bliscy oraz te wszystkie wartości, które wyznawali, wszystkie zwyczaje, które jej przekazali. Gdyby tylko zamknęła oczy i wyciągnęła rękę, pewnie mogłaby dotknąć swoich rodziców.

Nie uniosła ręki, ale pozwoliła swoim myślom cofnąć się w tamtą przeszłość. To już nie raniło. Nie było bolesne. Kolorowe obrazy kolejno wypełniały każdą lukę i działały kojąco jak leczniczy balsam na udreconą duszę. Człowiek nigdy nie wie, jak daleko odszedł, dopóki znów nie wróci do domu.

Tamara spojrzała na C.J.

- Wiesz co? Mogłabym tutaj, w Sedonie, otworzyć biuro do spraw public relations.

- Tak? - C.J. rozprostował długie nogi. - Byłoby miło - stwierdził lekkim tonem. - Bo inaczej się zrujnuję, latając do Nowego Jorku.

- Wyjdę za ciebie.

- Cóż, chyba najwyższa pora, żeby ktoś zrobił ze mnie uczciwego mężczyznę.

- Pozwolisz mi używać twojego worka treningowego?

- Kiedy zechcesz.

- A mogę nosić twoje ubrania?

- Jeśli akurat nie będę nalegał, żebyś została naga.
- Przeczytasz ze mną te książki, które kupiłeś? Pójdiesz ze mną na spotkanie z terapeutą?
- Chyba powinienem.

Objęła go w pasie. Jej matka się uśmiechała. Tamara wyczuwała jej bliskość w ulotnej grze świateł zapadającego zmroku.

- Kocham cię, C.J. - szepnęła.
- Z wzajemnością, skarbie.